

"Przekrój"  
na dwa  
tygodnie **4,99**

Cała  
prawda  
o Miłoszu

Szcześnie: dlaczego  
nigdy nic nie  
wygramy w piłkę

Co Ari  
Folman zrobi  
z Lemem

48

24

38

**PRZE  
KRÓJ**

NK 16/17 (3434/3435) / 18 KWIETNIA 2011 / CENA 4,99 ZŁ  
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT

# Jak naprawdę zginął JEZUS

## Rekonstrukcja zbrodni

6

KS  
24  
16



Doceniał piękno nawierzchni.  
Dziś byłby naszym klientem



**Jules Hardouin-Mansart**, architekt Ludwika XIV, mimo oficjalnego zakazu często wyprowadzał swojego psa na Marmurowy Dziedziniec pałacu. Kontemplował bogato zdobione fasady, które współgrały z geometrycznym wzorem nawierzchni. Był niezwykle wrażliwy na formę, przestrzeń oraz kolor. My też wnikliwie obserwujemy największe dzieła. By dorównać mistrzowi, brakuje nam tylko... charta.



Elegante / **Quadro**  
NERO / BIANCO CARRARA

**LibetDecco**



Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marien Elle

**„Przekrój” w sieci:**

Hrabia rozwarł okiennice w zamkowej komnacie i zacerpnął rześkiego porannego powietrza. Lubił wsłuchiwać się w rzewne, polifoniczne śpiewy chłopstwa, tradycyjnymi pieśniami umilającego sobie drogę z czworaków na pola.  
– *Let mi tejk ju dań, kos ajm goin tu strolbery filds, nařnk is ril...*  
– zawadzili w prastarym narzeczcu ojców, aż hrabiemu coś w duszy załkało. Oto świat w idealnym ładzie – pomyślał. Wszystko na swoim miejscu: chłopstwo na polach, wino w kielichu, dziewczka w łóżnicy... Ale nie dane było kontynuować ontologiczne rozważania jaśnie panu dzie-dzicowi, albowiem do komnaty wbiegł zadyszany dowódca straży. – Panie miłościwy! Drwale z Brontkowej Polany pode bramą stoją, rozeżłone wielce! A siekiery w dłoniach! Z Waszą Miłością chcą mówić! Wielebny sługa Staškowy im przewodzi!  
Skrzywił się murgrabia. Kaptani kultu Staška Brontozaura od zawsze sprawiali problemy. Relikty minionej epoki, domagali się przywrócenia rozwiązań, które przywiodły do upadku poprzednią cywilizację: równości klas (tfu! na psa urok!), powszechnych wyborów, śmietanki do kawy. Czego chcą tym razem?  
– Panie! – rzekł sługa Staškowy, na kosturze wsparty. – Lud twój chleba nie ma! A i stawy duchowej mu brak dotkliwie! Już dwa księżyce minęły, jak przydziałowych „Przekrojów” nie dostali. Bez przewodnictwa światłego smutek w sercach, mroczne myśli się legną!  
O sprawiedliwość prosimy! Zawrzał gniewem słusznym hrabia. – Chleba nie ma?! Niech żrą drożdżówki! A „Przekrój” na ajtabliczkach czytają! I rozszedł się tłum zawstydzony, słusnością słów tych przejęty...



...i czym prędzej poszedł ducha karmić na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)...  
...a mądrość hrabiego pochwalił, śląc poematy ku czci na: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

**W TYM TYGODNIU**

**NAD WYRAZ ŚWIĄTECZNIE NIE PISZEMY...**

**...że otrzymaliśmy następujące zaproszenie:** „Akredytacje na Misterium Męki Pańskiej. Poniżej zamieszczamy formularze do akredytacji na Misterium Męki Pańskiej, które odbędzie się 16 kwietnia 2011 r. o godzinie 20.00 na terenie Toru Wyścigów Konnych na warszawskim Stuzewcu. Przygotowaliśmy oddzielne formularze dla prasy, telewizji, radia i fotoreporterów. Pragniemy poinformować, że ze względu na względy organizacyjne ilość możliwych akredytacji jest ograniczona”. I że

nie wiemy, co myśleć, bo to w końcu nie nasza sprawa i wcale nie palimy się do zakazów, ale jesteśmy jednak odrobinę wstrząśnięci. I cieszymy się, że „ilość możliwych akredytacji jest ograniczona”.  
**...że kiedy nieco ochłonęliśmy**, dla poprawienia nastroju sięgnęliśmy po „Gazetę Polską” – jak zawsze, gdy chcemy odzyskać moralny pion i stać się lepszymi Polakami i ludźmi w ogólności. I rzeczywiście czujemy się wzbogaceni, albowiem

dowiedzieliśmy się, kto będzie wojującym trzonem narodu, gdy przyjdzie co do czego i zaczniemy zbrojnie wyzwalać się od Ruska i Tuska. Otóż pojęliśmy wreszcie, że będą to zjednoczone siły kibolskie, nad podziw podobno patriotyczne i bezkompromisowe. Ha! Teraz już wiemy, dlaczego policja nasiliła aresztowania stadionowych bandytów, orląt naszych, orląt „Gazety Polskiej”.  
**...że pani Grażyna Szapołowska** przedłożyła pełne wzruszeń

telewizyjne cudo nad sztuczdyło niejakiego Mroźka. Bo obracaliśmy rzecz na wszelkie sposoby, dociekając też jej patriotycznego wymiaru – i nic. No i tak to jest: niby nic nie dziwi, a Szapołowska potrafi zadziwić nieodmiennie. Milkniemy więc w podziwie. Sza!  
**...że Lech Wałęsa** nauczył Tunezyjczyków robić demokrację. Bo nie wiadomo, co z tego wyjdzie. Może najpierw poślą im Wachowskiego?  
**MARCIN SENDECKI**

**MAREK RACZKOWSKI**



**LAST MINUTE KRYSZTOF PŁYTA**

O wzroście cen żywności – życzenia na Wielkanoc: żeby po świętach nie trzeba było dzielić się jajeczkami!

## TEMAT Z OKŁADKI

- 6 **Jak długo wytrzymał przybity do krzyża?** Co było bezpośrednią przyczyną zgonu: uduszenie, szok pourazowy, zawał? A może tylko udawał, że umiera, a potem wyjechał z Jerozolimy? Małgorzata Święchowicz rozprawia się z teoriami dotyczącymi śmierci Jezusa Chrystusa

## PRZED WSZYSTKIM

- 12 Ślub dekady tuż-tuż. Cały świat przygląda się księciu Williamowi i Kate Middleton, a **Rafał Kostrzyński opisuje trupy ukryte w szafie brytyjskiej rodziny królewskiej**
- 16 **Małgorzata Święchowicz straciła wzrok.** W sobotę o 10 dołączyła do miliona niewidomych i niedowidzących Polaków. Pouczające
- 20 **Plotka ma obezwładniającą siłę.** Zwłaszcza ta rodząca się z biedy, jak w Bielawie. Miasteczko na Dolnym Śląsku odwiedziła Anna Szulc
- 22 **Jakuza chroni, jakuzi radzi, jakuzi nigdy cię nie zdradzi.** A kiedy trzeba, pomaga ofiarom tsunami. Łukasz Wójcik o japońskiej mafii

## ROZMOWA „PRZEKROJU”

- 24 **Robert Mazurek pyta Macieja Szczęsnego,** czy wygramy Euro 2012

## CYWILIZACJA

- 26 **„Sonda” była pierwsza, najlepsza i ciągle o niej pamiętamy.** Jest szansa, że telewizja zdecyduje się na ponowną emisję legendarnego programu. Tekst Pawła Franczaka
- 30 **W okrągłą 125. rocznicę wynalezienia napoju** Piotr Stanisławski zanurza się w świat coca-coli
- 32 **Też pytanie!**
- 34 **Żebyś wiedział** o Wszechświecie
- 36 **Piotr Stanisławski testuje** iPada z

## NA POCZĄTEK



JACEK WAKAR

## Bagno wzbiera

**M**aciej Szczęśny żąda w „Przekroju” (s. 24) rozliczenia polskiego środowiska piłkarskiego. Nie on pierwszy i nie ostatni, dlatego jego głos zapewne pozostanie wołaniem na puszczy. Co nie oznacza, że wołać nie warto. Żyjemy w kraju, w którym kibol może spoliczkować piłkarza, a jego klub nabiera wody w usta, podczas gdy naturalnym krokiem byłoby skierowanie sprawy do sądu i oskarżenie bandyty o napaść. Co chwila wychodzą na jaw afery korupcyjne, w ostatnią zamieszanych jest szczęściu reprezentantów kadry Polski z jej gwiazdami włącznie, pojawia się tam również nazwisko selekcjonera. On zaś jawi się jako strzykający żółcią frustrat, nie bronią

go wyniki, a autorytet ma zerowy. Bagno się wylewa. Po wyprawie na Litwę polscy pseudokibice stają się postrachem Europy, przerażonej tym, co się może zdarzyć podczas Euro 2012. Oszukujemy samych siebie, z radością odliczając dni do startu mistrzostw, a jednocześnie różnym krokiem mierzymy ku katastrofie. Państwo bezradne wobec toczącej futbol patologii zapewne nie udźwignie ciężaru organizacji wielkiej imprezy. Piłkarze pod wodzą Smudy, jeśli nie zdarzy się cud, skompromitują się na całego. Najlepsze zatem byłoby dla nas, gdyby władze europejskiej piłki miłosiernie zdjęły z nas ten ciężar. Przynajmniej uniknęlibyśmy wstydu.

## KULTURA

- 38 **Ari Folman to jest gość.** Karolina Pasternak pojechała do Berlina, by porozmawiać z reżyserem o jego najnowszym filmie
- 42 **„Złota czara” Henry’ego Jamesa wreszcie ukazała się po polsku.** O czym donosi zasmucony Marcin Sendecki
- 44 **Jacek Wakar roznosi w puch** Warszawskie Spotkania Teatralne
- 45 **„Call of Juarez: The Cartel”** będzie kolejnym światowym przebojem polskiego studia – przepowiada Olaf Szewczyk
- 46 **Pablopavo mówi Jarkowi Szubrychtowi,** gdzie w Warszawie podają najlepszą lornetę z meduzą. I nie tylko
- 48 **Lektura:** Katarzyna Janowska rozmawia z Andrzejem Franaszkiem o Czesławie Miłoszu

## OTWÓRZ OCZY

- 52 **Potwory z wystawy** w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie opisuje Tadeusz Nyczek

## RECENZJE

- 58 **Muzyka:** Dunaj kłęka przed Foo Fighters
- 60 **Książki:** Nyczek zachwyca się Gondowiczem
- 62 **Film:** Pasternak krytykuje „Między światami”
- 64 **Teatr:** Sieradzki docenia „Sieroty”
- 66 **Komiks:** Frąckiewicz stawia 4 Zapico

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 68, 70, **Rozmaitości**
- 71, 74 z krzyżówką, Kronikami popkultury Orbitowskiego, Lewomyślnie Kurkiewiczą, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 72 **Dziennik** Jerzego Pilcha
- 73 **Stopklatka**
- 3, 32, 74 **Raczkowski**

## PRZEKROJ

**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Nowogrodzka 47 A,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33,  
faks 22 525 99 88, www.przekroj.pl,  
e-mail: redakcja@przekroj.pl  
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

**REDAKTOR NACZELNY:**  
Artur Rumianek  
**ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:**  
Donat Sztyler  
**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**SEKRETARZ REDAKCJI:**  
Piotr Witek

**SEKRETARIAT:**  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33  
**PRZED WSZYSTKIM:** wydarzenia@przekroj.pl,  
Mariusz Nowik (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz, Maciej Jarkowicz,  
Rafał Kostrzyński, Anna Szulc,  
Małgorzata Święchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczott;  
stałe współpracują: Agata Jankowska,  
Marcelina Szumer

**CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** nauka@przekroj.pl,  
Piotr Stanisławski (szef), Milena Rach-  
d-Chebat,  
Olaf Szewczyk; stałe współpracują:  
Irena Cieślinska, Urszula Dąbrowska,  
Piotr Kossobudzki

**KOMIĆ Z KULTURĄ:** kultura@przekroj.pl,  
Jacek Wakar (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,  
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska,  
Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

**ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA:**  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;  
stałe współpracują: Kaliber 45

**PRACOWNIA GRAFICZNA:**  
Beata Białogłowska-Piwko, Beata Danowska,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

**FOTODYSCJA:** foto@przekroj.pl,  
Marcin Kapica (szef), Marek Szczepański;  
stałe współpracują: Anna Bajorek

**KOREKTA:**  
Dorota Dul, Tatiana Hardej;  
stałe współpracują: Kinga Gruca

**PROJEKT GRAFICZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski

**ARCHIWUM:** Dominika Bok

**OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Andrzej Tchórzewski

**STRONA INTERNETOWA I IPAD:**  
Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)

**REDAKTORZY:** Monika Hrycko-Skowron,  
Tomasz Róg, Maria Włodkowska

**GRAFICY:** Katarzyna Bazela, Jakub Bieda,  
Martyna Marzec

**MULTIMEDIA:** Anna Bajorek, Mikołaj Tocki

**WYDAWCA:**  
Grzegorz Hajdarowicz

**PREZES WYDAWNICTWA:**  
Jan Godłowski

**DYREKTOR WYDAWNICTWA:**  
Sławomir Mokrzycki

**DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:**  
Artur Rumianek

**DYREKTOR PROGRAMOWA:**  
Katarzyna Janowska

**PROMOCJA I MARKETING:**  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski

**BIURO REKLAMY:**  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Makowski,  
p.o. dyrektor biura reklamy, 695 414 905,  
Małgorzata Skorupa 601 432 821,  
Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka  
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń  
501 227 979, Eliza Zyromska 785 855 886

**DYREKTOR DYSTRYBUCJI:**  
Elżbieta Maciążek

**DRUK:** RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian  
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



Rysunek na okładce: Tomasz Karelius, Studioliustracji.com

## PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, Allior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r. rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. Prenumerata przez RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pl.pl

## DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJE NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



vistula.p

VISTULA  
the men's world

# Akta sprawy „Jezus”

Jak długo wytrzymał przybity do krzyża? Czy bezpośrednią przyczyną zgonu było uduszenie, szok pourazowy, czy zawał serca? Może tylko udawał, że umiera, a potem wyjechał z kraju? Proszę wstać, będzie sąd nad teoriami dotyczącymi śmierci Jezusa Chrystusa

MALGORZATA ŚWIĘCHOWICZ

**C**o biegłym wiadomo w tej sprawie? - To mógł być zawał serca. Proces umierania i zgon przeanalizowałem drobiazgowo, odkładając na bok wiarę. Liczyły się wyłącznie parametry medyczne - zapewniam „Przekrój” profesor Władysław Sinkiewicz, kierownik Kliniki Kardiologii Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Kolejny biegły, doktor Pierre Barbet ze szpitala świętego Józefa w Paryżu, nie może nas o niczym zapewnić, bo nie żyje. Mówią jego eksperymety. Barbet, anatomopatolog, poświęcił wystarczająco dużo czasu i przybił do krzyża dostatecznie dużo ciał, aby dojść do wniosku, że Jezus musiał się udusić.

Frederick T. Zugibe, lekarz sądowy z hrabstwa Rockland w stanie Nowy Jork, w imię wyjaśnienia zagadki również powiesił na krzyżu wiele osób. Trzeba jednak zaznaczyć, że wyłącznie ochotników. Nikt z nich nie skarżył się na problemy z oddychaniem, ale za to wszyscy cierpieli z powodu rozdzierającego bólu rąk.

Oprócz opinii lekarzy na temat tego, czy i jak umarł Jezus, ważne okazały się też opinie fizyków, astronoma, astrofizyka, prawnika, psychologa, producenta krzyży, naukowców NASA, a nawet podróżników.

## Miejsce i data śmierci

Biegli są zgodni - to stało się w Jerozolimie, niespełna 1980 lat temu.



W tamtym czasie do świętego miasta w górach Judei na czas Paschy pielgrzymuje według różnych wycień od 100 tysięcy do ponad 2 milionów osób.

Każdy, kto może, zmierza do Przybytku w świątyni. To plac mierzący 144 tysiące metrów kwadratowych. Sanktuarium składa się z kilku dziedzińców. Już przy zewnętrznej balustradzie wiszą ostrzeżenia, żeby żaden cudzoziemiec - pod groźbą kary śmierci - nie przekraczał ogrodzenia świątyni.

Większa część wystąpienia Jezusa ma miejsce na zewnątrz Przybytku, na dziedzińcu pogan. Mimo to Chrystus i tak zostaje zauważony, drażni kapłanów oraz przedstawicieli arystokracji i uczonych w piśmie. Główne zarzuty członków Sanhedrynu: podburza lud do buntu, czyni cuda, podaje się za syna Boga.

Czy skazanie Jezusa na śmierć było zbrodnią sądową? Mecenas Łukasz Chojniak, który przygotowuje pracę doktorską o sądowych pomyłkach, nie ma wątpliwości, że w tym przypadku nie było nawet namiastki sądu. Wylącznie polityka. - To, co opisano w Ewangeliach, nie ma nic wspólnego z procesem, obiektywną oceną i wazaniem win. Tam się działy rzeczy, które trudno zrozumieć współczesnemu człowiekowi - twierdzi prawnik. - Nawet wyroki w czasach hitlerowskich czy stalinowskich zapadały pod płaszczykiem niezawisłego sądu. W sprawie Jezusa nikt nie zadbał choćby o ten płaszczyk.

Nie zapisano nawet daty wykonania wyroku śmierci. Wiadomo, że był miesiąc nisan, który przypada na wiosnę, pełnia księżyca. I że w czasie, gdy doszło do tragicznych wydarzeń, miało właśnie miejsce zaćmienie księżyca. Niby rzecz niecodzienna, ale biegli w fizyce i astrofizyce latami łamali sobie głowy, by ustalić jego choć przybliżoną datę. Analizowali warunki astronomiczne, Ewangelię, kalendarze.

Fizyk Isaac Newton zeznaje: śmierć Jezusa nastąpiła 3 kwietnia 33 roku lub 23 kwietnia roku 34.

Astronom Bradley Schaefer szacuje: musiał być to rok 33, jednak nie trzeciego, lecz czwartego dnia kwietnia.

Fizyk Colin J. Humphreys i astrofizyk Graeme Waddington dowodzą ostatecznie, że życie ukrzyżowanego Jezusa zatrzymało się 3 kwietnia 33 roku.

Taką datę przyjmuje też Watykan.

## Spocony krwią

Zanim Jezus zostanie skazany na śmierć, nawet zanim jeszcze ktokolwiek zamachnie się na niego i zada mu pierwszy cios, on już będzie krwawił. „Jego pot był jak gęste krople krwi, sączącej się na ziemię” - zauważa święty Łukasz, opisując Jezusa czuwającego w Ogrodzie Oliwnym. Co prawda ten świadek nigdy nie spotkał pokrzywdzonego, ale dysponował wiedzą medyczną, więc jego zapiski są cenne dla współczesnych lekarzy.

Czy naprawdę można pocić się krwią? Zdaniem francuskiego doktora Pierre'a Barbeta - jak najbardziej. Amerykański specjalista od medycyny sądowej, profesor Frederick T. Zugibe, też się temu nie dziwi. Podkreśla, że krwawy pot widuje się na przykład u ofiar gwałtów czy więźniów skazanych na karę śmierci. Gdy człowiek boi się i targają nim silne emocje, podskórne naczynia włosowate mogą się rozszerzać i pękać przy zetknięciu z rozsiyanymi w skórze gruczołami potowymi. Wtedy właśnie krew miesza się z potem.

- W nauce zjawisko to zostało opisane jako *hematidrosis* - potwierdza profesor Władysław Sinkiewicz z UMK. - To rzadkie przypadki, lecz spotykane.

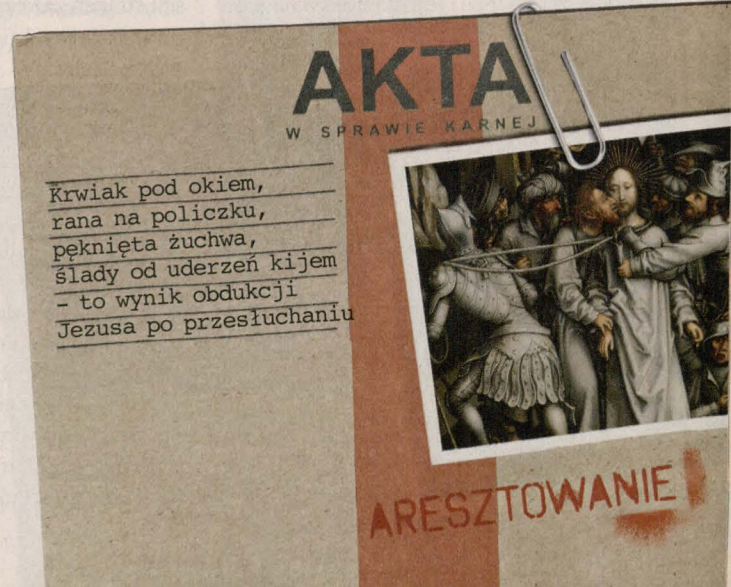
Doktor Wang Zhao-yue z Jiangsu Institute of Hematology wie o około 80. Najświeższy pochodzi z marca tego roku z Chin. 13-letnia dziewczynka oblewa się krwią już trzeci rok. Krwawe ślady najpierw pojawiły się na jej języku, później krew zaczęła wyciekać spod pa-

znokci, aż w końcu krwawo zaczęły pocić się jej dłonie, wewnętrzna strona przedramion, stopy i czoło. Chwilowo pomaga podanie propranololu. Lek osłabia działanie hormonu stresu i obniża ciśnienie, przez co zmniejsza się objętość krwi pompowanej przez serce. Jezus nie miał do dyspozycji takich luksusów.

Doktor Barbet jako naukowiec wnioskuje, że Jezus oblał się krwawym potem na myśl o czekających go mękach. Jako człowiek wierzący przypuszcza, że zdrowiu Chrystusa zaszkodził też ciężar wszystkich ludzkich grzechów, które wziął na siebie. Prawdopodobnie przeżywał silne cierpienia psychiczne, jeszcze zanim został zatrzymany oraz skazany. Potem doszły męki fizyczne.

Święty Marek (uważany przez część badaczy Pisma Świętego za świadka aresztowania Jezusa, choć wielu ekspertów się temu sprzeciwia) spisuje, co mu wiadomo w sprawie: żołnierze zaprowadzili Jezusa do pretorium i zwołali cały oddział wojska, po czym zarzucili mu na plecy purpurowy płaszcz, a na głowę wciśnęli koronę z cierni i drwili z niego. Dalej zeznaje: „I zaczęli Go pozdrawiać: Witaj, Królu Żydowski! Przy tym bili Go trzcina po głowie i przyklekając oddawali Mu hołd”.

Święty Łukasz potwierdza: „Tymczasem ludzie, którzy pilnowali Jezusa, naigrawali się z Niego i bili Go. Zaslaniali Mu oczy i pytali: Prorokuj, kto Cię uderzył?”



→ - Od momentu pojmania Jezus jest traktowany jak ktoś, kim nie warto się przejmować, bo za chwilę i tak zostanie unicestwiony - wyjaśnia profesor Sinkiewicz. - Bicie skazańca to zwyczajowy wstęp do ukrzyżowania. Wymierzało się razy zwane policzkowaniem, ale nie było to lekkie muśnięcie dłonią, lecz silne uderzenia pięścią, także kijem.

Profesor, studiując ślady na Całunie Turyńskim, wystawia obdukcję: Jezus ma duży krwiak pod prawym okiem, szeroką ranę od nosa przez policzek, wyrwane włosy z brody, pękniętą żuchwę, pęknięte łuki brwiowe, złamany nos. Katowany, torturowany, ciągnięty na przesłuchania od Annasza do Kajfasza, od Piłata do Heroda, a od Heroda znów do Piłata, Jezus traci siły.

Na całunie, jeśli wierzyć w jego prawdziwość (o czym piszemy dalej), odbija się ostatecznie 700 śladów różnych ran, z tego 121 to ślady ran głębokich, które mogły powstać po biczowaniu.

- Biczowano w stylu rzymskim, więc razy padały bez ograniczeń. Zalecenia były takie, żeby raczej nie uderzać w okolice brzucha i serca, bo to mogłoby zbyt szybko doprowadzić do zgonu i uwolnić skazanego od bólu - relacjonuje profesor Sinkiewicz. - Uderzało dwóch ludzi, prawdopodobnie biczami o krótkiej rękojeści, z kilkoma rzemieniami zakończonymi żelaznymi kulkami lub ostrymi kośćmi zwierzęcymi. Te były jeszcze gorsze od kulek, bo wbijały się w ciało, wyrwały skórę, rozrywały naczynia, odsłaniały nerwy i mięśnie, penetrowały do kości.

Zanim Jezus zostanie ukrzyżowany, krwawi, poci się, odwadnia.

W opinii biegłych medyków szybka utrata płynów z organizmu mogła doprowadzić do wstrząsu hipowolemicznego, a już samo to mogło zabić. Jezus jest skrajnie wyczerpa-

ny, prawdopodobnie w szoku, ma dreszcze, a także urazy nerwów głowy, w którą powbiły się ciernie. Lekarze nie wykluczają, że doszło do podrażnienia nerwu trójdzielnego. Potocznie mówi się na to rwa twarzowa - ból przypominający silne rażenie prądem rwie i piecze tak, że aż wyciska łyżę.

Nawet współcześnie, mając do dyspozycji szeroką gamę silnych preparatów przeciwbólowych, trudno to opanować. Bywa, że jedynym sposobem ulżenia cierpiącemu z powodu rwy jest operacja neurochirurgiczna.

### Skąd krzyż, skoro słup?

Profesor Sinkiewicz po spojrzeniu na Jezusa jak na zmaltretowanego człowieka widzi go zupełnie inaczej niż renesansowi artyści. - Przedstawiali oni Jezusa naprawdę bardzo ładnie, gładko, nieprawdziwie - mówi.

Tak jak nieprawdziwe są obrazy, na których Jezus dźwiga wielki krzyż. - Nie udźwignąłby, nie ma mowy - przekonuje profesor Sinkiewicz. - Był już bez sił, w stanie krytycznym.

Dochodzimy do drugiego problemu: wagi krzyża. - Te wysokie, które widzimy przy kościołach, mogą ważyć nawet ponad 600 kilogramów - ocenia Wiesław Skolimowski, biegły w sprawie krzyży, który produkuje je w Bolestach w gminie Olszanka. - Oczywiście to waga orientacyjna, wiele zależy od drewna. Na przykład dąb jest od sosny cięższy o jedną trzecią - dodaje.

Nie wiadomo, jakiego drewna użyto dwa tysiące lat temu i na jakim krzyżu powieszono Chrystusa. Mimo to wiele wskazuje, że nie był to krzyż łaciński, jaki znamy z kościelnych obrazów. Prawdopodobnie miał kształt litery „T” i od dwóch do dwóch i pół metra wysokości. W związku z tym ważył - jak się ocenia - 140 kilogramów. Jednak nawet i taki ciężar był nie do udźwignięcia, więc na miejscu straceń zawczasu wbijano pionowy słup (łac. *stipes*), a skazany donosił jedynie poprzeczną belkę (łac. *patibulum*). Co i tak było udręką, bo belka mogła ważyć 50 kilogramów i była nieoheblowana, przez co w ciało skazańca wbijały się drzazgi. Na miejscu egzekucji czekał go jeszcze większy ból. By go zadać, żołnierze sięgali po gwoździe i młotek.

## Stygmaty przed sądem

Święty Paweł w Liście do Galatów pisze: „...albowiem ja znaki Pana Jezusowe noszę na ciele mojem”. Paweł prawdopodobnie zadał je sobie sam. Nożem. Ale Kościół katolicki zanotował 403 przypadki osób, których ciała naznaczone były prawdziwymi znakami Pana, czyli krwawiącymi ranami w miejscach, w których okaleczony był Chrystus. Aby Kościół uznał taki przypadek, rany muszą pojawiać się spontanicznie, nie mogą ropieć ani gnić, krew musi być tętnicza, a rana nie może reagować na medykalia. Pierwszym uznanym stygmatykiem był święty Franciszek z Asyżu. Prawdziwy wysyp stygmatyków nastąpił w XVI wieku. W XX wieku było ich tylko trzech, ze słynnym ojcem Pio na czele.

Wątpliwości pojawiły się, gdy stygmatami zajęła się nauka. Pierwszy problem to miejsca okaleczeń. Większość stygmatyków miała rany na dłoniach, a dziś historycy są już pewni, że Rzymianie przebili Jezusowi nadgarstki. Poza tym według chrześcijańskiej tradycji żołnierze przebili włócznią prawy bok Jezusa, a wielu stygmatyków miało rany po lewej stronie tułowia. Drugi problem to sposób, w jaki pojawiały się rany. Nauka skłania się ku tłumaczeniu tego efektem psychosomatycznym, czyli zjawiskiem, kiedy emocje wpływają na fizjologię. Krótko mówiąc: organizm osoby religijnej, która silnie przeżywa śmierć Jezusa na krzyżu, może sam wytworzyć rany. Zigmunt Freud uważał stygmaty za rezultat „nieuświadomionego poczucia winy”, a ich umiejscowienie miało odpowiadać nie tradycji, lecz osobistym wyobrażeniom stygmatyka. Jednak ze względu na rzadkość występowania stygmatów i towarzyszące im emocje religijne badania nad nimi nie są ujęte przez systematyczną wiedzę medyczną. luc

Doktor Barbet, który już na początku lat 30. ubiegłego wieku zajął się badaniem szczegółów technicznych ukrzyżowania Jezusa, rekonstruował tę scenę krwawą metodą prób i błędów. Wstawił do laboratorium krzyż i przybijając do niego ludzkie zwłoki, mierzył, liczył, sprawdzał, czy to możliwe, by Jezus utrzymał się na krzyżu przybity za dłonie. Tak to jest przecież przedstawiane na obrazach.

### Przybity za dłonie? Odpada

Ponieważ wieszanie ciał szybko zmęczyło naukowca, zaczął wieszać na krzyżu tylko ich fragmenty, co szczegółowo opisał: „Po dokonaniu amputacji dwóch trzecich kończyny górnej pełnego wigoru mężczyzny wbitem kwardratowy gwoździe o grubości 1/3 cala (gwoździe pasyjne) w środek dłoni (...) do łokcia delikatnie przymocowałem ciężar o wadze 45 kilogramów (połowa wagi ciała dorosłego mężczyzny o wzroście metr osiemdziesiąt). Po 10 minutach rana rozciągnęła się. (...) Potrząsnąłem lekko całością i ujrzałem, jak gwoździe zaczyna-

przedzierać się między kośćmi śródreżca, rozrywając obficie skórę. (...) Przy drugim lekkim potrząśnięciu to, co trzymało się na resztkach skóry, zerwało się całkowicie”.

Doktor musiał tak potraktować aż 12 ramion, by dojść do przełomowych wniosków. Otóż ukrzyżowanych nie przybijano za dłonie, jak się powszechnie sądzi. Gwoździe musiał wejść w odpowiednią szczelinę w kości nadgarstka, by ciało pod własnym ciężarem nie zerwało się z krzyża.

- Przechodząc między kośćmi, gwoździe mógł nawet nie powodować złamań - tłumaczy profesor Sinkiewicz. - Ale uszkadzał okostną, mógł niażdżyć nerw pośrodkowy, powodując rozrywający ból ramion, porażenie części kończyn, niedokrwienne przykurcze. Przybijano też przecież nogi - także i tu dochodziło do bolesnych urazów. Jezus poza uszkodzeniem nerwów miał również zwichniętą prawą stopę.

Frederick T. Zugibe zaczął interesować się szczegółami ukrzyżowania ponad pół wieku temu, kiedy jeszcze nawet nie myślał, że zostanie profesorem patologii na Uniwersytecie Columbia. Zobaczył, co robił Pierre Barbet, i pomyślał: „O Jezu, to fascynujące”. Kazał zbudować krzyż i też zaczął eksperymentować, tyle że nie ze zwłokami. Do ukrzyżowania zgłaszali się żywi ochotnicy, na początek prawie stu z grupy religijnej miejscowego zakonu świętego Franciszka. Choć Zugibe zamiast gwoździ stosował skórzane pasy, to i tak ludzie na krzyżu nie wytrzymywali dłużej niż 45 minut. Niektórzy chcieli, żeby ich zdjąć już po pięciu, tak dokuczliwy był ból ramion i dłoni. W szóstej minucie większość zaczynała się nadmiernie pocić, w dziesiątej pojawiało się już uczucie sztywności w klatce piersiowej i skurcze nóg.

W relacji wspomnianego już Łukasza Ewangelisty Chrystus umierał na krzyżu około trzech godzin.

Zdaniem doktora Barbeta po prostu się uduślił. Według przybijającego zwłoki do krzyża Francuza to ostateczna przyczyna jego zgonu.

Doktora Zugibe przekonuje, że śmierć nastąpiła wskutek wstrząsu wywołanego bólem i utratą płynów, co doprowadziło do niewydolności krążeniowej.

- Trudno wskazać jedną przyczynę - twierdzi z kolei doktor Sinkiewicz. Nie wyklucza, że mogło dojść do pęknięcia serca (wolnej ściany lewej komory) z wylaniem się krwi do worka osierdziowego. Jest kardiologiem, więc zwrócił baczna uwagę na to, jak bardzo było narażone serce Jezusa. Na listę możliwych przyczyn zgonu profesor wpisuje też ostrą niewydolność oddechowo-krążeniową

spowodowaną urazami klatki piersiowej, ciężkie zapalenie płuc z wysiękiem w jamie opłucnowej, wstrząs pourazowy, pokrwotoczny, hipowolemiczny, a nawet zawał.

### Spisek ratujący życie

A co, jeśli to nie Jezus umarł na krzyżu? W tym miejscu warto przypomnieć relację z apokryficznej Ewangelii Barnaby. Można się z niej dowiedzieć, że to nie Jezus został ukrzyżowany, ale bardzo do niego podobny Judasz. Teorię o zostawieniu Jezusa przy życiu powszechnie przyjmują na przykład muzulmanie. Koran, mówiąc o Żydach, stwierdza: „Powiedzieli: zabilimy Mesjasza, Jezusa, syna Marii, posłańca Boga - podczas gdy oni ani Go nie zabili, ani Go nie ukrzyżowali, tylko im się tak zdawało”.

Czyby scena egzekucji została odegrana? Takim tropem idą między innymi autorzy książki „Święty Graal, święta krew” M. Baigent, R. Leigh, H. Lincoln. I nie są jedynymi, którzy uparcie forsują teorię o spisku mającym na celu ocalenie Jezusa. W wielkim skrócie miałyby to wyglądać tak: albo ukrzyżowano kogoś innego, albo Chrystus został przybity do krzyża, lecz Józef z Arymatei zapłacił żołnierzom, a być może nawet Piłatowi, żeby móc ściągnąć skazańca, zanim umrze.

Jak zeznawał w swojej Ewangelii bliski towarzysz Jezusa święty Jan, ukrzyżowany umarł w chwili, gdy podano mu do ust gąbkę nasyconą octem. „Dokonało się” - rzekł wtedy Jezus i „skłoniwszy głowę, oddał ducha”.

Ocet dla współczesnych Chrystusowi mógł znaczyć tyle, ile kwaśne wino. Ale czy musiał? Wcale nie.

Badacz życia Jezusa Holger Kersten w książce „Jesus Lived in India” rozumie tak: nazwa octu, po łacinie *acetum*, pochodzi od słowa *acidus* (kwaśny), a w Persji używano do narkozy rośliny *Asclepias acida* (czyli kwaśna). Dodawano do niej konopie indyjskie i tak powstał podobny napój zwał się *homa* i mógł wywołać omdlenie trwające do dwóch dni. Zwolennicy teorii Kerstena wskazują też na opium. Ich zdaniem narkotyki mógł zadziałać usypiająco, przeciwbólowo, spowodować zwolnienie oddechu. Można było przyjąć, że Jezus nie żyje, ściągnąć go z krzyża, podleczyć...

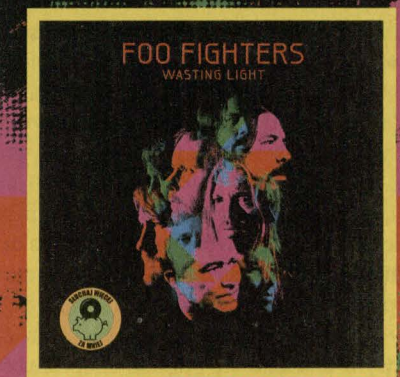
- Co za bzdury - oburza się profesor Sinkiewicz. - Skąd ktoś w tamtych czasach miałby wiedzieć, ile narkotyku podać, żeby dawka nie była ani za duża, ani za mała?

On jako lekarz nie ma wątpliwości - Jezus doznał tylu obrażeń, że nie mógł tego przeżyć. A już z pewnością nie mógłby przeżyć →

REKLAMA

Sluchaj więcej za mniej

Nowa płyta gigantów rocka!



FOO FIGHTERS 'WASTING LIGHT'

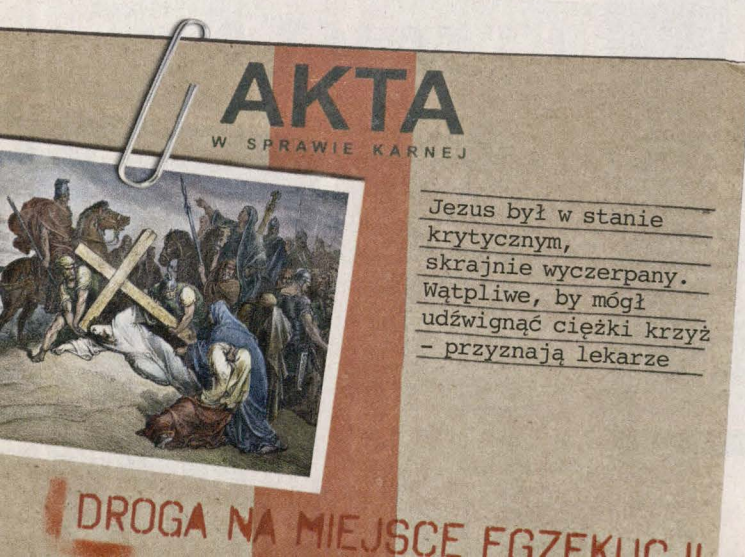
Wyprodukowany przez Butcha Viga album zawiera singiel 'Rope'

CD w niskiej cenie /2LP

eska ROCK cojesticrane PRZE KROJ students.pl

WOLNIA MUZYKI! egm.pl INTERIA.PL

WWW.SONYMUSIC.PL WWW.FACEBOOK.COM/SONYMUSICPOLAND WWW.TWITTER.COM/SONYMUSICPL



→ przebicia boku włócznią, co stało się przed samym zdjęciem z krzyża i prawdopodobnie spowodowało uszkodzenie opłucnej oraz osierdza.

Dla myślących tak jak profesor Sinkiewicz wysoce prawdopodobnym dowodem wszystkich cierpień, jakich doznało ciało Jezusa, jest Całun Turyński. Choć wynik badania wieku płótna metodą węgla <sup>14</sup>C nie jest jednoznaczny. Wynika z niego bowiem, że tkanina może pochodzić z XIII lub nawet XIV wieku. Mimo to na świecie istnieje liczna grupa „całunowców”, którzy nie biorą tego pod uwagę, ale syca się innymi badaniami. Na przykład tymi, dzięki którym naukowcy z NASA odkryli, że w miejscu oczodołów postać na całunie ma odbicia dwóch monet rzymskich pochodzących z początku I wieku. W miejscu prawego oczodołu odcisnął się lepton lituus bity przez Poncjusza Piłata w roku 29, w lewym znalazło się odbicie dileptonu cesarza Tyberiusza wybitego ku czci jego żony Julii w tym samym roku.

To, że na całunie znajdują się ślady męskiej krwi, wynika z testów przeprowadzonych w Centrum Badań Genetycznych w Teksasie. A że to krew grupy AB, dowodzą z kolei badania w Katedrze Medycyny Sądowej w Turynie. Jezus był Żydem sefardyjskim, a wśród nich ta grupa krwi występowała sześć razy częściej niż u reszty populacji.

Jeśli ktoś jest bardzo przywiązany do statystyk, zapewne ucieszy się, że są na świecie matematycy oceniający, iż właściwie to niemal niemożliwe, by całun był falsyfikatem. Według nich prawdopodobieństwo wynosi tylko jeden do ponad 18 miliardów. Nie może więc dziwić, że dla olbrzymiej grupy ludzi płótno z wizerunkiem Jezusa jest dowodem jego śmierci.

Istnieje też hipoteza, według której Jezus żył, gdy owijano go płótnem. Jej zwol-

nicy trzymają się tego, że krwawił, wydzielał ciepło, energię. Są już nawet książki na temat tych „energetycznych” teorii. A rozpowszechnienie ich rodzi kolejne pytania i wątpliwości. Skoro Jezus nie zmarł, to także nie zmartwychwstał. A skoro tak, to co się z nim stało?

### Zabili go i uciek?

Ponoć niektórzy widzieli go w Indiach – zarówno przed ukrzyżowaniem, jak i po nim. W budowaniu indyjskich wątków znaczący udział mają podróżnicy. Pod koniec XIX wieku rosyjski dziennikarz Nikołaj Notowicz odkrył ponoć w klasztorze Himis rękopisy świadczące o 18-letnim pobycie Jezusa w Indiach. Książkę o jego nieznanym życiu Notowicz wydał w kilku językach, co zainteresowało naukowców. Podążyli tym tropem i doszli jedynie do tego, że Rosjanin zmyśla. Przejrzał go najpierw indolog profesor Max Müller z Oksfordu, potwierdzając, że nie ma w kanonie literatury tybetańskiej żadnych rękopisów, w których zachowałaby się choć ślad po Jezusie. Z kolei profesor Archibald Douglas w 1896 roku zadał sobie trud i pofatygował się śladami Notowicza. Odpisał przełożonego klasztoru Hemis, który ani nie potwierdził informacji o tajemniczych rękopisach, ani nawet nie mógł sobie przypomnieć, by ktoś taki jak Nikołaj Notowicz kiedykolwiek go odwiedził.

Trop indyjski wciąż jednak odżywa – podążają nim kolejni odkrywcy zagadek życia i śmierci Jezusa. Ma w tym swój udział także polski lekarz i podróżnik Waław Korabiewicz, który opierając się między innymi na rewelacjach rosyjskiego dziennikarza, napisał książkę o tym, że Jezus mógł wyjść z ukrzyżowania obronną ręką i ruszyć dalej trasą Jerozolima-Góra Oliwna-Jezioro Tyberiadzkie-Damaszek-Nisibis-Indie. Ponoć byli tacy, którzy Chrystusa tam widzieli.

Halucynacje? Są i takie teorie. Psychologiczne i psychiatryczne badania dowodzą, że jeśli umiera ktoś bardzo nam bliski, to nie zrywamy z nim kontaktu, tylko czujemy „intuicyjną obecność ducha osoby zmarłej”. 30 lat temu angielski lekarz Dewi Rees przebadał bli-

### Krótką historia ukrzyżowania

Na ten sadystyczny sposób uśmiercania pierwsi wpadli Persowie. Słynny szachinżach Dariusz Wielki lubował się w wymyślaniu różnych wariantów ukrzyżowania przed murami Babilonu. Chodziło o możliwie największe upodlenie skazańca – aby wisiał i nie splamił ziemi. Mistrzostwo w tej dziedzinie osiągnęli Rzymianie, którzy nauczyli się krzyżowania od Kartagińczyków. Od siebie dołożyli przybijanie strażnika gwoździami i tablicę z informacją, kto wisi na krzyżu. To właśnie Rzymianie w I wieku przed Chrystusem przeprowadzili najliczniejsze zbiorowe ukrzyżowanie w historii – wzdłuż Via Appia zawisło sześć tysięcy niewolników, którzy wzięli udział w buncie Spartakusa. Oprócz Jezusa najsynniejszym ukrzyżowanym był Piotr Apostoł, który jednak poprosił, aby powieszono go głową w dół. W 337 roku pierwszy chrześcijański cesarz rzymski Konstantyn Wielki przez szacunek dla Jezusa zakazał uśmiercania w ten sposób.

sko 300 wdów oraz wdowców i niemal połowa przyznała, że ma halucynacje po zgonie współmałżonka. Z tego większość odczuwała obecność zmarłej osoby, co szósty ją widział, a co dziesiąty z nią rozmawiał.

– Zdarza się coś takiego jak uwewnętrznienie obiektu – mówi Krzysztof Kościołek, psychoterapeuta, który prowadzi zajęcia z ludźmi w żałobie. – Przywołuje się wspomnienia osoby, która odeszła. Ja bym jednak nie nazywał tego halucynacjami – zaznacza.

Wróćmy jednak do teorii próbujących wyjaśnić, dokąd odszedł Jezus, jeśli nie umarł na krzyżu. Mówią o tym podania wciąż żywe wśród mieszkańców Azji i Bliskiego Wschodu, powtarzane nawet w Syrii, Iranie i Afganistanie. Według jednych legend Jezus widzialny był w pobliżu Urfy w Turcji, według innych udał się do górskiej twierdzy Masada na Pustyni Judzkiej. Wielu zwolenników ma również teoria, że Chrystus żył i umarł w Kaszmirze jako Yuz Asaf i tam, w starej dzielnicy Srinagaru, znajduje się jego grób znany jako Roza Bal (Grób Proroka). To parterowy pawilon, który z zewnątrz bardziej przypomina sklep z pamiątkami niż miejsce spoczynku. Ponoć w środku oprócz grobu Jezusa są też jego ślady – dwa odciski stóp na kamiennej posadzce, a na każdym ślad po wbitych gwoździach. Niestety, trzeba chyba cudu, żeby je teraz zobaczyć. Zarządcy sanktuarium trzy lata temu zatrzęsli drzwi przed ciekawskimi. Mieli dość pielgrzymek turystów i próśb o otwarcie grobu w celu pobrania próbki DNA.

# Majówka na lodowcu

zillertalinfo.pl



The Polish Pow(d)er Week in Hintertux

## 30.04-7.05.2011

### Codziennie bezpłatnie na lodowcu:

- ski & snowboardtest sezonu 2011/2012
- skiguiding z polskimi instruktorami
- przedszkole dla maluchów
- konkursy
- polskie granie z polskim DJ-em

Sponsor główny

PLAY

Partnerzy medialni

onet.pl tvn meteo

Partnerzy



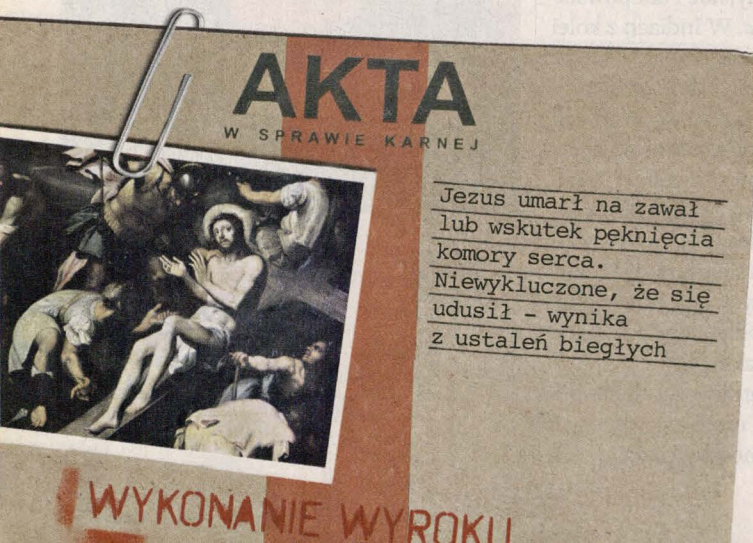
Organizatorzy



### Program popołudniowo-wieczorny:

- Niedziela, 1.05
  - \* ognisko powitalne
- Poniedziałek, 2.05
  - \* Nordic Walking
  - \* koncert Małgorzaty Ostrowskiej
- Wtorek, 3.05
  - \* trening przed zawodami
  - \* turniej tenisa stołowego
  - \* dyskoteka
- Środa, 4.05
  - \* zawody narciarsko-snowboardowe o Puchar Świstaka
  - \* koncert grupy Cree
  - \* w przerwie rozdanie nagród i losowanie vouchera
- Czwartek 5.05
  - \* koncert grupy Golden Life
- Piątek, 6.05
  - \* relaks w świecie wodnym Erlebenistherme

Więcej informacji szukaj na stronie [www.zillertalinfo.pl](http://www.zillertalinfo.pl)



# Ciszej nad tym ślubem



Brytyjska rodzina królewska dobrze wygląda tylko na zdjęciach. Jej historia pełna jest wstydliwych faktów

Dużo lukru nagromadziło się w ostatnich tygodniach wokół brytyjskiej rodziny królewskiej. Najpierw świetnie zrealizowany, ale koszmarne przekłamany film o jękającym się królu. Teraz bajkowe love story księcia Williama i Kate Middleton. Byłoby słodko, gdyby nie trupy w szafie

RAFAL KOSTRZYŃSKI

**P**ałac Buckingham ma znakomitych speców od komponowania laurek. Dzięki nim dla przeciętnego obywatela królowa Elżbieta II i jej najbliżsi to plejada osobistości, które co prawda większość czasu spędzają na odbieraniu parad, jeździe konno i konsumpcji dań o nazwach trudnych do zrozumienia, ale robią to z wdziękiem i estetycznie. Są ci laurkopisarze tak pracowici, że Francis Wheen, felietonista dziennika „The Guardian” i autor książki „Jak brednie podbiły świat”, użył wobec nich określenia z zupełnie innej bajki: stachanowcy. Dzięki nim wiemy, że rodzina królewska zajmuje się głównie nikomu niepotrzebnymi rzeczami: uśmiecha się w celach charytatywnych, przecina wstęgi, pojawia się i popiera. A czy jest coś, czego dzięki nim nie wiemy?

Timothy Bell, były doradca premier Margaret Thatcher, tak odpowiedział na to pytanie: „Absolutnie nikt nie wie, co królowa sądzi o czymkolwiek”. Chodziło mu wprawdzie o królową matkę (wyniesioną przez hagiografów niemal do rangi bóstwa), ale ta wstrząsająca prosta konstatacja pasowałaby do całego rodu Windsorów: królów, królowych, księżąt i księżnych. „Pasowałaby”, a nie „pasuje”, bo jednak co nieco wiadomo o ich sądach o czymkolwiek. I nic dziwnego, że królewscy kronikarze wołają pomijając to milczeniem. Milczeniem wstydliwym.

## Nierówni goście

Ślub księcia Williama i Kate Middleton na pewno będzie nie lada wydarzeniem w świecie arystokratycznej socjety. Liczba zaproszo-

nych osób może nie oszałamia (650 – na większych weselach w Polsce bywa więcej), ale tu liczy się jakość, nie ilość. Na śniadaniu po mszy w westminsterskiej katedrze pojawią się sami przebogaci goście. Niektórzy nie mają może krystalicznej reputacji, ale mają zasług. Będzie kazachski oligarcha Timur Kuanyszew, klasyczny przykład tego, że w czasach sowieckich dobrze było mieć ojca w partii. O tym, że Kuanyszew szybko dorobił się fortuny, świadczy to, że w 1993 roku został zatrzymany wraz z żoną na moskiewskim lotnisku Domodiedowo za próbę przemytu miliona dolarów. Zaproszenie to nagroda za hojne wspieranie Opery Królewskiej.

Będzie florencki arystokrata Marchesi Vittorio Frescobaldi, którego ród od XIII wieku sponsoruje monarchów w Londynie.

W 1270 roku udzielił królowi Edwardowi I pożyczki na prowadzenie wojen.

Znajdzie się także miejsce dla kontradmirała, sir Donalda Goslinga, który wprowadził wcale nie jest kontradmirałem (to tylko tytuł honorowy za finansowe wsparcie Marynarki Królewskiej), ale trzy lata temu pożyczył swój stumetrowy jacht księciu Karolowi i jego żonie Camilli na rejs po Morzu Karaibskim. Koszt rejsu wyniósł 220 tysięcy funtów, a pokryli go brytyjscy podatnicy.

Na liście jest również Joe Allbritton, były właściciel banku Riggs zwanego bankiem prezydentów, bo podobno pomagał niektórym z nich (w tym byłemu dyktatorowi Chile Augusto Pinochetowi) w praniu brudnych pieniędzy.

Nie zabraknie też Jürgena Pierburga. To syn przedsiębiorcy, który nadzorował produkcję na potrzeby przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy, i jednocześnie bratanek pułownika SS skazanego po wojnie na 25 lat więzienia. Takie koligacje rodzinie królewskiej nie przeszkadzają, bo wielu jej członków mniej lub bardziej otwarcie sympatyzowało z Hitlerem.

## I z Adolfem, i z Rudolfem

Te sympatie to jeden z najbardziej wstydliwych wątków w historii królewskiej rodziny – zwłaszcza że nie był to żaden przelotny flirt z nazizmem, lecz stały element polityki

Pałacu Buckingham. Najkrócej mówiąc, chodziło w tej polityce o utrzymanie się przy władzy za wszelką cenę, nawet za cenę podporządkowania Wielkiej Brytanii Hitlerowi. Da się to wytłumaczyć. Ród panujący obecnie na Wyspach jest silnie związany z niemiecką arystokracją przez ślub królowej Wiktorii z księciem Albertem Sachsen-Coburg-Gothą. Związek ten nabrał szczególnego znaczenia, gdy Hitler po dojściu do władzy zaczął snuć plany podboju Europy.

Brytyjska monarchia wspierana przez premiera Neville'a Chamberlaina prowadziła wobec dyktatora politykę ustępstw – nie tylko po to, by uniknąć wojny, ale też z czystej sympatii do nazizmu. Największym apologetą Hitlera okazał się Edward VIII, który zasiadł na tronie w styczniu 1936 roku i z miejsca zaczął przygotowania do zawarcia sojuszu z III Rzeszą. Pewnie by mu się to udało, gdyby nie został po roku zmuszony do abdykacji z powodu związku z Wallis Simpson, rozwódką, której Pałac Buckingham nie chciał zaakceptować. Po rezygnacji z tronu zdegradowany do tytułu księcia Windsoru odwiedził Niemcy wspólnie z Simpson (wtedy już księżną). Rozmawiał z Hitlerem, spotkał się z jego zastępcą Rudolfem Hessem, zwiedził nawet obóz koncentracyjny. Z odtajnionych w 2003 roku dokumentów wynika, że podczas tej wizyty książę uzyskał od Hitlera zapewnienie, że po inwazji na Wielką Brytanię pomo-

że mu odzyskać królewskie insygnia. Wódz III Rzeszy miał też powiedzieć, że z pani Simpson byłaby znakomita królowa.

## Głupi król, silna królowa

Książę Windsoru nawet po wojnie nie wyrzekł się swoich poglądów. Jeszcze w 1970 roku powiedział, że nigdy nie uważał Adolfa Hitlera za drania. I nie był w swoich poglądach odosobniony. Jego następca Jerzy VI tylko w filmie „Jak zostać królem” był władcą zdecydowanym stawić czoła hitlerowskiemu Niemcom. I tylko w tym filmie Winston Churchill był jego przyjacielem. W rzeczywistości jękający się król i jego żona, zwana później królową matką, szczerze nienawidzili tego stanowczego polityka za jego antynazistowską postawę i robili wszystko, by uniknąć wojny. W 1938 roku wysłali premiera Chamberlaina na konferencję monachijską, na której zatwierdzono rozbiór Czechosłowacji (szef brytyjskiego rządu był zresztą inicjatorem tej konferencji), a w kwietniu 1939 roku, na kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej, złożyli Führerowi serdeczne życzenia z okazji urodzin. Gdyby nie Churchill, który już jako premier w 1940 roku dał odpór armii III Rzeszy, Niemcy pewnie zajęliby Wielką Brytanię.

Z kolei gdyby nie laurkopisarze z Buckingham, królowa matka nie zostałaby pewnie tak popularną monarchią. Według tych, którzy widzieli wciąż utajnioną korespondencję Elżbiety do lorda Halifaxa (szefa dyplomacji w rządzie Chamberlaina), najważniejsze dla niej było ocalenie monarchii po wkroczeniu Niemców do Londynu.

Z dziennika Woodrowa Wyatta, przyjaciela królowej matki, można także się dowiedzieć, że sympatyzowała nie tylko z Hitlerem. Ceniła Pietera Willema Bothę, ostatniego przywódcę RPA ery apartheidu („To okropne, że BBC przedstawia go w tak niekorzystnym świetle” – narzekała). Nie lubiła za to kobiet, które domagały się prawa do święceń kapłańskich („Zawsze wydają się takie agresywne”). O Żydach mówiła, że się izolują i są dziwni. A gdy w 1938 roku pojechała z królem do Francji, premier tego kraju Édouard Daladier tak ją podsumował: „To przesadnie ambitna kobieta, gotowa poświęcić każdy kraj, byleby zostać królową”. W oficjalnych życiorysach o tym nie przeczytacie. Tak jak o tym, że kto z jej otoczenia sprzeciwiał się Jerzemu VI, ten tracił pracę i sympatię dworu, jak w 1943 roku osobisty królewski sekretarz Alexander Hardinge. Jaki był w tym udział Elżbiety? Według brytyjskiego dyplomaty Olivera Harveya →



Księżu Filipowi (na zdjęciu w kółku), mężowi Elżbiety II, zawsze było po drodze z nazistami

→ - decydujący. „Król jest zasadniczo człowiekiem słabego charakteru i dość głupi. Królowa jest silna” - napisał Harvey, komentując wyrzucenie Hardinge’a.

W 1945 roku skończyła się wojna. W 1952 zmarł Jerzy VI i nastąpiły czasy królowej Elżbiety II i jej męża księcia Filipa. Wszystko się zmieniło, tylko oskarżenia Windsorów o nazistowskie sympatie pozostały.

### Filip chce być wirusem

Jest takie zdjęcie z 1936 roku przedstawiające Filipa, wówczas 15-letniego młodzieńca, na pogrzebie swojej starszej siostry Cecylii. Obok niego stoją krewni w mundurach SS. Jest też inne z tych czasów, zrobione na ślubie Hermanna Göringa. Sophie, młodsza siostra Filipa, siedzi przy stole naprzeciwko Hitlera. O istnieniu tych fotografii przypomnieli cztery lata temu amerykański konserwatywny komentator radiowy Lee Rogers przy okazji oficjalnej wizyty brytyjskiej pary królewskiej w Białym Domu. Znany z ciętego języka i tym razem nie przebierał w słowach. „Elżbieta II i Filip powinni mieć zakaz wstępu na terytorium USA” - powiedział.

Nie chodziło mu tylko o fotografie. Zwrócił uwagę, że książę nawet po wojnie był apologetą nazizmu; że jeszcze w 2006 roku przyznał, iż szanował poglądy Hitlera; chwalił go za zaprowadzenie porządku w Niemczech („Pociągi jeździły punktualnie, a ludzie byli zarażeni patriotyzmem”); że zakładał Światowy Fundusz na rzecz Dzikiej Przyrody (WWF) wspólnie z holenderskim księciem Bernhardem, który przed wojną był w SS i NSDAP. I w końcu - że według niemieckiej agencji prasowej powiedział: „Jeśli istnieje reinkarnacja, to chciałbym powrócić w następnym wcieleniu jako śmiertelny wirus, żeby w ten sposób jakoś się przyczynić do rozwiązania problemu przeludnienia”. Zresztą nie tylko mąż Elżbiety II, ale też jej wnuk dał się poznać jako sympatyk nazizmu. Kiedy w 2005 roku książę Harry przyszedł na przyjęcie w mundurze SS i ze swastyką na ramieniu, a zdjęcie z tej imprezy trafiło do prasy, nawet nie przeprosił. Uczynił to za niego rzecznik rodziny królewskiej, ale bez przesadnej skruchy. Nawet Dickie Arbiter, który odpowiadał kiedyś za wizerunek Windsorów, przyznał, że „ten młody czło-



**Spotkanie dobrych przyjaciół.** Adolf Hitler obiecał księciu Edwardowi VIII i jego żonie Wallis Simpson, że umieści ich na brytyjskim tronie

wiek powinien być osobiście i publicznie złożyć wyrazy ubolewania”.

### Bóg, William i Kate

Brytyjski dwór królewski ma problem nie tylko z poglądami politycznymi, ksenofobią i niepatrzeniem dalej niż poza czubek własnego nosa. Ze stałością uczuć także nie jest w tej rodzinie najlepiej.

Najpierw nie udało się małżeństwo księżnej Wiktorii Melity Coburg z Ernestem Ludwikiem Wielkim Księciem Hesji. Rozpadło się w 1901 roku, gdy Wiktoria przyłapała Ernesta in flagranti ze służącym. „Nikommu nie

przepuścił, od stajennego po kuchnię” - skarżyła się potem.

W 1978 roku księżna Małgorzata (młodsza siostra Elżbiety II) rozwiodła się z fotografem Antonym Armstrongem-Jonesem. Miała całe serie romansów: z chrzestnym swojej córki, z kuzynem byłego premiera oraz liczną grupą sportowców, aktorów i muzyków (na tej liście są między innymi Peter Sellers i Mick Jagger).

Z czworga dzieci Elżbiety II rozwiodło się aż troje. W 1992 z mężem Markiem Phillipsem rozstała się księżna Anna. A cztery lata później rozpadły się dwa kolejne małżeństwa: księcia Karola i księżnej Diany oraz księcia Andrzeja i Sarah Ferguson. Nic dziwnego, że w tej sytuacji Kościół Anglii ułożył aż dwie modlitwy za związek księcia Williama i Kate Middleton. Jedną dla dorosłych, a drugą dla dzieci. Ta druga mniej wdaje się w szczegóły:

*Panie Jezu, modlimy się za księcia Williama i Catherine Middleton, jako że szykują się na dzień swojego ślubu. Otaczaj ich swą opieką, uczyni ich szczęśliwymi i spraw, by zawsze dbali o siebie wzajemnie Amen.*


Nieprzekonani jednak do skuteczności modlitw brytyjscy prawnicy specjalizujący się w sprawach rozwodowych radzą księciu podpisać przed ślubem intercyzy. I ostrzegają: książę Karol nie podpisał i Diana zabrała mu prawie cały jego majątek (17 milionów funtów). Książę Andrzej też nie podpisał i stracił blisko milion. A William będzie miał do stracenia znacznie więcej. Jest drugi w kolejce do tronu, więc to, że na nim zasiądzie, jest niemal pewne. A gdy to się stanie, odziedziczy majątek wart 350 milionów funtów. Łakomy kąsek w przypadku rozwodu.

### Znieść czy znosić

Kto chce, już teraz może sobie własnoręcznie rozdzielić Williama i Kate. Pacyficzna wysepka Niue wydała podwójny znaczek z przyszlými nowożeńcami. Po lewej ona, po prawej on, pośrodku perforacja. Władze Niue może i mają poczucie humoru, ale przy okazji wyszło, że to zwykłe męskie szowinistyczne świnię. Bo znaczek z Williamem jest wart 3 dolary 40 centów. A znaczek z Kate - dolara mniej.

Ślub wzbudza ogromne zainteresowanie. W telewizji obejrzy go prawdopodobnie

około miliarda widzów. Milion ma przyjechać do Londynu, żeby zobaczyć uroczystość na własne oczy. Ale monarchia nie cieszy się wcale popularnością. Aż 80 procent Brytyjczyków jest zdania, że Pałac Buckingham stracił kontakt ze społeczeństwem. Zadowolonych z monarchii jest 12 procent społeczeństwa - tak koszmarnego wyniku nie miał nawet Gordon Brown, gdy żegnał się z urzędem premiera, sięgając historycznego dna. No bo z czego tu być zadowolonym? Z tego, że królowa wprowadzi nic nie może, ale jej niemoc kosztuje podatnika 75 milionów funtów rocznie? Za tę kwotę można zrobić tyle bardziej pożytecznych rzeczy, choćby sfinansować roczną działalność dużego szpitala, a arystokracja niech sobie poluje za własne pieniądze. Najpierw jednak trzeba by zmienić ustrój państwa, a to nie jest takie proste, bo ustawa o zdradzie stanu na to nie pozwala. Więc zamiast znieść monarchię, Brytyjczycy dalej będą musieli ją znosić.

 Poznaj słabe strony dynastii Windsorów - wideo na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

REKLAMA

SIMPLY CLEVER



REKLAMA

ŠKODA




**MODELE AKCYJNE FAMILY.**  
Dobry ojciec wie, co jest najlepsze dla jego rodziny.



już od **34 500 zł**

już od **54 400 zł**

Teraz ŠKODA Fabia i ŠKODA Octavia w limitowanej wersji Family z bogatym wyposażeniem. Sprawdź także atrakcyjny kredyt 2,99% oraz ofertę samochodów z instalacją gazową LPG - Twinpower. Ty wiesz, co jest dobre dla Twojej rodziny, więc skorzystaj z niepowtarzalnej okazji, żeby dać jej to, co najlepsze. Przyjdź i zamów.

ŠKODA Kredyt 2,99% [www.skoda-auto.pl](http://www.skoda-auto.pl)   
Uśredniona wartość zużycia paliwa i emisji CO<sub>2</sub>: ŠKODA Fabia 4,2-5,9 l/100 km, 109-139 g/km, ŠKODA Octavia 4,4-7,9 l/100 km, 114-188 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na [www.skoda-auto.pl](http://www.skoda-auto.pl). Auta na zdjęciach mogą zawierać elementy wyposażenia opcjonalnego. RRSO wynosi 17,09% przy założeniach: kredyt Volkswagen Bank Polska, samochód ŠKODA Fabia Family 12 MPI w cenie 34 500 zł, na okres kredytu 84 miesiące, wpłata własna 20%, prowizja bankowa 5%, obowiązkowy pakiet ubezpieczeń komunikacyjnych oraz na życie.



# Widzę ciemność

Sobota. Za oknem siąpi deszcz. I nagle nie ma deszczu, nie ma okna, nic. Pustka. W jednej chwili dołączyłam do miliona Polaków niewidomych i niedowidzących. Wielu z nich straciło wzrok tak jak ja - bez ostrzeżenia

MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ

**K**toś coś mówi, ale nie wiem - do mnie czy nie do mnie? Ludzie, daję głowę, stali się głośniejsi. I jeszcze to: pach, pach. Jak strzały z karabinu. Kulę się ze strachu, a to tylko drzwi trzasnęły. Nie wiem, czy ktoś wszedł, czy wyszedł? Zaczynam się bać każdego niespodziewanego dźwięku. Nie rozumiem, co się dzieje dookoła mnie. Koszmar.

Byłam akurat w dobrym miejscu - jedynym w kraju, do którego po lekcje nowego życia trafiają ci, którzy stracili wzrok. Ośrodek rehabilitacyjny w Bydgoszczy nazywa się Homer (od imienia greckiego epika, autora „Iliady” i „Odysei”, o którym legenda mówi, że był ślepy wędrowcem). Siedzę więc w Homerze i nic nie widzę. W mózgu kłębią się myśli i dźwięki.

- Przez trzy miesiące leżałam w łóżku; byłem jak żółw w skorupie. Totalna deprecha - mówi mi Tomek (36 lat, z zawodu mechanik precyzyjny). Przyjechał do Homera z Nowej Huty, nie widzi już piąty rok, więc zdążył się przyzwyczaić. Ale jak przyznaje, początki były okropne.

- Miałem myśli samobójcze - mówi z kolei Leszek (politolog, 46 lat). Ma jeszcze szczątki wzroku, ale już nigdzie nie rusza się

bez białej laski. Pochodzi ze wsi, a tam z takich jak on ludzie śmieją się do rozpuku: „O, ślepek idzie. Co tak, ślepek, laską stukasz? Żłota szukasz?”

Chcę do domu! Wstaję, robię kilka kroków. Ale to błąd. Nie wiem nawet, gdzie są drzwi. Wracam. Wpadam na kogoś. Czy to ty, Karolino? Jest z Olsztyna, ma 23 lata, straciła wzrok w przyrządzie sklepu z dzinsami. Gdy zakładała nowe spodnie, jeszcze widziała. Gdy podniosła głowę, żeby spojrzeć w lustro - koniec, zostało tylko poczucie światła.

## Zobaczymy? To się okaże

Szacuje się, że nie widzi przynajmniej sto tysięcy Polaków, resztki wzroku - ale takie, które nie pozwalają już normalnie funkcjonować - ma pół miliona albo prawie milion (nie ma jednoznacznych statystyk). Inni mogą cierpieć na poważne choroby oczu i nawet nie mieć świadomości, że tracą wzrok. Część chorób bowiem przebiega bezobjawowo. I nie mówimy tu o wadach, które można skorygować okularami czy soczewkami kontaktowymi. Z takich prostych wspomagaczy wzroku korzysta już ponad czterech na dziesięciu Polaków.

Profesor Jerzy Szaflik, krajowy konsultant w dziedzinie okulisty-

ki, nie lubi określenia „epidemia chorób oczu”, ale przyznaje, że z naszym widzeniem będzie tylko gorzej. - Przybędzie chorób okulistycznych i coraz więcej ludzi będzie traciło wzrok - przewiduje.

Mimo to w marcu podczas piątego kongresu Top Medical Trends profesor Szaflik (który zresztą w swojej klinice sam leczy wzrok) wygłosił optymistyczny wykład o postępach w transplantologii rogówki i o tym, że jest nadzieja dla ociemniałych. Lekarze opracowali bowiem metodę wszczepiania do rogówki mikroczepu, który ma zastąpić chore oko. Na początku kwietnia japońscy naukowcy pochwalili się, że wytworzyli soczewkę oka, wykorzystując z tego komórki macierzyste. Co prawda chodzi o oko mysie, nie ludzkie, ale to i tak rewolucja i nadzieja dla osób, którym nowa soczewka mogłaby uratować wzrok. Nie wiadomo jednak, kiedy metody z laboratoriów trafią do klinik. Ociemniali muszą uzbroić się w cierpliwość.

W Polsce o postęp w leczeniu niełatwo, głównie z powodów finansowych. W ubiegłym roku profesor Edward Wylęgała przeprowadził w Katowicach nowatorskie operacje wszczepienia rogówki wraz ze specjalną protezą (nitem składającym się z cylin-

derka optycznego, płytki stabilizującej i pierścienia). Choć było o tym głośno i chwalono zabieg jako szansę dla pacjentów, u których zwykły przeszczep rogówki nie miałby szans się przyjąć, kolejnych takich operacji na razie się tu nie wykonuje. Brakuje pieniędzy.

Nawet na zwykłe wszczepienie rogówki w Polsce trzeba czekać. A w długich kolejkach można stracić i wzrok, i cierpliwość. Na przykład we Wrocławiu nagła przypadki zaćmy operuje się tak pilnie, że oczekiwanie zajmuje 200-300 dni (zależnie od szpitala), a pacjenci tak zwani stabilni mogą mieć zabieg dopiero za dwa lata. W Lublinie, Zgorzelcu, Olsztynie trzeba czekać nawet i trzy. A przypadków zaćmy - jak przyznaje sam konsultant krajowy do spraw okulistyki - przybywa. I cierpią z jej powodu coraz młodsi. Bywa, że nawet dzieci.

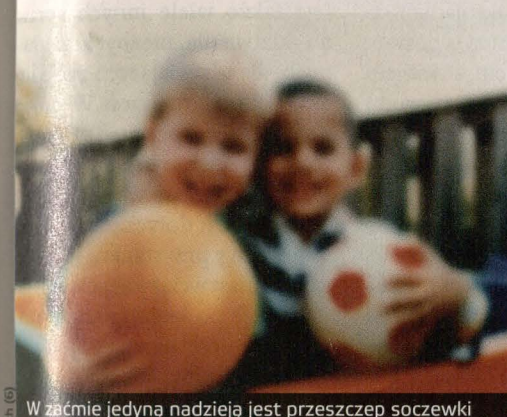
## Każdy może się potknąć

Niedawno ogłoszono wyniki badań prowadzonych w Podlaskiem. Przebadano wzrok dwóch i pół tysiąca maluchów w wieku od szóstego miesiąca życia do siedmiu lat. Wady wykryto niemal u co czwartego. Najczęściej nadwzroczność i krótkowzroczność. Ale były też dzieci z zaćmą, zezem, astygmatyzmem i jaskrą.

Z powodu tej ostatniej nie dowiedzi 67 milionów ludzi na świecie, z tego w Polsce - jak się szacuje - około 700 tysięcy. Jaskra to złośliwiec - zabiera wzrok powoli, ale nieubłaganie. Pierwsze objawy z reguły się ignoruje. Ot, potknął się ktoś, ale przecież każdemu może się zdarzyć. Nie zauważył się schodka, krawężnika. Potem przestaje się dostrzegać znaki drogowe albo znajomych na ulicy. Niektórzy na dobre orientują się, że są chorzy, dopiero wtedy, gdy mają już kompletnie zniszczone nerwy wzrokowe. Kiedyś sądzono, że zachorowalność na jaskrę jest głównie dziedziczna i ma ścisły związek z podwyższonym ciśnieniem śródgałkowym. Teraz



Kiedy widzisz normalnie, nie doceniasz tego daru



W zaciemieniu jedyną nadzieją jest przeszczep soczewki



Zwrodnienie plamki żółtej odbiera widzenie centralne



Odklejona siatkówka daje czarne plamy przed oczami



Jaskra nieodwracalnie uszkadza nerw wzrokowy



Retinopatia barwnikowa wyniszcza siatkówkę

wiadomo, że nie bez znaczenia jest też stres i coraz bardziej powszechna krótkowzroczność. - To już plaga cywilizacyjna - nie ma wątpliwości optometrystka Alicja Bielawska-Śmiałek. Odzwyczajamy się od patrzenia w dal, świat nam się skurczył, jest przed nosem - w telewizorze, komputerze. Patrzymy tak daleko, jak daleko ustawimy sobie ekran. Ciągłe przybywa też wśród nas cukrzyków, a to również choroba prowadząca do uszkodzenia wzroku. Cierpi na nią już 2,6 miliona Polaków. Większość z nich może zaatakować retinopatia

cukrzycowa (oznaczająca uszkodzenie naczyń krwionośnych odżywiających siatkówkę i grożąca utratą wzroku). Wzrok marnuje się nam też z powodu AMD, czyli Age-related Macular Degeneration. To schorzenie zwyrodnieniowe centralnej części siatkówki, tak zwanej plamki żółtej, która pozwala ostro widzieć, umożliwia czytanie, rozpoznawanie twarzy, rozróżnianie kolorów.

W Polsce ruszył właśnie program badań pod kątem AMD. Do końca maja w 10 dużych miastach od Warszawy do Krakowa będzie można poddać się ba-

daniom gęstości plamki żółtej. Warto z nich skorzystać, bo AMD sadza się już na ławie oskarżonych o powodowanie epidemii ślepoty. Na świecie z powodu zwyrodnienia plamki żółtej cierpi około 160 milionów ludzi. W 80 procentach przypadków choroba przybiera tak zwaną postać suchą i rozwija się powoli. Ale jej groźniejsza wersja - wysiękowa - potrafi odebrać wzrok nawet w dwa miesiące. Najostrożniejsze szacunki mówią, że AMD beztłoniście trawi wzrok 1,9 miliona Polaków, a u 600 tysięcy wyszło w zaawansowane stadium.

- Regularnych statystyk dotąd nikt nie prowadził - wyjaśnia Małgorzata Pacholec, dyrektor Polskiego Związku Niewidomych i prezes stowarzyszenia Retina AMD Polska. Ma 53 lata, problemy ze wzrokiem zaczęła mieć już na studiach, przestała widzieć 10 lat temu. Może właśnie dlatego dostrzega problem, z którym borykają się wszyscy ociemniali w Polsce. Państwo nie zajmuje się nimi, nawet nie jest w stanie dokładnie ich zliczyć. Nie ma żadnych rozwiązań systemowych dotyczących rehabilitacji i powrotu do życia po utracie wzroku.

## To nie grypa, nie przejdzie

Jerzy Deja, dyrektor kujawsko-pomorskiego okręgu Polskiego Związku Niewidomych, patrzy na mnie, ale widzi ścianę. Kiedyś trochę rozróżniał twarze, teraz potrafi odróżnić ścianę jasną od ciemnej. Ja wtapiam mu się w jasną. Wzrok popsuł mi się bardzo szybko. - Prowadziłem akurat samochód - wspomina. Zdążył zjechać na pobocze, w szpitalu powiedzieli: niestety, zapalenie nerwu wzrokowego.

- U mnie przyczyna nieustalona - mówi Tomek (ten, który nie widzi już piąty rok). - A mnie powiedzieli, że to guz - tłumaczy Karolina (przestała widzieć w przyrządzie). Ponieważ zachowała poczucie światła, odróżnia przynajmniej dzień od nocy.

Ja, odkąd przestałam widzieć, dostrzegam wyłącznie noc, w dodatku upstrzoną migoczącymi kropkami, co mnie dodatkowo rozprasza i irytuje. Chciałabym zwinąć się w kłębek w domu. Nie wstawać, nie wychodzić, a już z pewnością nie na ulicę, na której czuję, że każdy samochód może we mnie wjechać. Jak żyć w ciemności i nie zginąć? Jak się ubrać? Jak umyć? Jak nałożyć pastę na szczoteczkę do zębów? Zawiązać sznurowadła? Ciekawe, czy dam radę założyć buty z tej samej pary, czy się pomylę? →

→ - Zdarzyło mi się wyjść w jednym czarnym, a drugim brązowym - zdradza dyrektor Deja.

Zakupy w hipermarketach to, jak wyznaje, morderczy wysiłek. Trudno się połapać w tych korytarzach rzeczy na półkach, nie można odróżnić puszek groszku od puszek przecieru pomidorowego. - Długo żyłem nadzieją, że to chwilowe i kiedyś znów zacznę widzieć. Tak zresztą myśli każdy - mówi Deja. - A to, niestety, nie grypa, nie przejdzie.

- Ludzie przestają widzieć i są zostawieni sami sobie - dodaje dyrektor Pacholec. - Nie wiedzą, gdzie szukać wsparcia, że są szkolenia, terapie. Zamykają się w domu. Jest wiele przypadków depresji, są próby samobójcze.

#### Sparaliżowani strachem

Chciałabym usiąść, ale nie widzę krzesła. Gdzieś tu powinno być - pochylam się, wyciągam ręce. Może to jest krzesło? Tak. Jednak zajęte - orientuję się dopiero wtedy, gdy siedzę na kolanach pani socjolog z Trójmiasta. Odwarstwia się jej siatkówka. Słabo zaczęła widzieć na studiach, ale rozpoczęła jeszcze fakultet z pedagogiki i zaczęła pracę w przedszkolu. Bardzo jej zależało, wyteżalała chory wzrok, żeby widzieć dzieci. A jednak raz ze spaceru przyprowadziła o jedno dziecko za mało.

Teraz siedzimy razem na zajęciach w Homerze. Podstawowe szkolenie człowieka, który stracił wzrok i musi nauczyć się z tym żyć, z reguły trwa około stu dni. Nie w Polsce, ale na Zachodzie. U nas na przeszkolenie muszą wystarczyć dwa tygodnie. Z powodu braku pieniędzy na rehabilitację i tak trzeba czekać w wielomiesięcznych kolejkach.

- Trafiają tu do nas różni: młodzi i starzy, ładni i nie bardzo, po studiach albo po szkole zasadniczej. Na ogół wszyscy w depresji - wymienia jednym tchem Zbigniew Terpiłowski, dyrektor Homera. Szkolenie podstawowe zaczyna się od prozaicznych rzeczy, choć-

by parzenia herbaty (zalej torebkę wrzątkiem i się nie poparz). Trzeba też nauczyć się jeść bez grzebania ręką w talerzu. Dobrym sposobem jest skorzystać z pomocy kogoś, kto widzi. Niech dyskretnie podpowie: kotlet na 9, a surówka na 15. Ustawienia wskazówek zegara pamiętasz.

Na psychoterapii próbuje się namówić niewidzących, by dostrzegli sens nowego życia. I trzeba choć trochę liźnąć alfabetu Braille'a. Panowie najszybciej przyswajają sobie „C”, bo to dwie wypukłości, więc mówią: „C” jak cycki. I jest śmiech. Przez chwilę.

Najtrudniejsze jednak w niewidzeniu jest chodzenie. Iść, gdy się nie widzi, dokąd się idzie, to potworny wysiłek umysłowy. Trzeba stale myśleć, żeby nie uderzyć w coś lub w kogoś, nie potknąć się, nie zablądzić. 10 kroków, skręć w prawo, trzy kroki i schody... Jeśli nie widzisz, nie możesz iść, gdzie cię oczy poniosą.

- Trzeba nauczyć się być czujnym - tłumaczy Ewa Maksymowicz z Kętrzyna. Zwyczajnie barwnikowe siatkówki sprawi-

*Sto tysięcy Polaków jest niewidomych. Ale nawet milion nie może już normalnie żyć z powodu poważnych wad wzroku*

ło, że jeszcze jakoś widziała syna po jego urodzeniu, ale bez detali i jedynie patrząc kątem oka. Odkąd skończył 10 lat, może go sobie już tylko wyobrażać. Kiedy jeszcze trochę widziała, uczyła się dziecka na pamięć. Tak samo jak otoczenia. Wychodziła z domu z białą laską, ćwiczyła. Laskę ma składaną, jak chińską parasolkę, może ją zmieścić w torebce. Jej pogodzenie się z tym atrybutem niewidomego nie jest typowe. Większość ociemniałych wstydzi się białej laski. I na długo

ich życie ogranicza się wyłącznie do ścian mieszkania.

- Sztuką jest - mówi Ewa - nie załamać się, podtrzymywać na duchu bliskich, którym trudno pogodzić się z tym, że nie widzisz. Ty, taka fajna, mądra, dlaczego akurat na ciebie to musiało paść? Nie potrafią przyjąć do wiadomości, że światło nie jest ci już potrzebne, i zawsze, gdy wracają do domu wieczorem, strofują: „Czemu siedzisz w ciemnościach?”. Zapalą ci niepotrzebne światło. Nawet pokroją kotlet, żebyś się nie pokaleczyła nożem. Chcą dobrze, ale wiem, że w wielu domach robi się z tego powodu nerwowo - przyznaje.

W tej nerwowości powtarza się ćwiczenia nowego życia. To jest na ogół ćwiczenie pamięci, żeby nie umknęły twarze najbliższych, ustawienie mebli w pokoju, kolejność ubrań w szafie - jasne u góry, ciemne na dole, albo odwrotnie. Niektórzy po stracie wzroku zaczynają oznaczać sobie koszule - na przykład z ciemnych usuwają metki, z jasnych nie. Ostatecznie można kupić tester kolorów, który po przyłożeniu do przedmiotów podpowiada nawet odcienie barw. Jest już wiele rzeczy ułatwiających życie niewidomym. Komputery z syntezatorem głosu, zegarki, które na głos podają godzinę, a dla bardziej dyskretnych - zegarki z wibrującymi wskazówkami. Do tego mówiące wagi, termometry, telefony komórkowe ze specjalnym oprogramowaniem.

Niestety, to bardzo drogie gadzety. Za telefon trzeba zapłacić 1800 złotych, najprostszy tester kolorów kosztuje 800 złotych, lepszy - nawet 3 tysiące. Tymczasem gdy tracisz wzrok, tracisz dochody. Na 60 tysięcy osób zrzeszonych w Polskim Związku Niewidomych pracuje mniej niż co 10., pozostałym musi wystarczyć renta.

Dyrektor Deja ma wrażenie, że istotny jest nie tylko brak pieniądze,

ale też od dawna utrzymujący się brak zrozumienia. Na liście trudnień, które napotykają niewidomi, jest niemożność samodzielnego głosowania - sprawa wraca przy okazji każdego wyborów. Niedługo odbędą się kolejne, do parlamentu, i znów trzeba będzie prosić kogoś, by przeczytał listę i postawił krzyżyk. Bo przecież nazwiska kandydatów nie są zapisywane brajlem.

#### Czy oni mnie nie widzą?

Jest także wiele innych spraw do załatwienia, niezbyt kosztownych, ale ułatwiających życie ludziom tracącym wzrok. Wypukłe pasy ostrzegające przed progami, windy z nagrany głosem lektora, komunikaty w autobusach i tramwajach dotyczące numeru linii, nazwy przystanku. W większości miast wciąż tego nie ma.

- Jeżdżę po kraju i zauważam, że mało jest oznaczeń, które można odczytać palcami - mówi Małgorzata Pacholec, szefowa PZN. - Komplikuję się nawet tak proste rzeczy jak numery na drzwiach - mogłyby być wypukłe i znajdować się niżej. Zanim przestałam widzieć, poznałam przecież kształty cyfr, mogłabym sama się zorientować, gdzie w hotelu jest na przykład pokój 174. A tak muszę prosić, by mnie ktoś pokierował.

- Napisz koniecznie - prosi Ewa Maksymowicz (ta, która zawczasu nauczyła się poruszać z białą laską, a teraz wyciąga ją z torebki z gracją i rozkłada jednym płynnym ruchem) - żeby mi ludzie na laskę nie wchodzili. Objijają się o mnie, zachodzą drogę. Czy oni nie widzą?

Skoro ludzie nie widzą niewidzącej, to może coś u nich nie tak ze wzrokiem? Zanotuję to. Tylko muszę ściągnąć specjalne gogle, które założyłam, żeby choć przez chwilę poczuć, jak to jest, kiedy się straci wzrok.



Mimo utraty wzroku rozwija się, pracuje, nie traci nadziei - poznaj historię Małgorzaty Pacholec na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

NOWA  
KOLEKCJA



WÓLCZANKA

# Małpa dla ubogich

Tajemniczy potwór podzielił mieszkańców Bielawy na dwa obozy. Jedni są pewni, że grasujący w okolicy szympans wciąż czyha na wałęsające się po mieście dzieci. Innym jest potwornie smutno, że z biedy, nudów i beznadziei młodzi ludzie dostali małpiego rozumu

ANNA SZULC

**N**ajpierw Zbigniew Grubka, komendant Straży Miejskiej w Bielawie, u podnóża Gór Sowich, myślał, że to primaaprilisowy żart.

– Że co, że kto, że szympans? – zastanawiał się głośno tuż po tym, kiedy strażnicy dostali zawiadomienie o ataku groźnego zwierza na niespełna 18-letniego Kamila Nowaka z ulicy Szpakowej. Szpaków na tej ulicy nie ma od dawna. Są za to zadbane domki z ogródkami sąsiadujące z obskurnymi, poniemieckimi, rozpadającymi się budynkami, w których mieszka miejscowa biedota, w tym także rodzice chłopaka.

O wszystkim zawiadomiła strażników siostra Kamila, która wyprowadziła się już ze Szpakowej. Ma nową rodzinę, a nawet, o dziwo, pracę. Łamiącym się głosem poinformowała funkcjonariuszy, że w nocy z 31 marca na 1 kwietnia jej młodszy brat został napadnięty przez stwora o łapach dwa razy większych niż ludzkie dłonie. Szympans miał wyskoczyć z zarośli oddzielających las od bogatej dzielnicy willowej i złapać chłopca od tyłu, po czym dotkliwie go poranić (skaleczenia na twarzy i rękach chłopaka potwierdził później lekarz podczas obdukcji). Na szczęście dwóm kolegom Kamila – Damianowi i Gracjanowi – udało się uwolnić ofiarę z wielkich małpich łap. I uciec.

– Do tej pory mieliśmy jedynie sąsiedzkie donosy o kurach trzymanyh w łazience – przyznaje w rozmowie z „Przekrojem” zakłopotany komendant Grubka. – Takiej egzotyki nie było.

Zadnych małp, węży, jadowitych pająków ani pum. Bo według komendanta Polska to przecież nie jest dziki kraj.

## Siedmioro cieląt, jedno niemowlę

A jednak w naszym niedzikim kraju grasowały już różne stworzenia. W połowie marca na przykład w pociągu relacji Gdynia-Zako-



Kamil (z lewej) i Damian wyrwali się z małpich łap. Ale czy wyrwą się z bielawskiej biedy?

pane konduktorzy natknęli się na kilkukilometrowego węża. Okazało się, że gad wypełził z paczki przewożonej w wagonie pocztowym. Żeby było ciekawiej, w innej przesyłce siedział jeszcze jeden wąż. Na boa dusiciela rok wcześniej natknęli się w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym niedzielni spacerowicze. Ale to i tak nic w porównaniu z pumą, która tak jak dziś szympans z Bielawy czyhała na swoje ofiary w leśnych zaroślach. Widziano ją na przykład w Rogowie Opolskim. Dwa lata temu zwierzę sfilmowała rodzina z Niemiec. Niewyraźne nagranie stało się hitem Internetu, a tropem drapieżnika ruszyli poszukiwacze sensacji i dziennikarze tabloidów. Puma też – jak bie-

lawski szympans – nie miała dobrych zamiarów. We wsi Mokra zagryzła siedmioro cieląt i siedem warchlaków, a nawet jedną dorosłą świnię. Sprawą zajął się wojewódzki sztab kryzysowy, lasy przeczesywali policjanci, strażacy i myśliwi. Strach przed pumą rozprzestrzenił się na inne regiony – z Opolszczyzny na Śląsk i Wielkopolskę, dotarł nawet do Kieleckiego. Bo jak się okazało, puma wędrowała po Polsce. Czy może raczej wędrowała jej legenda. Coraz bardziej absurdalne doniesienia o groźnych drapieżnikach docierały z różnych stron kraju. W Świętokrzyskiem puma zmieniła się na przykład w panterę śnieżną, a pod Poznaniem w lamparta, który nie tylko atakował war-

chlaki, lecz także podobno porwał niemowlę. A potem puma nie puma znikła.

– Zielonego pojęcia nie mam, co się z nią stało – bije się w piersi Lesław Sobieraj, dyrektor opolskiego zoo, który w pierwszych tygodniach po pojawieniu się drapieżnika w regionie zaangażował się w sprawę. – Znikła i już. Tyle mogę powiedzieć oficjalnie – ucina rozmowę Jan Kowalski z Polskiego Związku Łowieckiego w Opolu.

Co się mogło stać z pumą? Miejscowi uważają, że myśliwi po cichu ją zastrzelili, a sprawę zatuszowali, by, broń Boże, nie denerwować obrońców zwierząt i ekologów. Inni twierdzą, że puma w ogóle nie było. Tak jak nigdy nie było wielkich jadowitych pająków, które jeszcze niedawno – według krążących po Polsce plotek – wprowadzały się do domów i urządzały sobie kryjówki w doniczkach z juką. Dlaczego akurat z tą rośliną? Takich pytań nikt nie zadawał. Ważniejsza była potrzeba ostrzeżenia bliskich i przyjaciół przed pająkami. I tak plotka wędrowała po kraju, od domu do domu, z ust do ust. Podobnie jak historia o kupowanych na bazarach od przybyszów ze Wschodu szczeniakach, które gdy podrosły, zamieniały się w... niedźwiedzie.

## Baśnie o krokodylu

– Być może kiedyś gdzieś pojawił się, w niejasnych okolicznościach, jakiś groźny pająk, a może nawet, kto wie, niedźwiedź? – zastanawia się profesor Dionizjusz Czubała, folklorysta z Uniwersytetu Śląskiego, specjalista od legend miejskich. – Zazwyczaj w plotkach, którymi z czasem obrastają opowieści o zagrażających nam znieścacka nieokreślonych bestiach, jest ziarno prawdy. Ale ludzka wyobraźnia nie zna granic i straszne historie zaczynają w końcu żyć własnym życiem – dodaje.

Tak jak historia o martwym krokodylu znalezionym w marcu w lesie pod Ostródą. Choć policji wciąż nie udało się ustalić, komu uciekł ten gad, to wielu mieszkańców Mazur wyrobiło już sobie poglądy na sprawę. Najczęściej można usłyszeć historię o tym, że pewien bogacz spod Dylewskiej Góry hoduje krokodyla w podziemnym basenie w swojej wielkiej, osłoniętej grubym kamiennym murem daczce.

– To jeszcze nic – uśmiecha się profesor Czubała. – Po Nowym Jorku krąży legenda, że krokodyla zamieszkują miejską kanalizację i nocami wychodzą na łowy, bo to ludojady.

Nowojorskie służby raz na jakiś czas otrzymują doniesienia o groźnych gadach pojawiających się w łazienkach. Przypomnijmy, że komendant straży miejskiej Zbigniew Grubka w bielawskich toaletach widział do tej pory

jedynie kury, hodowane nie dla fantazji – jak krokodyla w basenach bogaczy – ale z biedy.

W 30-tysięcznym miasteczku między Wrocławiem a Wałbrzychem prawie 30 procent mieszkańców nie ma pracy. Jesienią ubiegłego roku Główny Urząd Statystyczny na zlecenie Unii Europejskiej zbadał poziom ubóstwa wśród Polaków. Wyszło, że najgorzej mają mieszkańcy Dolnego Śląska, zwłaszcza takich miasteczek jak Bielawa.

## Wyspa z palmami

– To ani bajka, ani legenda. Są dni, kiedy zwyczajnie nie mamy co jeść – przyznaje bez ogródek Jadwiga Nowak, mama Kamila. Bo rodzi-

*Być może opowieść o ataku szympansa to krzyk rozpaczliwych, zapomnianych chłopców – zauważa psycholog*

ce chłopaka, którego napadł szympans, nie mają pracy, odkąd kilka lat temu upadły w Bielawie dwa wielkie zakłady włókiennicze.

– Jesteśmy na łasce i niełasce opieki społecznej – przyznaje kobieta. I dodaje, że oprócz głodowych zasiłków (w sumie tysiąc złotych miesięcznie na całą rodzinę), schorowanego męża, któremu grozi amputacja nogi, i Kamila ma jeszcze dwóch synów. Jeden jest na bezrobociu, a drugi na rencie, bo stwierdzono u niego schizofrenię i właściwie nie wychodzi z domu. A teraz na ulicę boi się wyjść również Kamil.

– Cały czas mam wrażenie, że depte mi po piętach małpa – żali się chłopak. Po chwili milczenia dodaje jednak, że i tak nie ma gdzie wychodzić. – Nawet dyskotekę nam zlikwidowali – mówi, stojąc na tle fototapety z palmami na egzotycznej wyspie zdobiącej ścianę w odrapanym mieszkaniu.

Kamil, choć nie ma jeszcze 18 lat, przyznaje, że już teraz nie zawsze chce mu się żyć. Nie tylko dlatego, że w Bielawie nie ma dyskoteki. Także dlatego, że trzeci rok chodzi w tym samym obuwiu i nawet nie wie, o czym mógłby marzyć oprócz nowych butów. Jeszcze w marcu marzył o wyprawie na gorącą wyspę z palmami. Taką jak na fototapecie. Teraz zmienił zdanie. – Przecież na wyspach też mogą być szympansy – zauważa.

Zdaniem doktor Joanny Heidtman, psychologa i socjologa, niewykluczone, że Kamil

i jego koledzy ujrzeni w tajemniczym napastniku małpę, bo uznali, najpewniej nieświadomie, że może to być szansa na oderwanie się od szarego i ponurego świata Bielawy.

– Być może był to krzyk rozpaczliwych? Być może chcieli na chwilę znaleźć się w centrum wydarzeń, choćby na chwilę z biednych, zapomnianych chłopców z dzielnicy ubogich zmienić się w bohaterów kolorowej medialnej rzeczywistości? – zastanawia się Heidtman.

Kamil i jego koledzy rzeczywiście przez kilka dni mieli swoje pięć minut. Dziennikarzom i policjantom opowiadali, że szympansa przywiózł do miasteczka miejscowy bogacz, który ma willę w bogatej dzielnicy pod lasem. W ciągu dnia trzyma go w klatce, w nocy zaś wypuszcza na długim łańcuchu w leśne zarośla.

– Nadal patrolujemy teren, ale coraz bardziej skłaniamy się ku przypuszczeniu, że chłopcy jednak puścili wodze fantazji – przyznaje komendant Zbigniew Grubka. Choć funkcjonariusze odwiedzili niejedną willę w bogatej dzielnicy pod lasem w Bielawie, żadnego bogacza z małpą tam nie znaleźli.

– Bo nie mogli. Jesteśmy spokojnymi ludźmi, mamy co najwyżej pieski, kotki, świnki morskie, ale proszę mi wierzyć, żadne z nich nie ma krwiożerczych instynktów – zapewnia „Przekrój” właścicielka jednego z zadbanych domów z okolicy, po której jakoby miał grasować szympans.

## Goryl na odmianę

Kto w takim razie zranił chłopca? I dlaczego – jak utrzymuje jego rodzina – Kamil wciąż śmiertelnie boi się wychodzić z domu? Możliwe, że odpowiedź na te pytania znajdzie psycholog, który niedługo się z nim spotka.

Tymczasem strach Kamila okazał się zaraźliwy.

– Szczerze mówiąc, drzę o dzieci, tym bardziej że już kilku moich sąsiadów widziało pod lasem parę szympansów hasającą na wolności – opowiada zdenerwowana blondynka w średnim wieku, sprzedawczyni ze sklepu w samym sercu miasta, przy placu Wolności.

Zresztą plotka zatacza coraz szersze kręgi. Jak powtarzają na ulicach mieszkańcy Bielawy, ponoć groźna małpa wyprowadziła się dalej. W lutym radni sąsiednich Pieszyc z powodu galopującej biedy, bezrobocia i narkomanii uznali, że ich miasteczko wymaga natychmiastowej rewitalizacji. Kilka dni temu w zaułku jednej z pieszyckich uliczek ponoć widziano... goryla.



Gdyby nie ofiarność mafii wielu poszkodowanych w tsunami Japończyków nie miałoby co jeść i gdzie spać

FOT. AP/East News

# Zatrzesienie samurajów

To nie japoński rząd, tylko jakuzi, członkowie japońskiej mafii, pierwsi pomogli ofiarom marcowego trzęsienia ziemi i tsunami. Przy okazji pokazali, jak zarobić na kataklizmie

ŁUKASZ WÓJCIK

**J**uż 10 godzin po tsunami, które 11 marca nawiedziło Japonię, 300 „żołnierzy” jakuzi uczyniło swą powinność. Po północy pod ratusz w Hitachinaka zajęchało 50 ciężarówek. W niecałą godzinę ich ładunek leżał na placu: koce, makaron, latarki, krótko mówiąc – wszystko, co mogło się przydać 10 tysiącom mieszkańców miasta, którzy właśnie stracili domy. Gdy rozładowano ostatni pakunek, „żołnierze” skinęli w stronę urzędników. I odjechali. Bez faktury, bez żadnego pokwitowania odbioru.

W ciągu trzech dni po tsunami japońska mafia dostarczyła najbardziej potrzebującym w sumie 200 ton towarów pierwszej potrzeby wartych około miliona dolarów. W całym kraju otworzyła biura dla świeżo upieczonych bezdomnych. Nikt nie wyszedł głodny

z ponad stu prowizorycznych stołówek, które mafiosi uruchomili jeszcze w dniu kataklizmu. Zrobili to wszystko, gdy rząd w Tokio był na etapie tworzenia listy potrzebujących.

## Biografia pod rękawem

Większość z nich to jednak nie są dobre duszki. To członkowie największego mafijnego podziemia na świecie, którzy uważają się za spadkobierców XVII-wiecznej tradycji samurajskiej. Jeszcze dwie dekady temu sami rządzili się „kodeksem szlachetnej drogi” i jednocześnie współrzędzili Japonię. Swoje zasady przehandlowali jednak na jeny i teraz, przesładowani przez państwo, próbują na nowo wkupić się w łaski społeczeństwa.

Ninkjodo, czyli „szlachetna droga”, nakażywała każdemu jakuzie „pomagać słab-

szym i bić się z mocniejszymi”. Nawet za cenę śmierci. Podstawowa zasada tego swoistego macho-humanitaryzmu brzmiała: tłuć się możemy między sobą, cywilów nie ruszamy. Dopóki jakuzi jej przestrzegali, państwo nie mieszało się w ich sprawy. W latach 60. XX wieku, u szczytu swojej potęgi, tworzyli ponad 60 gangów i kontrolowali ponad 20 procent gospodarki.

Pomagała im wręcz zakonna struktura. Rodzice oddawali dzieci, szczególnie te trudne, pod opiekę ojabun – „ojców”, lokalnych bossów jakuzi. Młody adept mafijnej sztuki nie miał prawa kontaktować się z rodziną, a za brak subordynacji odpowiadał palcami – za każdy wybryk musiał przynieść szefowi jeden, poczynając od najmniejszego u prawej dłoni. Stąd rękawiczki na dłoniach. Długie rękawy natomiast przykrywają tatuaże, które pokrywają często ponad 80 procent ciała jakuzi. Czyta się je jak biografie ich właściciela. Dlatego są do wglądu tylko dla wtajemniczonych.

W odróżnieniu od włoskiej mafii i chińskich triad gangi tworzone przez jakuzów są legalne. Na swoich biurach mają szyldy, można je znaleźć w książce telefonicznej. To pozostałość po symbiozie, która panowała jeszcze do niedawna między japońskim państwem a gangsterami.

Początki tej cichej współpracy sięgają II wojny światowej. Przez siedem lat amerykańskiej okupacji Japończyków obowiązywał zakaz robienia interesów z wojskiem USA. Zajęli się tym między innymi Koreańcy, Hindusi i inne mniejszości, które handlowały sprzętem z amerykańskiego demobilu. Przeciwwagą dla nich stali się szybko rosnący w siłę japońscy przestępcy, którzy zajęli się kontrolą koreańskich interesów przy nieoficjalnym poparciu ubezwłasnowolnionych władz w Tokio.

W latach 50. i 60. jakuzi stali się bardzo przydatni państwu japońskiemu w tłumieniu strajków robotniczych i w siłowym odwodzeniu lokalnych socjalistów od ich socjalistycznych poglądów. Jake Adelstein, amerykański dziennikarz, który przez wiele lat pracował w Japonii, w swojej książce „Tokyo Vice” tak opisuje symbiozę między nimi: „Władze doszły do wniosku, że przestępczości i tak się nie wyeliminuje, więc lepiej wiedzieć, do kogo zadzwonić w przypadku większej rozróbki. Od czasu do czasu kilku ważnych jakuzów przyznawało się publicznie do swoich przestępstw i trafiało na kilka miesięcy do więzienia, żeby uspokoić opinię publiczną. Na zewnątrz jednak kwitła współpraca. Policja dzieliła okolicę na rewiry swoje i te kontro-

lowane przez jakuzów, a funkcjonariusze i gangsterzy systematycznie przy herbach wymieniali informacje”.

## Gangsterom wstęp wzbroniony

Sielanka skończyła się, gdy w latach 90. kilka grup zajęło się biznesami wcześniej zakazanymi dla rycerzy szlachetnej drogi: narkotykami, pornografią i kradzieżami. Walki między gangami przeniosły się na ulice, a tam zaczęły ginąć przypadkowe ofiary. Największe społeczne oburzenie wywołało jednak zbezczeszczenie japońskiej świętości, czyli sumo. W 2008 roku gazeta „Jomiuri Szimbun” opublikowała serię artykułów opisujących skalę korupcji w tym „sporcie bogów”. Jakuzi ustawiali pojedynki i choć trudno w to uwierzyć, zastraszaali zawodników. Okazało się, że w latach 2003–2008 ten narodowy rytuał stał się teatrykiem odgrywanym pod dyktando zakładów obstawianych przez mafie.

Na fali społecznego oburzenia zabłysła gwiazda Ando Takaharu, nowego szefa japońskiej policji, który zerwał wszystkie niepisane umowy zapewniające gangsterom nietykalność. W ciągu niecałych dwóch lat do więzienia trafiło trzech kolejnych szefów największej

grupy jakuzi Jamaguczi-kai, skarbówka przeprowadziła serię nalotów na firmy powiązane z mafiosami, a ośmieleni przez policję obywatele na drzwiach swoich domów i sklepów zaczęli wywieszać plakietki z napisem „Gangsterom wstęp wzbroniony”.

*Jakuzi zbezczeszcili japońską świętość, czyli sumo. Ten „sport bogów” stał się teatrykiem odgrywanym pod dyktando zakładów obstawianych przez mafie*

Tak przynajmniej było do kataklizmu z 11 marca. Dziś często ci sami ludzie mają gdzie spać i co jeść właśnie dzięki jakuzom. – Władzom łatwo było przepędzić tych gangsterów – tłumaczy Manabu Miyazaki, autor wielu książek o japońskim podziemiu przestępczym. – Trudniej będzie wypelnic lukę po nich. Dla przykładu: państwo w zasadzie nie zajmuje się narkomanami, bo dotychczas

rodzice oddawali dzieci na odwyk do lokalnego „ojca chrzestnego”. Kuleje też pomoc społeczna. Do tej pory to były działki jakuzów.

Jednak mimo swojego kodeksu gangsterzy nie są filantropami. Gdy w 1995 roku trzęsienie ziemi zniszczyło centrum Kobe, japoński rząd jak zwykle powolnie zareagował na dramat swoich obywateli. I gdyby nie wyznawcy szlachetnej drogi, poszkodowani spaliby pod gołym niebem. Zatrzaszczyli się o nich jakuzi, wstawiając łóżka polowe do swoich biur. Rząd najwyraźniej poczuł się zobowiązany i kilka miesięcy później firmy powiązane z gangsterami dostały kontrakty na odbudowę Kobe o łącznej wartości kilku miliardów dolarów. Od tamtego czasu firmy jakuzów stały się głównymi rozgrywającymi w japońskim sektorze budowlanym. Nietrudno więc zgadnąć, kto będzie największym pretendentem do kontraktów na odbudowę kraju po ostatnim kataklizmie.

W tej perspektywie kilka milionów dolarów zainwestowanych dziś w szlachetną pomoc wkrótce zwróci się jakuzom z nawiązką. A przy okazji choć na chwilę pozwoli gangsterom poczuć się jak samuraje.

REKLAMA



Oaza Kampinos  
Pokochasz z miejsca

- Bezpośrednie sąsiedztwo Kampinoskiego Parku Narodowego
- Unikatowe rozwiązania proekologiczne
- Wysoki standard wykonania domów
- Plac zabaw dla dzieci, przedszkole, sklepy, fitness club, korty tenisowe
- Powierzchnie domów od 196 m<sup>2</sup> do 232 m<sup>2</sup>
- Powierzchnie działek od 800 m<sup>2</sup> do 1625 m<sup>2</sup>
- 30 km od centrum Warszawy



www.ozakampinos.com  
oazakampinos@ubm.pl tel.: +48 22 356 80 02

UBM



# Polska piłka łamie kręgosłupy

Piłkarze: rozkapryszeni pijacy. Właściciele klubów: dzieci we mgle. Euro 2012: skończy się blamażem.  
**Z MACIEJEM SZCZĘSNYM** rozmawia Robert Mazurek

**Tylko frajerzy nie piją – tak twierdzi pański kolega z boiska Wojciech Kowalczyk. Pan pił?**

– Nie.

**Może syn ostro baluje w Arsenalu Londyn?**

– W drodze wyjątku nie. Z tego wynika, że mój syn Wojtek jest ciężkim frajerem.

**Widać to u was rodzinne.**

– To się nazywa nieumiejętność socjalizacji.

**Kowalczyk potrafił się socjalizować?**

– Był w tym świetny i przedłużył w ten sposób erę socjalizmu w polskiej piłce. Socjalizm ten opierał się na zasadzie, że czy się stoi, czy się leży... Zresztą w piłce ta mentalność nie zginęła do dziś.

**Ta mentalność to również brak ambicji. Kowalczyk miał spory talent...**

– Gigantyczny.

**Tyle że go przebalował i przepił.**

– Zrobił wszystko, co mógł, by go nie wykorzystać.

**Inni nawet jeśli nie piją, to zadowolają się tym, co i tak mają.**

– Nie każdy będzie wybitny, to oczywiste, ale w lidze muszą też grać po prostu solidni wyrobownicy, jednak tu kluczowa jest rzetelność, pracowitość. Tymczasem wielu polskich piłkarzy jest rozkapryszonych.

**Pan takich znał?**

– Grałem z reprezentantem Polski, który w klubie słynął z tego, że kiedy szedł magazynier z naręczem ręczników, to on swojego nigdy mu nie podał, lecz rzucił mu go pod nogi, żeby się tamten schylał. I twierdził, że, cytując: „Jak dupa od srania, tak magazynier jest od wynoszenia ręczników”.

**Zostawmy te wywody. Zostaniemy za rok mistrzami Europy?**

– To zostańcie.

**No dobrze, ale z grupy wyjdziemy?**

– W sprawie wyniku trzeba by jednak zorganizować jakieś nabożeństwo ekumeniczne.

**Bez interwencji boskiej nie ma na co liczyć?**

– Bardzo chciałbym uniknąć blamażu i wyjść z grupy, ale niewiele na to wskazuje.

**Miały być superstadiony, na które dojedziemy superautostradami, ale dróg nie ma, a i stadiony – jak w Poznaniu – sfuszerowano.**

– Z jednej strony nowe stadiony są lepsze niż te, które były, ale często nie spełniają one wymogów bezpieczeństwa. To martwi.

**Martwi? To szokuje. Ktoś wydaje kilkaset milionów i nie zadba o bezpieczeństwo. Jak to możliwe?**

– A dlaczego właściciel istniejącego stadionu ma się tym przejmować, skoro nie przejmuje się tym, że na jego obiekcie jakiś bandyta wali piłkarza w łeb?

**Mówimy o Legii...**

– Ten przypadek znakomicie ilustruje panujące w tym światku podejście. Po pierwsze, piłkarz dostaje w łeb – to nie ma prawa się zdarzyć. Po drugie, dzieje się to na terenie, na który ten kibol nigdy nie powinien wejść. Po trzecie, ochroniarze nie reagują w porę, a potem puszczają do domu bandytę. A klub chowa głowę w piasek.

**A co może zrobić?**

– Zwolnić ochroniarzy. Zapewne kontrakt jest tak skonstruowany, że to trudne, ale akurat tak się składa, że właścicielem Legii jest concern medialny. Mówiąc brutalnie: myśli pan, że agencja ochroniarzka nie przyniesie w zębach odszkodowania, ryzykując sprawę w sądzie o zaniedbanie? Ale tu nie ma żadnej reakcji klubu. To jest jakaś paranoja.

**To pański klub.**

– To bezpański klub.

**W takim razie cała polska piłka jest bezpańska.**

– Jeśli zawiaduje nią *gospodin* Lato? Jak to ma funkcjonować, jeżeli kieruje nią ten skądinąd kiedyś fajny piłkarz?

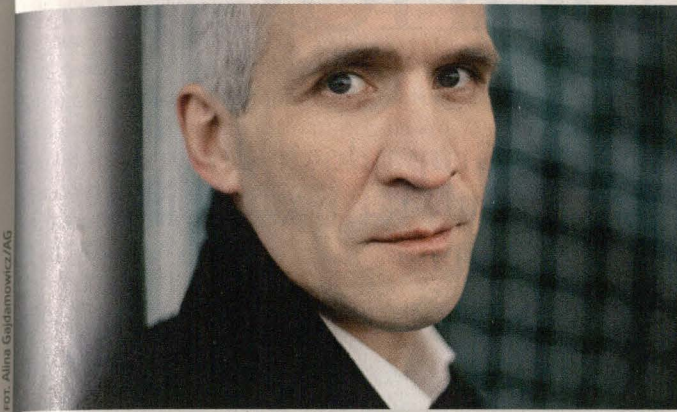
**Tu naprawdę nie da się osiągnąć sukcesu zauważalnego w Europie?**

– Jest ciężko, bo większość właścicieli ma oczekiwania „na wczoraj”. Nie zdają sobie sprawy, że nawet wyłożenie dużych pieniędzy na transfery nie gwarantuje tego, iż uda się sklecić drużynę.

**To casus właściciela Polonii Warszawa Józefa Wojciechowskiego.**

– A wcześniej przypadek Bogdana Cupiała z Wisły i wielu innych. Tacy szefowie nie rozumieją, że drużyna musi się dotrzeć i na to trzeba czasu. Nie rozumieją też, że to tylko sport, nie da się zrobić tak, żeby wszyscy wygrali. I ci, którzy akurat nie wygrywają, szybko się zniechęcają.

**Wojciechowski zmienił w Polonii kilkunastu trenerów.**



## Maciej Szczesny

46 lat, były bramkarz piłkarski, obecnie komentator sportowy. Grał w najlepszych polskich klubach, występował w reprezentacji kraju. Pięć razy zdobył mistrzostwo Polski – dwukrotnie z Legią Warszawa,

raz z Widzewem Łódź, Polonią Warszawa oraz Wisłą Kraków. Z Legią i Widzewem walczył również o Ligę Mistrzów. Jego syn Wojciech jest zawodnikiem Arsenalu Londyn i tak jak ojciec gra w kadrze narodowej.

– Nie chcę skupiać się na konkretach, także dlatego, że Wojciechowscy to ekstremum. Wpakował ekstremalnie duże pieniądze w ekstremalnie nieprzemysłany sposób, w związku z czym ma ekstremalnie często dysonans. Nie wiem tylko, czy można to nazwać dysonansem poznawczym.

**Chyba nie, bo prezes Polonii sprawia wrażenie, jakby...**

– ...poznał wszystko.

**I nie jest w stanie uczyć się nawet na własnych błędach. Ale niech pan spojrzy na ligę angielską: Arsenal jest budowany od dawna i nie zdobył żadnego trofeum.**

– A ja dla kontrastu mogę panu powiedzieć, że dokładnie taką samą drużyną, z trenerem niezmiennym od 25 lat, jest Manchester United i trofea zdobywa.

**To dowód właśnie na to, że sama zasada o niczym nie świadczy.**

– Prawda, ale kiedy pan wróci do Arsenalu, który nie zdobywa mistrzostwa, to jednocześnie zobaczy pan, że mimo to nikt nikogo tam z roboty nie wyrzuca i nie robi rewolucji. Wymagania można mieć, gdy zapewni się finansową stabilność na dobrym poziomie po kilku latach.

**To na czym polega różnica? Nasi są po prostu niecierpliwi?**

– U nas biznes piłkarski kręci się w innych powodów niż w Niemczech, Anglii czy Hiszpanii. Tam się zarabia na satysfakcji kibica, która wynika nie tylko z tego, że nasi wygrywają, ale także z tego, że dają z siebie wszystko. Kilka lat temu byłem jako fotoreporter w Wolverhampton na meczu młodzieżówki Polski i Anglii. 10 minut przed meczem na stadionie było pusto, 3 minuty przed gwizdkiem siedziało tam 30 tysięcy ludzi! Sprawnie rozsądzeni, spokojnie, bez pośpiechu.

**To sprawa organizacji.**

– Ale spytałem też, jakim cudem na taki mecz przychodzi 30 tysięcy osób. Usłyszałem, że widz chce widzieć walkę, zaangażowanie i młodzieżówki, i ligowców. Jaka jest szansa na zwycięstwo, kiedy w pucharach Wolverhampton wpada na Manchester United? Jednak kibic nie

tylko zobaczy na żywo gwiazdy Manchesteru, ale też będzie dumny, że jego chłopcy dali z siebie wszystko i przegrali 0:4, a nie 0:8. Tam widzi, że jego drużyna może przegrać, ale tylko dlatego, że rywal był lepszy, a nie dlatego, że ktoś odpuścił mecz, ktoś go sprzedał. Więc nawet jeśli się nie cieszy z wyniku, to jest usatysfakcjonowany.

**A klub zarabia, bo kibic kupi koszulkę, zainwestuje w klubową kablówkę et cetera. A na czym zarabia się u nas?**

– Po pierwsze, wcale nie ma gwarancji, że u nas w ogóle się zarabia, a jeśli już, to wyłącznie na sukcesie, bo wtedy są większe pieniądze z telewizji, a jeśli to jakiś sukcesik w Europie, pojawiają się pieniądze z UEFA, można kogoś dobrze sprzedać. Wszystko oparte jest więc na natychmiastowym wyniku.

**Tamtejszy system finansowania wspomaga inną mentalność, wymusza systematyczną pracę.**

– Mojemu synowi w Arsenalu nie przyjdzie do głowy spóźnić się na trening, bo widzi, że wszyscy, także ci, którzy zarabiają 150 tysięcy funtów tygodniowo, przychodzą godzinę przed treningiem.

**A pan?**

– Ja zawsze byłem trzy minuty przed treningiem albo i trzy po jego rozpoczęciu. Ale tak naprawdę kto miałby mnie tego nauczyć? Tylko Franz Smuda w Widzewie wziął mnie kiedyś na bok i zaapelował spokojnie, że jako starszy zawodnik muszę młodym dawać przykład. I w Łodzi się nie spóźniałem, a przedtem w Warszawie zawsze.

**Dlaczego?**

– Wpływ otoczenia: ja się spóźniałem, inny rzucał ręcznikiem, jeszcze inni sprzedawali mecz.

**A pan nie handlował meczami?**

– Ja byłem czyściutki: nigdy w życiu nie sprzedałem, nigdy nie kupiłem i nikt nigdy do mnie z taką propozycją nie przyszedł.

**Każdy mówi: to nie ja handlowałem, to koledzy.**

– Przecież wiadomo, że miałem taką opinię i dlatego uchodziłem za frajera. Jeszcze dziś 60 procent ludzi w polskiej piłce przyzwyczajonych jest do patologicznego funkcjonowania tego biznesu. Oni mieli brudne łapy i wciąż żyją wedle takich reguł.

**Tego się nie da zmienić?**

– Nawet gdyby teraz, kiedy już będą stadiony, pojawiło się kilkunastu sensownych, bajecznie bogatych ludzi, nic to nie da. Chce mi pan powiedzieć, że wśród dzisiejszych działaczy, trenerów, piłkarzy oni będą mogli inaczej funkcjonować? Ta armia ich stłumi, zepsuje morale, złamie kręgosłup każdemu.

**Bardzo pan optymistyczny.**

– Myśli pan, że to dotyczy tylko piłkarzy? To niech pan sobie wyobrazi sytuację, że do zawodnika przychodzi rywal z propozycją, że sprzeda mu mecz. Piłkarz, zamiast z nimi gadać, idzie do prokuratora. Jego drużyna w uczciwym spotkaniu przegrywa. Tak być powinno, prawda?

**No prawda.**

– I jak reagują na takie zachowanie kibole jego drużyny: „Brawo, stary”? Akurat! Oni by mu wygarnęli: „Ty ch... pier...”, mogłeś mieć mistrza Polski! Forsy nie miałeś? Trzeba było przyjść do nas, zrzucilibyśmy się!”.

**Obawiam się, że ma pan rację.**

– Tyle się teraz mówi o prawdzie, rozliczeniu z przeszłością, że nie ma przebaczenia bez wyznania win i bez skruchy, ale czy to ma dotyczyć tylko polityki, tylko zbrodni? A piłki ma to nie dotyczyć? W takim razie tu nic się nie zmieni.

# Sondując „Sondę”

Telewizyjna „Sonda” wciąż kryje wiele tajemnic. Grupa dociekliwych badaczy właśnie zbliża się do odkrycia kolejnej z nich. Powoli rośnie szansa na ponowną emisję legendarnego programu

PAWEŁ FRAN CZAK

**S**onda kosmiczna Mariner 5. Wybuch supernowej. Gwiazdy. Podział jądra komórkowego. Zapłon silników rakiety Saturn 5. Mieszanie wody i oleju w stanie nieważkości. Mikrolutownica. Każdy, kto oglądał telewizję w latach 70. lub 80., pamięta te obrazy, choć niekoniecznie musi wiedzieć, czym jest supernowa i jądro komórkowe. To czołówka „Sondy” prowadzonej przez tragicznie zmarłych Andrzeja Kurka i Zdzisława Kamińskiego – audycji tak kultowej, że niektórzy kolejność i treść odcinków mogą cytować obudzeni w środku nocy, a za nazwisko kompozytora muzyki z sekwencji tytułowej daliby się pokroić.

## Zdumiewająca plastikowa butelka

„W wypadku samochodowym zginęli moi, nasi koledzy: Andrzej Kurek i Zdzisław Kamiński, twórcy telewizyjnej »Sondy«. Do tragedii doszło dziś rano w Raciborzu-Brzeziu. Samochód prowadził Andrzej Gieysztor, przedstawiciel firmy Elf, on też zginął. Peugeot wpadł w poślizg, zderzył się czołowo z ciężarówką...”. Prowadzący 29 września 1989 roku „Dziennik TV” Krzysztof Bartnicki nie krył smutku. Jego słowa o kolegach nie były oficjalną formułą – zmarłych naprawdę oplakiwali wszyscy współpracownicy, cała telewizja, cały kraj. Byli kochani przez fanów (audycję oglądało nawet sześć milionów widzów), poważani przez środowisko, byli celebrytami swoich siermiężnych czasów – zapraszano ich jako gości do teleturniejów, na łamach PRL-owskiej prasy traktowano jak dzisiejszych „tancerzy na lodzie”, jeździli ze swoim show „Sonda na żywo” po Polsce. – Był taki okres, kiedy Andrzej i Zdzisław, obok Bogusława Wołoszańskiego, byli filarami telewizji – wspomina Dariusz Żebrowski, jeden z ich współpracowników.



Zdzisław Kamiński i Andrzej Kurek, czyli entuzjazm romantyka i powściągliwość naukowca

Swój poświęcony nauce i zdobyciom techniki program prowadzili przez 12 lat od 1977 roku. Na małym ekranie pokazywali rzeczy wówczas niemal u nas niedostępne: płyty kompaktowe, wyświetlacze LCD, klocki Lego, symulatory jazdy samochodem, grafikę komputerową, słowem: inną cywilizację. – Gdy pierwszy raz pokazali płytę CD, byłem w szoku – mówi 32-letni Michał Krawczyk, który „Sondę” oglądał jako dziecko.

Kurek i Kamiński, mówiąc o nauce, starali się uniknąć belferskiej nudy. Stąd efektowne eksperymenty, które przeprowadzali – na przykład ten z wypełnionym rtęcią młotkiem, który nie odskakiwał po uderzeniu, zamrażanie róży w ciekłym azocie czy zdalne zapalenie żarówki za pomocą transformatora Tesli. Co ważniejsze, w „Sondzie” show nie przesłonił rzetelnego przekazania wiedzy – bo łączka dzisiejszych programów naukowych,

w których co chwila coś wybucha, ale nie bardzo wiadomo, co z tego wynika.

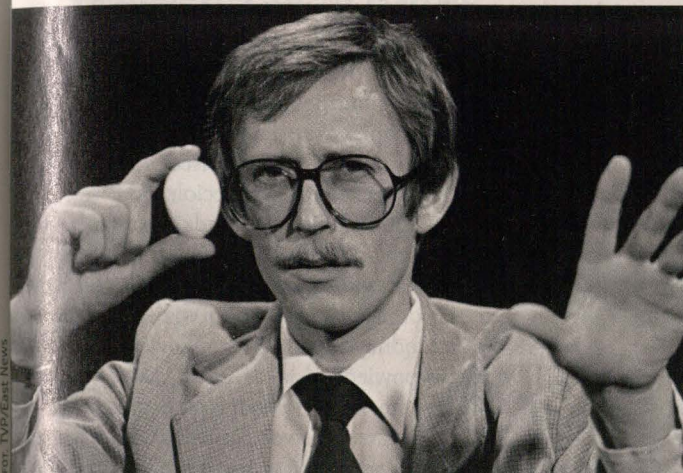
– Mnie w pamięć zapadł odcinek, w którym pokazywali względność czasu w bardzo prosty i jasny sposób: za pomocą dwóch zegarów ustawionych z różną szybkością – opowiada Numan (chce pozostać anonimowy), informatyk i użytkownik forum astro4u.net, na którym od lat wirtualnie spotykają się miłośnicy audycji. – Nie mam wątpliwości, że moje astronomiczne hobby to ich zasługa – dodaje Michał Krawczyk.

ca – po co zbiera dowody na potwierdzenie hipotezy. Przy czym obydwaj przykłady nie są przypadkowe, bo sondowanie „Sondy” to detektywistyczno-naukowa robota.

## Czynniki pozaziemskie

– Pierwszy był żal, że „Sondy” już nie będzie – wspomina moment, gdy dowiedział się o tragedii, Tomasz „Tom Ash” Orłowski z astro4u.net, na co dzień urzędnik samorządowy. – Potem przyszła refleksja, że zginęli w pewnym sensie znajomi, a następnie złość

nie tłumaczono brak postępów. Ktoś związany z TVP miał rozpowszechniać pogłoski o rzekomej niechęci rodzin autorów do wznowień, jednak Ewa Kurek, żona Andrzeja, stanowczo im zaprzeczyła. Koronnym argumentem telewizji publicznej są natomiast prawa autorskie. Nie jest żadną tajemnicą, że program w dużej mierze składał się z zagranicznych materiałów wideo. Część z nich Kurek i Kamiński otrzymywali od ambasad, inne były filmami promocyjnymi zachodnich korporacji, które chętnie przystawały na darmo-



Mimo niezwykle skromnych możliwości Kurek i Kamiński tworzyli najbardziej widowiskowy program popularnonaukowy w historii polskiej telewizji

Dziś niektóre poglądy twórców „Sondy” mogą wydawać się śmieszne. Kamiński dowodził, że kompakty są niemal całkowicie odporne na uszkodzenia mechaniczne; pokazując rysy pod wpływem amfetaminy, autorzy tłumaczyli, że ten narkotyk to taki „troszkę halucynogenny środek”; a przy opisie edytorów tekstu i drukarek Kurek powątpiewał, czy „ktokolwiek chciałby pracować w tak wyposażonym biurze”.

Entuzjazm to nie przeszkadza. – Nie pamiętam rażących wpadek. Pamiętam za to, że byłam w szoku, gdy prowadzący rzucił plastikową butelką PET o podłogę, a ta się nie rozbiła – mówi Piotr pracujący w branży komputerowej, zarejestrowany na astro4u.net.

Piotr i inni badacze tematu z forum nie tylko dowodzą, że „Sonda” była najlepszym programem naukowym w historii polskiej telewizji. Walczą też za pomocą petycji o udostępnienie audycji, co roku zapalają świeczki na grobach twórców, tropią zaginione odcinki i obsesyjnie szukają autora muzyki z czołówki. Pytanie: po co zajmować się czymś takim? wydaje się tu nie na miejscu. To tak, jakby pytać detektywa, dlaczego prowadzi śledztwo, a naukow-

z powodu dziwnych legend dotyczących okoliczności śmierci. Pojawiły się już następnego dnia po wypadku i rządziły niepodzielnie na szkolnych korytarzach.

Legendy miejskie szerzyły się jak plaga: mówiono o butelkach wódki, które wypadły z samochodu, i o zakonnicy, która wpadła pod koła peugeota. Jan Pająk, twórca egzotycznych Teorii napędu magnokraftowego i Teorii dipolarniej grawitacji, dowodził, że dziennikarze podpadli zamieszkującym Ziemię kosmitom powodującym kłeski żywiołowe i epidemie – za sprawą odcinka traktującego o UFO. A ci zemścili się, pozorując krakę.

W rzeczywistości okoliczności zgonu redaktorów nie są żadną miarą zagadkowe – zawiła nadmierna prędkość i źle wyprofilowany zakręt. Jeden z internautów wybrał się nawet na miejsce zdarzenia, by przeprowadzić w tej sprawie własne, małe śledztwo. Jak na detektywa/naukowca przystało.

Niewiadomą jest obecnie co innego: przyszłość „Sondy”. Sympatycy serii zbierają podpisy pod petycjami, wysyłają listy otwarte do telewizji, prosząc o udostępnienie programu w wersji online. Na razie bez skutku. Róż-

wą reklamę. Internauci zapewniają, że to nadgorliwa interpretacja przepisów, bo w każdym z tych przypadków ofiarodawcy doskonale wiedzieli, że materiały będą emitowane w Telewizji Polskiej.

Biuro prasowe TVP napisało do nas: „Ubolewamy, że »Sonda« była realizowana w czasach, w których nie istniały żadne wiążące uregulowania praw autorskich. Obecnie obowiązujące (od 1994 roku) przepisy prawa autorskiego nie pozwalają na wydanie programu „Sonda” na DVD, zamieszczenie go w Internecie, a także powtórna emisję w kanałach TVP. W każdym z odcinków „Sondy” wykorzystywane były materiały pochodzenia obcego, do których TVP nie nabyła wówczas praw. Podjęte przez TVP działania zmierzające do uregulowania praw twórców z ich spadkobiercami jak dotąd, niestety, nie przyniosły rezultatu”.

## 48 sekund przez 20 lat

Najtwardszy orzech do zgryzienia stanowi tajemnica dotycząca autora utworu wykorzystanego w czołówce. W końcu prawdziwym fanom programu nie wypada go nie znać. →

→ Sęk w tym, że kwerenda ciągnie się latami, a krąg podejrzanych zawęża się do kilkunastu tysięcy pozycji z dziedziny muzyki elektronicznej.

Nieżyjący już współautor „Sondy” Tomasz Pyc pofatygował się kilka lat temu do fonoteki TVP. Tam, gdzieś na zakurzonej półce, znalazł starą taśmę z wizytówką dźwiękową. Na tekturowej obwolucie widniał napis: „Autor: Teresa Bancer. Zmontowano z następujących utworów: Quincy Jones – „Gruby tatuś” („Fat Pop-padaddy”); Teresa Bancer – „Milczenie”; Karlheinz Stockhausen – „Etiuda”; Otto Luening & Vladimir Ussachevsky – „Król Lear”; Maliszewski – „Zmienność myśli”.

Sprawa wydawała się zamknięta. Tyle że opis okazał się nieprawdziwy – z takiego zestawu po prostu nie sposób skleić czołówki. Rozpoczęły się wieloletnie spory, kłótnie i dochodzenia. O popełnienie trwającej 48 sekund kompozycji posądzano wszystkich głównych reprezentantów El-muzyki z lat 70.: od Jarre’a, przez Marka Bilińskiego, po Kraftwerk. Ci ostatni zajęli zresztą w tej sprawie oficjalne stanowisko na swojej stronie internetowej, pisząc: „Odpowiadając na pytania fanów z Polski: nie mamy nic wspólnego z czołówką »Sondy«. Ale gdyby poproszono nas o wykrzystanie utworu, nie odmówilibyśmy”.

– W 2006 roku założyłem na forum temat o oprawie dźwiękowej „Sondy” i chyba wszadziłem kij w mrowisko – twierdzi Fotoplastikon, muzyk.

Nasz rozmówca dowiedział się, że nie jest jedynym poszukiwaczem wykonawcy. I na pewno nie ma największego stażu. – Szukam autora tej muzyki od 11 lat, choć niektórzy – od ponad 20. Wydaje mi się, że pochodzi z USA bądź Kanady. Na podstawie instrumentarium i samej kompozycji mogę domyślać się, że nie jest europejska. Może to z jakiegoś filmu instruktażowego z Ameryki Północnej? – zastanawia się użytkownik Bartholomew.

Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby nie to, że w tamtym czasie w Polsce prawami autorskimi nie przejmowano się z nadto – któryś z autorów mógł bez pardonu „pożyczyć” utwór z zachodnich bibliotek muzycznych. I pewnie nie kwapił się poinformować o tym kogokolwiek spoza redakcji. Z czasem pojawiały się przeróżne spekulacje. Podobno ktoś, gdzieś, kiedyś słyszał ten numer w telewizji Mezzo, ale wątek okazał się ślepą uliczką. Ktoś inny stwierdził, że usłyszał bardzo podobną melodię we francuskiej reklamie pewnej firmy produkującej baterie. Niestety, pudło. Znalazł się nawet internauta, który twierdził, że upragniony kawałek słyszał w audycji Piotra

Kaczkowskiego, ale nie jest pewien, czy mu się to nie śniło.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Nazwiska tajemniczego kompozytora nie znał nawet zajmujący się oprawą muzyczną „Sondy” Dariusz Żebrowski. Nie pozostało nic innego, jak skontaktować się z samą Teresą Bancer. Zajęło to, bagatela, ponad rok. – Najpierw to ja napisałam czołówkę do „Sondy”, ale nie została nigdy użyta. Powinna zresztą znajdować się wciąż w fonotece. To redakcja, autorzy programu użyli jakiegoś utworu. Ale jakiego i jak go odnaleźć – nie mam pojęcia – zdradziła „Przekrojowi” Bancer.

Co ciekawe, niektórzy tropiciele wykazują niezwykle romantyzm. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli pewne tajemnice pozostaną nieodkryte – tłumaczy użytkownik Numan. – I choć oczywiście jestem ciekaw, jak i z czego powstała ta muzyka, to raczej wolałbym pozostawić to w takim stanie, w jakim jest teraz.

Życzenie Numana nie zostanie raczej spełnione – finał dociekań jest tuż-tuż. – Przez pewien czas tylko podczytywałem forum, ale w którymś momencie ciekawość wzięła górę – mówi Michał Wilczyński z wydawnictwa muzycznego GAD Records, które chciałoby oprawę dźwiękową wydać na płycie. – Rozesłałem e-maile do znajomych, odezwały się dwie osoby, obie z Wielkiej Brytanii. Jedna z nich stwierdziła, że na pewno ma ten utwór na płycie, ale ponieważ jej kolekcja liczy kilkadziesiąt tysięcy krążków, dokopanie się do niego musi potrwać. Trzeba cierpliwości.

### Mówiące płuco Kurka

Zagadką, której nie sposób jednoznacznie rozwiązać, jest również przyczyna ogromnej popularności cyklu. Powodem mogła być teatralność „Sondy”: Kurek na potrzeby audycji o jajku wystąpił łysy jak kolano, w odcinku o ziołolecznictwie siedział w staromodnej szlafmycy, a w programie o nurkowaniu robił za mówiące płuco.

Może Polaków przed ekrany przyciągały osobowości dziennikarzy? Sceptyczny, racjonalny Kamiński wечно studiował entuzjazm kolegi zachwyconego kolejnym wynalazkiem. Ten odwdzięczał się małymi złośliwościami. I tak co tydzień. „Grupa dziennikarzy (...) wymyśliła, że prowadzących (...) powinno być dwóch, i to na dodatek różnych. W tym czasie w innym pokoju redakcyjnym pracował Zdzisław Kamiński, który pasował do wyobrażeń: jeden wysoki, drugi niski, jeden blondyn, drugi brunet. Myśmy później dodali inne różnice, jeden inteligentny...”. – opisywał koncept w wywiadzie z 1982 roku Kurek.

– Ich konfliktowość na ekranie była wyreżyserowana – mówi Dariusz Żebrowski. – Na co dzień się nie kłócili, to był zgrany team.

Może największy atut stanowiła kreatywność załogi? Najlepiej sprawdzała się przy notorycznych problemach budżetowych. Kamiński tak to przedstawiał w 1984 roku: „Do zrobienia modelu bakterii wyniosłem z domu kordonek, którego nie chciała mi wydać żona, bo był trudny do zdobycia, a mi akurat był potrzebny czerwony i niebieski”. O tym, że starano się razić siebie na własną rękę, może świadczyć to, że logo „Sondy” też zostało wykonane domowym sposobem – na prywatnym komputerze Kamińskiego ZX Spectrum, o oszłamajającej pamięci 48 kilobajtów...

Czy to wszystko wystarczyło, by przyciągać regularnie kilka milionów widzów, ustawić poprzeczkę dla każdego następnego programu naukowego w Polsce i stworzyć obiekt kultu na kolejne dziesięciolecia?

– Spotkało się dwóch ludzi o bardzo interesujących osobowościach. Jeden – ekstrawertyk, romantyk, łatwo dzielący się z otoczeniem swoimi myślami, swoimi wizjami, i drugi – typ chłodnego analityka, naukowca, który zanim wypowiedział jakąś myśl, jakieś stwierdzenie, musiał je dokładnie przeanalizować – wyjaśniał w radiowej „Trójce” Tomasz Kostuch, jeden z reżyserów programu. – Zderzenie tych osobowości powodowało, że z zainteresowaniem oglądaliśmy konflikt argumentów.

Tom Ash uważa, że na fenomen składało się coś więcej. – Na sprawę trzeba spojrzeć przez pryzmat epoki. I tutaj dysonans w stosunku do ówczesnych czasopism naukowo-technicznych w materii propagandowej jest bardzo wyraźny. Tam klimaty w stylu: „Związek Radziecki rzeki zawraca, w Związku Radzieckim radość i praca”. Natomiast „Sonda” jest neutralna, nie było widać tam propagandy – komentuje. – Z czasem coraz wyraźniejsze było napięcie między światem przedstawionym w felietonach a światem, który widzieliśmy codziennie za oknem. Kurek i Kamiński marzną w niedogrzanym blokowym mieszkaniu, rozprawiali o wyzwaniach światowej geotermii, dyskusję na temat żywności odbywali przy stole suto zastawionym plastikowymi atrapami cytrusów czy wreszcie usypiając na pustym kanistrze, wsparci o stojącą na poboczu Syrenę 105 z naklejką PL na szybie, śnili o nowoczesnych stacjach benzynowych.

Na ponurą ironię zakrawa, że kilka tygodni przed śmiercią pod kołami stara Kurek i Kamiński prezentowali w odcinku „Prawo siły” inny wynalazek: innowacyjne urządzenia służące ratowaniu ofiar wypadków drogowych.

# Moc w parze z bezpieczeństwem.

**Sensor Secure.**  
Jedynе żelazko z czujnikiem dotyku. Grzeje tylko, gdy trzymasz je w dłoni.



Wejdź na stronę internetową [www.zelazka-bosch.pl](http://www.zelazka-bosch.pl) i zagraj z nami. Codziennie do wygrania żelazko Sensor Secure.

Żelazko Sensor Secure marki Bosch to połączenie komfortu prasowania i wyjątkowego bezpieczeństwa. Dzięki innowacyjnemu czujnikowi dotyku Active Control, żelazko grzeje tylko wtedy, gdy trzymasz je w ręku. Gdy zdejmiesz z niego dłoń, nagrzewanie stopy odłącza się automatycznie. Wyjątkowa moc i wyrzut pary, do 180 g/min gwarantuje, że każdy materiał wyprasujesz szybko i bardzo łatwo. **Sensor Secure – moc w parze z bezpieczeństwem. Zagraj w grę on-line i wygraj żelazko każdego dnia. [www.bosch-home.pl](http://www.bosch-home.pl)**



**BOSCH**  
Technologia bliżej nas

Żelazka Bosch wyróżnione zostały:



Marka Bosch laureatem nagród:



10  
rzeczy,których nie wiesz o  
**COCA-COLI**

Historia coca-coli rozpoczęła się 125 lat temu. Względna okrągłość tej rocznicy to dobry powód, by przypomnieć kilka faktów związanych z tym napojem

PIOTR STANISŁAWSKI

**1** Pierwsza cena coca-coli wynosiła pięć centów za szklankę. Na tyle wycenił swój napój aptekarz John Pemberton. 8 maja 1886 roku opracował miksturę, którą mieszano z wodą sodową i rozprowadzano w jednej z aptek w Atlancie. Początkowo sukces był umiarkowany – dziennie sprzedawano dziewięć szklanek napoju. Dziś sprzedaż nieco wzrosła – każdego dnia nabywców znajduje 1,6 miliarda porcji coca-coli.

**2** Receptura coca-coli jest jednym z najlepiej chronionych sekretów handlowych koncernu. Nie wiadomo, czego się dodaje, by uzyskać rozcieńczony wodą koncentrat; tajemnicą jest nawet to, ile osób zna szczegóły receptury. Wiadomo jedynie, że od 1919 roku jest ona przechowywana w skarbcu Suntrust Bank w Atlancie. Niedawno pojawiły się doniesienia, jako by tajny przepis został ujawniony. W Internecie pojawiły się nawet szczegółowe proporcje składników. Jednak ich bliższa analiza pokazuje, że receptura, nawet jeśli jest oryginalna, z pewnością nie opisuje współcześnie przygotowywanej coca-coli. Zawiera bowiem alkohol i liście koki, których dziś na pewno do napoju się nie dodaje.

Ale bądźmy szczerzy – nawet gdyby prawdziwe składniki

coca-coli poznali wszyscy konkurenci, ba, wszyscy na świecie, zapewne i tak by jej to nie zaszkodziło. W końcu w milionach butelek kupujemy przede wszystkim emocje, które kojarzą nam się z tym napojem.

**3** Charakterystyczna kanciasta butelka coca-coli została zaprojektowana w 1914 roku. Autorami pomysłu byli Alexander Samuelson i Earl R. Dean z firmy Root Glass Company. O nietypowym kształcie zadecydowały nie tylko względy estetyczne, ale też chęć zabezpieczenia się przed podróbkami. Pojawiające się wówczas powszechnie klony coca-coli wlewane były bowiem do standardowych butelek o prostych kształtach. Sama butelka przez lata też podlegała zmianom, jednak jej konturowy (jak go określa producent) kształt pozostał rozpoznawalny.

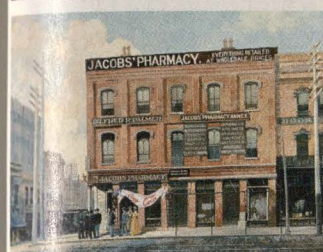
**4** Butelka butelką, ale równie wielkim przebojem jest puszką coca-coli. A ta zaszła (a właściwie zaleciała) daleko – pokonała blisko milion mil. Taką podróż odbyły dwie puszki, które w 1991 roku poleciały na stację kosmiczną Mir. Zostały specjalnie zaprojektowane, ponieważ w stanie nieważkości nie następuje oddzielanie się napoju od powietrza i otwarcie puszek skończyłoby się jego ko-



Początek XX wieku, tania cola w gładkiej butelce. No i ta dama...

smiczną erupcją. Zainwestowano 250 tysięcy dolarów w opracowanie opakowania ze specjalnym wewnętrznym mechanizmem dozującym, który rozwiązywał

ten problem. Później produkty Coca-Coli jeszcze dwukrotnie latały w kosmos – w 1996 roku wahadłowiec Endeavour zabrał w przestrzeń saturator podający



coca-colę klasyczną, dietetyczną, i pomarańczowy Powerade.

**5** Nielatwo miała coca-cola w komunistycznej Polsce. Początkowo była „konsumpcyjnym symbolem wrogiego systemu” opisywanym hasłem „Coca-cola to imperializm w płynie”. Oficjalnie wprowadzono ją do wolnej sprzedaży w 1972 roku, a konkurs na pierwsze polskie hasło reklamujące napój wygrała Agnieszka Osiecka. Było to słynne „Coca-cola to jest to!”. Zresztą firma miała szczęście do autorów opracowujących slogany – „Coca-cola: co za radość” w 2000 roku wymyślił profesor Jerzy Bralczyk.

**6** Coca-cola od początku jest ściśle związana z rozwojem reklamy. W 1886 roku na ulicach Atlanty rozdawano darmowe kupony, które zachęcały do zakupu napoju. Od 1929 roku na stacjach benzynowych pojawiły się, do dziś dobrze znane, kolorowe lodówki z napojami.

**7** Logo coca-coli wymyślił... księgowy. Frank M. Robinson pracował dla wynalazcy napoju Johna Pembertona i był

**Kawał kielbasy i kawał historii.** Kielbasa pochodzi z reklamy z 1972 roku, a szacowny budynek to pierwsze miejsce sprzedaży coli

też autorem wczesnych pomysłów reklamowych – wspomnianych darmowych kuponów czy banerów umieszczanych na tramwajach.

**8** W 1985 roku ówczesny szef Coca-Coli Roberto C. Goizueta zdecydował się na radykalne posunięcie – zmianę receptury napoju. Opracowano New Coke, która rewelacyjnie wypadła w testach konsumentów, przebijając zarówno starą colę, jak i pepsi. Jednak po wprowadzeniu jej na rynek okazało się, że klienci są niezwykle przywiązani do starego smaku i nowy odbierają jako pogwałcenie świętości. New Coke wycofano po zaledwie trzech miesiącach.

**9** O tym, że współczesnego grubego Mikołaja z białą brodą wymyślono na potrzeby reklamy coca-coli, wiedzą już chyba wszyscy. Za to nie wszyscy zdają sobie sprawę, że jego twórca, ilustrator Haddon Sundblom, wzorował jego postać na własnym sąsiedzie – Lou Prentissie. Gdy ten umarł, Sundblom portretował w reklamach samego siebie, dorysowując sobie tylko imponującą brodę.

**10** Pierwszy slogan reklamowy z 1904 roku napoju brzmiał: „Coca-cola pyszna i orzeźwiająca”.

REKLAMA

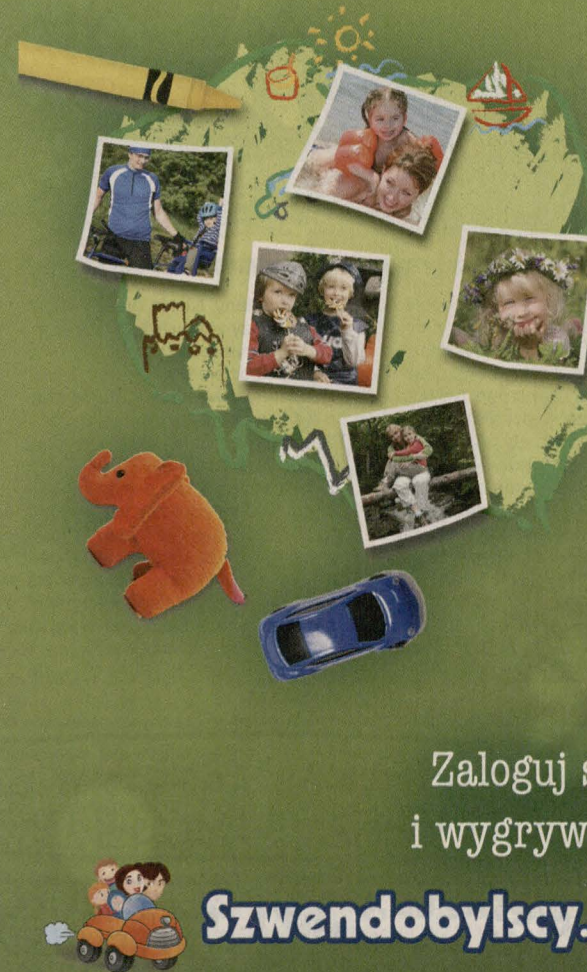
33.333

fajne miejsca na rodzinny wyjazd

tanie i dobre noclegi,  
restauracje, super rabaty

NOWY KONKURS

– jeszcze gorętsze nagrody!

Zaloguj się  
i wygrywaj!

Szwendobylscy.pl

INNOWACYJNA  
GOSPODARKA  
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

Szwendobylscy.pl

UNIA EUROPEJSKA  
EUROPEJSKI FUNDUSZ  
ROZWOJU REGIONALNEGO



## TEŻ PYTANIE



Zadaj pytanie, odpowiemy na nie. Jeśli coś cię nurtuje, a nie wiesz, kogo spytać, pisz na adres [nauka@przekroj.pl](mailto:nauka@przekroj.pl). Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

URSZULA DĄBROWSKA

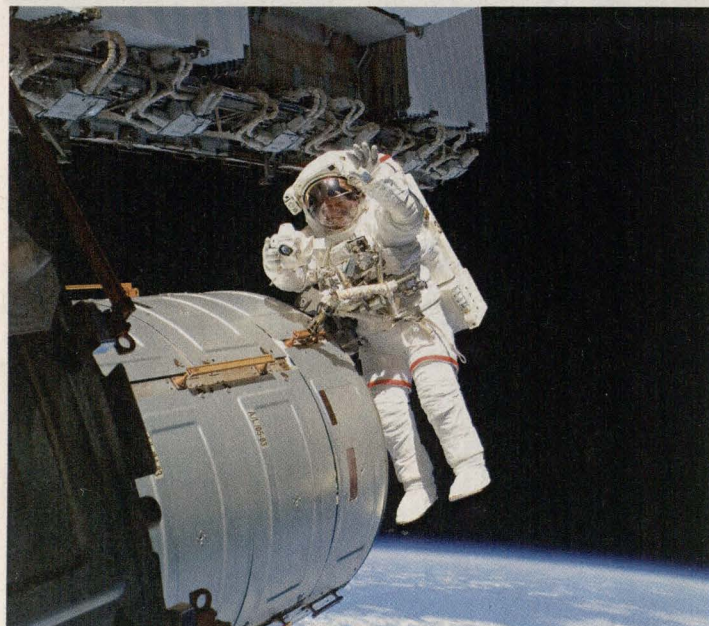
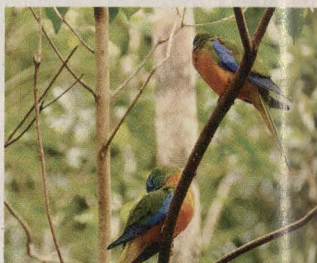


### 2. Czym różni się biały barszcz od żurku?

Dziś, w dobie żurku w proszku, różnice między nimi się zacierają. Ale to zdecydowanie dwie różne potrawy, a nie jedna z dwiema nazwami. Żur jest znacznie starszy, zapisy o nim sięgają XIII wieku. Od tego czasu przyrządza się go właściwie tak samo – na zakwasie z mąki żytniej. Biały barszcz to wynalazek stosunkowo młody, bo XIX-wieczny. Wyewoluował z barszczu – znanej już w średniowieczu zupy na kiszonych lodygach, liściach i kwiatostanach rośliny o tej samej nazwie. Gdy ten zaczyn zastąpiono zakwasem na mące pszennej (a czasem sokiem z kiszanej kapusty), dodano też określenie „biały”. Obie te zupy według różnych przepisów zabiela się śmietaną, zasmażą, dodaje do nich wędzonkę, kielbasę, grzyby, chrzan czy jajka, o majeranku i czosnku nie wspominając. Każdy region Polski, a dziś czasem nawet każdy kucharz, ma swój pogląd na to, który z tych dodatków pasuje bardziej do barszczu, a który do żurku. Ale prawie wszyscy zgadzają się, że ten pierwszy powinien mieć bardziej delikatny smak.

### 3. Dlaczego śpiące ptaki nigdy nie spadają z drzew?

Bo mają specjalnie przystosowane stopy. Nie trzeba być ornitologiem, by zauważyć u nich przeciwstawny paluch – nie tak powszechny w świecie zwierząt. Dzięki niemu ptaki są w stanie chwycić się gałęzi. Tajemnica chwytnych stóp ptaków kryje się w budowie nogi. My, aby zaciśnąć pięść, musimy napiąć mięśnie dłoni. A ptaki na odwrót – wykonują pracę, by rozluźnić uchwyt stopy. Odpowiada za to ścięgno Achillesa – to, które u nas łączy mięsień łydki z piętą. U ptaków jest ono dużo dłuższe. Ciągnie się od spodu kolana – zwykle go nie widzimy, bo jest ukryte między piórami brzucha – do końca palców. Gdy ptak siada na gałęzi, ścięgno napina się na pięcie i naciska tak, że zaciska palce wokół gałęzi. W takiej pozycji ptak zostaje aż do momentu, w którym u niego chce odlecieć. Wtedy prostuje nogi i puszcza gałąź. Ale jeśli nie robi, ciężar jego ciała sam pogłębia zaciśnięcie palców. Nie słabnie ono, gdy ptakiem kołysze wiatr, a nawet gdy ptak śpi.



### 1. Dlaczego nie można przebywać w Kosmosie bez skafandra?

Bo się umiera. Kosmos to miejsce nieprzyjazne dla człowieka z kilku powodów. Po pierwsze, w przestrzeni kosmicznej panuje bardzo niska temperatura -270 stopni Celsjusza, czyli bliska zera absolutnego. Brzmi strasznie, ale wbrew pozorom nie to jest najgroźniejsze. Jako że w Kosmosie prawie nie ma cząsteczek (mówi się wręcz o próżni), ciepło ciała nie ma jak się rozprzaskić, więc organizm wychładza się powoli. Natomiast błyskawicznie paruje woda: w sekundę cała ślina i wszystkie tazy przechodzą w stan gazowy. Wewnątrz ciała zachodzą równie gwał-

towne zmiany. Niskie ciśnienie sprawia, że gazy w płucach i przewodzie pokarmowym zwiększają objętość. Podobnie dzieje się z azotem rozpuszczonym we krwi, który wydziela się w postaci gazowej, rozpręża się i rozrywa ścianki naczyń krwionośnych. To ekstremalny rodzaj choroby kesonowej, która dotyka nurków zbyt szybko wychodzących z głębin na powierzchnię. Ale śmierć w Kosmosie przynosi rzecz zupełnie podstawowa – brak tlenu. Człowiek traci przytomność, w ciągu kilku minut jego serce przestaje bić, a w końcu mózg nieodwracalnie umiera.



### Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;  
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

MAREK RACZKOWSKI



www.porta.com.pl

PORTA DRZWI

# Elegancja w naturze



natura bez kantu  
drzwi bezprzylgowe

Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad 1500 współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

Bielchatów Balsa 44 633 24 31 • Białystok AWruk – STOLARKA BUDOWLANA 85 653 93 23 • Bielsko-Biała MTB JASIŃSKI 33 816 33 36 • Błonie CENTROBUD 22 731 81 53 • Bolesławiec JAWA 75 732 05 24 • Busko Zdrój FONTIS 41 378 80 45 • Bydgoszcz DRZWI – TESSA 52 364 67 00 • Bydgoszcz STALREM 52 346 55 23 • Ciechanów WOODCOTE POLAND 23 672 56 36 • Czaplinek-Sikory P.P.H.U. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 94 375 47 56 • Czechowice Dziedzice MTB JASIŃSKI 32 215 50 49 • Częstochowa FACHOWIEC 34 360 22 40 • Elk MURBET 87 620 06 20 • Gdańsk BEL-POL 58 301 78 39 • Gdańsk STALREM 58 340 69 50 • Gdynia STOREM 58 668 46 87 • Gdynia WOODCOTE POLAND 58 663 84 00 • Gliwice BEL-POL 32 232 87 58 • Gliwice MAT – BUD 32 331 37 20 • Gorzów Wilkp. BEL-POL 95 722 73 19 • Gorzów Wilkp. STALREM 95 725 03 66 • Grudziądz EKSPOL 56 461 37 78 • Jastrzębie Zdrój HADEX 32 478 81 10 • Jelenia Góra BEL-POL 75 767 83 88 • Kalisz BEL-POL 62 753 67 21 • Katowice BEL-POL 32 252 86 91-92 • Katowice BUDUS Grupa PHMB 32 608 87 87 • Katowice WOODCOTE POLAND 32 202 50 30 • Kielce APOLLOPLAST 41 346 10 11 • Kielce BEL-POL 41 362 68 66 • Kielce FONTIS 41 362 72 41 • Kłodzko STOLPLAST 74 867 46 74 • Kołobrzeg WIK 94 351 64 18 • Koszalin SEZAM 94 342 54 46 • Koszalin TOM-SAN 94 343 54 88 • Kościan EFIL 65 511 95 66 • Kraków BEL-POL 12 417 39 46 • Kraków DREWEX 12 622 88 60 • Kraków HEBAN 12 651 87 62 • Kraków KONSTRUKTOR 12 420 00 12 • Kraków STALREM 12 264 72 25/26 • Kraków WOODCOTE POLAND 12 417 13 00 • Legnica BEL-POL 76 856 03 00 • Lubin BUDUS Grupa PHMB 76 844 39 90 • Lublin INTER GIPS 81 441 72 27 • Lublin PORTO 81 444 60 25 • Lublin WOODCOTE POLAND 81 745 38 46 • Łomża DW DOMEL 86 215 66 15, 86 215 42 22 • Łódź BEL-POL 42 676 76 36 • Łódź EKOCENTR 42 656 73 34/35 • Łódź MATERIAŁY BUDOWLANE 42 674 82 44 • Łódź STALREM 42 653 51 44/45 • Maków Mazowiecki CENTROBUD 29 717 13 48 • Nowa Sól BEL-POL 68 356 33 20 • Nowy Sącz BOGDANŃSKI 18 444 24 13 • Nowy Sącz TOMEX 18 444 11 27 • Olsztyn ALTADOOR 89 533 21 07 • Olsztyn D.P. 89 532 02 17 • Opole BEL-POL 77 454 42 33 • Opole WOODCOTE POLAND 77 402 44 40 • Ostrów Wielkopolski INTAR 62 737 51 48 • Płock BUD-MAT 24 268 65 04 • Płock PIK 24 268 99 66 • Poznań BUDOM MARKET 61 859 83 00/23 • Poznań C.B. PROGRESS 61 873 33 00 • Poznań EKO 61 815 03 44 • Poznań STALREM 61 846 08 60-62 • Przemysł MULTI-FORM II 16 678 48 31 • Pszczyna KRONODOM 32 738 77 77 • Puławy BEL-POL 81 888 03 49 • Radom FACHOWIEC 48 340 03 45 • Radom OKNO-BUD 48 381 17 95 • Rzeszów BOZ 17 850 51 33/34 • Rzeszów PORTO 17 853 27 15 • Rzeszów WEPAL 17 864 22 80 • Sanok INSTAL – BUD 13 493 24 11 • Słupsk TOM-SAN 59 842 03 22 • Słupsk WOODCOTE POLAND 59 848 59 75 • Suwałki ALMAT 87 563 16 31 • Szafłary TOMEX 18 275 40 64 • Szczecin HIPER-GLAZUR 91 485 64 51 • Szczecin STALREM 91 484 73 99 • Szczecinek KPPD Szczecinek 94 372 95 55 • Świdnica BEL-POL 74 856 38 30 • Tarnów TRANSBUD 14 629 80 73 • Toruń DRZWI – TESSA 56 655 92 60 • Toruń MS PROFIL 56 660 52 95 • Tychy MULTI-FORM II 32 227 27 27 • Wałbrzych BEL-POL 74 886 95 00 • Wałbrzych SIRBUD 74 666 88 88 • Warszawa CENTROBUD 22 756 72 36 • Warszawa CENTRUM DRZWI 22 651 03 50 • Warszawa SYKOMAT 22 840 42 57 • Warszawa TECHNOBUD 22 632 85 06 • Warszawa WOODCOTE POLAND 22 796 00 76 79 • Warszawa – Góraszka SYKOMAT 22 780 09 80 • Warszawa – Grodzisk Mazowiecki FACHOWIEC 22 724 35 91 • Warszawa – Lomianki TECHNOBUD 22 751 70 41-44 • Warszawa – Piaseczno SYKOMAT 22 750 68 66 • Warszawa – Pruszków FACHOWIEC 22 728 23 78 • Warszawa – Stara Iwiczna SYKOMAT 22 224 39 31 • Warszawa – Stara Miłomska SYKOMAT 22 773 38 81 • Warszawa – Stare Babice TECHNOBUD-ALSTAL 22 382 41 01 • Warszawa – Tarczyn CENTROBUD 22 727 87 67 • Warszawa – Zabki SYKOMAT 22 781 55 06 • Wejherowo BEL-POL 58 672 30 51 • Włocławek MAJSTER ATLAS KUJAWY 54 412 66 21 • Wrocław BEL-POL 71 325 27 77 • Wrocław BUDUS Grupa PHMB 71 373 19 90 • Wrocław WOODCOTE POLAND 71 346 79 90-91 • Zamość METBUD 84 639 10 09 • Zielona Góra CeMBe 68 320 33 00

## Cicho sza!



Zachowajmy się przyzwoicie  
- zrobmy miejsce owadom.  
One będą wiedziały, jak stawić  
czułki iście kosmicznemu wyzwaniu

OLAF SZEWCZYK

**S**top! Wszystkie maszyny stoop! - alarmuje fizyk Adrian Kent w reakcji na narzekania „Przekroju” *et consortes*, że podbój Kosmosu niemożliwie zwolnił w ostatnich dekadach. Albowiem zgodnie z rozumieniem paradoksu Fermiego przez rzeźbionego doktora z Uniwersytetu w Cambridge istoty rozumne powinny być na tyle rozumne, by się nie wychylać. Nawiązując do słów pewnego francuskiego polityka o Polsce, powinniśmy jako ludzkość skorzystać z szansy, by siedzieć cicho. Bo będzie źle.

Przypomnijmy, na co zwrócił uwagę Enrico Fermi w 1950 roku. Skoro życie na Ziemi nie jest fenomenem na skalę Wszechświata - bo niby dlaczego miałyby być - w Kosmosie powinno się roić od inteligentnych ras. A skoro tak, dlaczego żadna jeszcze nam się nie objawiła? Dlaczego nie wychwytyjemy transmisji z innych planet?

Według Kenta dlatego, że kto mądry, ten chowa się przed innymi - a kto taką mądrością się nie wykazał, jest już milczącym wspomnieniem. Spotkanie dwóch obcych ras niesie zbyt duże ryzyko zagłady słabszej z nich. Grozi im choćby spór o surowce. Międzygwiazdni imperialiści nie śpią - zachowajmy najwyższą czujność, towarzysze!

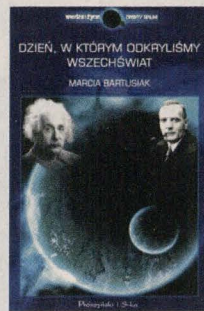
Jeśli Kent ma rację, już zdążyliśmy się zachować jak ostatnie półgłówki z zapyziałych peryferii galaktyki, które skądinąd faktycznie są naszym domem. Nieostrożnie wysłaliśmy w stronę gwiazd sondy Voyager z rozbrajająco naiwnym posłaniem międzygatunkowej miłości. Gęsto siejemy wokół siebie elektromagnetyczną emisję z nadajników i innych zaawansowanych technologicznie urządzeń, co nie mogło zostać niezauważone. Bracia w rozumie, którzy chowają się gdzieś pod miotłą i nie życzą nam źle, zapewne załamują macki nad taką beztronską, by nie rzec - fra-

jerstwem. Ci, których się boją, być może już skrzykują kumpli, by ruszyć na zer.

Zasada brutalnej międzygwiazdnej eliminacji słabszych cywilizacji może być prawdziwa. To przecież powielenie schematu rywalizacji gatunków i jednostek w ramach ekosystemu. Gatunek, który tworzy cywilizację, musi wcześniej zyskać pozycję dominującą w swoim środowisku, pokonując rywali. Dlaczego, opuściwszy rodzinną planetę, miałby funkcjonować według innych zasad? Anihilacja obcych cywilizacji może być postrzegana jako optymalna strategia przetrwania - to przecież likwidacja potencjalnego zagrożenia dla własnego istnienia (każda obca rasa może się okazać bombą z opóźnionym zapłonem) i rywali w eksploatacji bezcennych zasobów.

Trudno też zakładać, że zaatakowany będzie miał szansę się bronić. Gwiazdne wojny to mrzonka. Najmniejsza różnica poziomów technologicznego rozwoju musi oznaczać miażdżącą przewagę jednej ze stron konfliktu. A wtedy nie ma walki - jest egzekucja.

Dlatego bezpieczniej jest udawać, że nas nie ma. To musi jednak wiązać się z absolutną kontrolą rozwoju cywilizacji. My nie jesteśmy do tego zdolni - ludzkości brak centralnego ośrodka decyzyjnego. Nie potrafimy zapobiec hekatombie gatunków (w najbliższej przyszłości wyginie co najmniej jedna trzecia roślin i zwierząt) i ociepleniu klimatu, co zapewne wykończy nas szybciej niż kosmici. Do takiej dyscypliny zdolne mogą być jednak kolektywne umysły społeczności zorganizowanych na zasadzie roju. Jak pszczoły. Skoro jesteśmy pomyłką ewolucji, przypominając chaotyczną kolonię komórek rakowych rządzących się każda własnym interesem, może powinniśmy ustąpić bardziej obiecującej opcji - owadom? W tej formie życie ma większe szanse na przetrwanie.



Mały →  
mniejszy →  
najmniejszy →  
człowiek

To była cenna lekcja pokory. Niecałe sto lat temu przekonaliśmy się, że jesteśmy jeszcze mniejsi, niż myśleliśmy - tak tyci, że statystycznie wręcz nieobecni w gargantuicznie olbrzymim Wszechświecie

**D**ziś nie pamiętamy, jak wielki był to szok. Świat zamykał się w obrębie Drogi Mlecznej, w której skład wchodził także Układ Słoneczny. Gdzieś wokół niej mrużyły z niebieskiego sklepienia nędzne resztki po akcie stworzenia - rozsiane wśród pustki pojedyncze gwiazdy niczym odpryski z jasnego dysku stanowiącego sens i środek Wszechświata. Wciąż lizaliśmy rany po zepchnięciu Ziemi z pozycji centrum wszystkiego, ale rola pałacu na królewskim dworze była jeszcze dla nas do zniesienia. 1 stycznia 1925 roku Edwin Hubble wyprowadził jednak cios, który posłał nas na deski. Udowodnił, że Droga Mleczna jest tylko jedną z niezliczonych galaktyk w Kosmosie. Ludzkość straciła podstawy wiary w swą uprzywilejowaną pozycję. Efekt skali był przytłaczający. Okazaliśmy się jeno pyłkiem w bezmiarze gwiazd. Nigdy nie zdołaliśmy się po tym podnieść. I nigdy nie byliśmy zdolni ocenić, jak bardzo ta świadomość wpłynęła na nas jako na gatunek. Przyspieszona laicyzacja społeczeństw rozwiniętych to tylko jeden z efektów tamtego przełomu.

Marcia Bartusiak w książce „Dzień, w którym odkryliśmy Wszechświat” przybliżyła głównych bohaterów naukowego sporu zwanego dziś Wielką Debatą, który zakończył się naszym upadkiem na doprawdy kosmiczną skalę. Prowadzi za kulisami, abyśmy mogli lepiej zrozumieć mechanizmy tamtych epokowych zdarzeń. Pasjonująca opowieść o wielkich odkrywcach odznaczających się niezwykłą intelektualną odwagą, wyobraźnią i pasją.

Marcia Bartusiak „Dzień, w którym odkryliśmy Wszechświat”, przeł. Marek Krośniak, Prószyński i S-ka, Warszawa 2011, 40 zł



Eliza  
rezydencja

Ochota Ma Wszystko



ul. Elizy Orzeszkowej 14/16

www.rezydencjaeliza.pl

+48 22 697 63 36

Zakończenie  
budowy  
I Kwartal  
2012

Park  
Szczyliwki

Aleje Jerozolimskie

Grójecka

Żwirki i Wigury

Plac Zawiszy

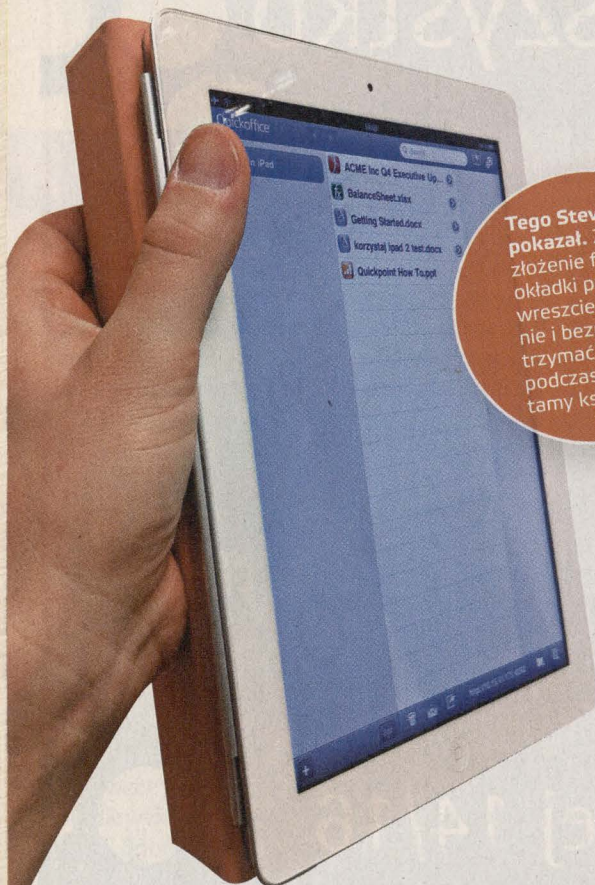
Aleja Armii Ludowej

Pole Mokotowskie

# Tablet do tworzenia

TEST

Choć tablety wcale nie miały wypierać laptopów, **IPAD 2** jest tego bliski



Tego Steve nie pokazał. Zmyślnie złożenie firmowej okładki pozwala wreszcie wygodnie i bezpiecznie trzymać iPada, podczas gdy czytamy książkę.

**G**dy Steve Jobs, jak zawsze w oczach i achach, prezentował drugą wersję tabletu Apple, wielu śmiało się, że największą innowacją jest tu zmyślny pokrowiec *smart cover*, który zgrabnie podpiera urządzenie, a dodatkowo potrafi je włączać i wyłączać. No bo czym innym ostatecznie się ekscytować?

Nowy iPad jest trochę cieńszy i nieco lżejszy od poprzednika. Fakt, ma dwie kamery, ale to w końcu żadna sensacja. Dwurdzeniowy procesor i szybszy układ graficzny? A kogo to kręci?

Jednak kilka tygodni użytkowania tej maszyny przekonuje mnie do jednego – iPad 2 przestał być urządzeniem wyłącznie do konsumowania treści, stał się narzędziem pozwalającym je tworzyć. Na początek – wspomniana kamera. Ta główna, umieszczona na tylnej ścianie, ma matrycę o rozdzielczości zaledwie jednego megapiksela. W świecie dzisiejszej fotografii to śmiesznie mało. Nie przypadkiem jednak Apple podkreśla nie funkcję robienia zdjęć, ale kręcenia filmów. W tej pierwszej roli bowiem kamera sprawdza się marnie – jeśli nie mamy doskonałego światła, pojawia się okropny szum, zdjęcia są za jasne lub zbyt ciemne i wyglądają niczym robione komórką sprzed dekady. Co innego wideo – tu obraz w rozdzielczości 720 pikseli wygląda czysto i żywo. Malutki mikrofon zaskakująco dobrze wychwytuje dźwięk i w efekcie dostajemy film w jakości, która broni się nie tylko w Internecie, ale i na dobrym telewizorze.

Ale prawdziwą rewelacją jest program iMovie. Wraz z iPadem 2 wprowadzono jego wersję tabletową, która działa tylko na tym urządzeniu. Za cztery euro kupujemy narzę-

dzie, które uratuje rodzinę i znajomych przed oglądaniem długich i śmiesznie nudnych nagrań z wakacji. Kiluminutowy dynamiczny materiał zmontujemy w pół godziny, dodając do niego muzykę czy własny komentarz. Oczywiście Apple nie byłoby sobą, gdyby nie zepsuło nam humoru – montować można tylko materiały nagrane za pomocą iPada lub importowane z iPhone'a. Szkoda.

Świetny – i w dodatku działający też na poprzednim iPadzie – jest program Garage Band. Choć trudno w to uwierzyć, nawet kompletna niemota muzyczna (taka jak ja) może w krótkim czasie nagrać własny, znośnie brzmiący podkład z gitarą i perkusją. Rodzina będzie pod wrażeniem.

Nowy iPad dodaje też możliwość wyświetlania obrazu na telewizorze czy rzutniku. Oczywiście nie za darmo – przejściówka na HDMI kosztuje aż 170 złotych. Ale to kolejny element sprawiający, że zabieranie ze sobą laptopa czy netbooka staje się coraz mniej potrzebne. Tablet umożliwia napisanie tekstu (ten powstał w całości na ekranowej klawiaturze), pracę z arkuszem kalkulacyjnym, przygotowanie i wyświetlenie prezentacji, ściąganie z aparatu i obrobienie zdjęć oraz całkiem komfortowe przeglądanie Internetu.

Oczywiście niezły netbook wciąż kosztuje 1500 złotych, podczas gdy za iPada 2 w najsłabszej konfiguracji zapłacimy (o ile uda się go kupić, a to wciąż niełatwe) 2200 złotych.

No tak – tablety nie mają zastąpić komputerów. Tylko jakoś samo im to wychodzi – w nowych badaniach 28 procent użytkowników tego sprzętu przyznaje, że w domu zajął on miejsce większego komputera.

## Škoda dla rodziny

Czeska marka szykuje się do wakacji. Tym razem stawia na wyjazdy rodzinne – zarówno te weekendowe, jak i długie wyprawy w nieznane



**I**le radosnej, nieograniczonej, rozbuchanej rozrywki potrafią dostarczyć dzieci, wie dobrze ten, kto choć raz próbował wybrać się z nimi na wakacje samochodem. Od etapu pakowania, poprzez wsiadanie, aż po rozkosze podróży – zawsze zdołają wymyślić i zrobić coś, co wydłuży czas przejazdu dwukrotnie.

Jeśli chcesz choć trochę ograniczyć entropię gwałtownie rosnącą wraz ze zbliżaniem się chwili odjazdu, rozważ zakup modelu Škody z nowej linii Family. Dostępne są w niej fabie i octavie ze specjalnym wyposażeniem. To między innymi zestawy schowków, klimatyzacja Climatronic, mocowanie ISOFIX na fotelu pasażera czy specjalne wyposażenie bagażnika. Pozostaje tylko życzyć szerokiej i spokojnej drogi.



Wrzuć, wypierz, wyjmij i włóż. Bez przerw

**I**m mniejsze mieszkanie, tym większy kłopot. Uprane ubrania trzeba gdzieś wysuszyć, a w małej łazience bywa to nie lada wyzwaniem. W takiej sytuacji idealna byłaby suszarka bębnowa, ale... nie ma na nią miejsca. Rozwiązaniem może być pralko-suszarka – urządzenie, do którego wrzucamy brudne pranie, by po chwili wyjąć czyste, suche i puszyste rzeczy. Pralko-suszarka Bosch stosuje metodę suszenia kondensacyjnego, dzięki czemu oszczędza nawet do 40 litrów wody.

REKLAMA

GDANSK  
www.gdansk.pl

GDANSK 2016

Gdańsk  
29 kwietnia  
-1 maja 2011

# SIESTA FESTIVAL

Bilety:  
www.ticketpro.pl  
www.eventim.pl  
www.biletyna.pl  
sklepy Media Markt, Saturn i EMPIK,  
kasy Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku

Partner strategiczny:  
Polska Filharmonia Bałtycka  
im. Fryderyka Chopina w Gdańsku

Filharmonia Bałtycka, 29.04.2011

## Souad Massi

Filharmonia Bałtycka, 30.04.2011

## Sara Tavares

Filharmonia Bałtycka  
1.05.2011

## Anna Maria Jopek Gil Goldstein Gonzalo Rubalcaba i Przyjaciele

Miasto Aniolów/Barka

## Pedro Moutinho Yami

Klub Parlament

www.siestafestival.pl

## Zdjęcia? Wybierz lepiej iPhone'a

iPad 2

iPhone 4



**Krajobraz.** Mimo bardzo dobrego światła matryca nie daje sobie rady – piksele kłują w oczy

**Krajobraz.** Duża różnica – obrazowi daleko do ideału, ale spokojnie można robić duże odbitki

iPad 2

iPhone 4



**Zbliżenie.** Mimo niewielkiej odległości detale są rozmyte, a kod ledwie można odczytać

**Zbliżenie.** Wszystko czytelne – to ważne, jeśli chcemy na przykład sfotografować wizytówkę



# Zgubiliśmy się w wirtualnym świecie

– Technologia, która wyeliminuje z kina żywych aktorów, już z nami jest – mówi **ARI FOLMAN** w wywiadzie udzielonym „Przekrojowi” na planie swego nowego filmu. Nominowany do Oscara izraelski reżyser ekranizuje właśnie „Kongres futurologiczny” Lema

ROZMAWIA KAROLINA PASTERNAK

**Żeby ułatwić sobie produkcję „Kongresu” (taki będzie tytuł filmu), przyjąłeś podobno polskie obywatelstwo.**

– Niezupełnie. Obywatelstwo polskie mam od sześciu lat, ostatnio dostałem paszport. Załatwienie go zajęło bardzo dużo czasu. Nie chodziło tylko o film. Moi rodzice pochodzą z Polski. Ich dziadkowie mieszkali w Łodzi, pradziadkowie też. Jak wiele żydowskich rodzin musieli po wojnie zrzec się obywatelstwa i wyjechać z kraju. Nie mogli wrócić aż do 1989 roku. Ale już dwa tygodnie po ogłoszeniu upadku komunizmu całą rodziną byliśmy z powrotem w Łodzi. Rodzice nie wyobrażali sobie, że mogłoby nas nie być na miejscu. Do dziś pamiętam puste półki sklepowe. To było dla mnie niezwykle dziwne doświadczenie. Dla rodziców tym bardziej. Po 40 latach wrócili do zupełnie innej rzeczywistości. A przecież to był ciągle ich kraj. Byli z nim bardzo związani.

**A ty jesteś z nim związany? Wychowałeś się w Izraelu.**

– Ale w bardzo polskim środowisku. I nie mam na myśli tylko rodziców. Trzymaliśmy się z ludźmi, którzy mówili po polsku, śpiewali po polsku, jedliśmy polskie potrawy.

**Na przykład?**

– Absolutnie wszystko, co znasz z polskiej kuchni: pierogi, zupę grzybową, bigos. Swoją drogą, w przyrządzaniu bigosu jestem absolutnym mistrzem. W Izraelu polscy Żydzi po prostu trzymali się po wojnie razem. Po części z powodu wspólnoty doświadczeń, po części, żeby rozładować napięcia związane z przymusową emigracją. Dlatego gdy przyjeżdżam do Warszawy albo Łodzi, czuję się jak w domu, nawet bardziej niż w miejscu, w którym się urodziłem i wychowałem.

**Mówisz po polsku?**

– Trochę. Robię błędy, dlatego wstydzę się mówić, ale rozumiem wszystko. Jednym z koproducentów „Kongresu” jest polska firma Opus Film. W związku z tym mam na planie polskich współpracowników. Świetnie się dogadujemy.

**Styszałam, że zaprzyjaźniłeś się z Michałem Englertem, który robi do „Kongresu” zdjęcia.**

– Z Michałem jesteśmy jak bracia. To niesamowite, że niekiedy spotykamy ludzi, którzy po tygodniu są nam tak bliscy jak osoby, które znamy od 20 lat. Jestem pewien, że znalazłem w nim partnera zawodowego na całe życie. →

Fot. Stuart Freedman/Eyevine/East News



Oto człowiek, który odważył się przerobić opowiadanie Lema. „Kongres” Ariego Folmana, twórcy nagrodzonego Złotym Globem „Walca z Baszirem”, będzie gotowy w 2013 roku

→ Początkowo upierałeś się, żeby operatorem był Paweł Edelman.

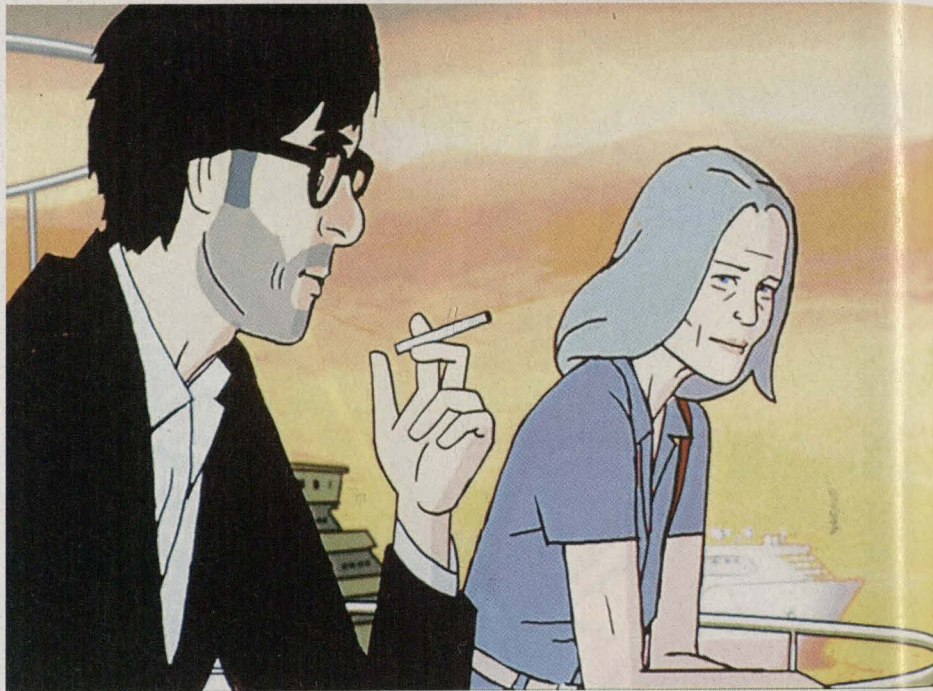
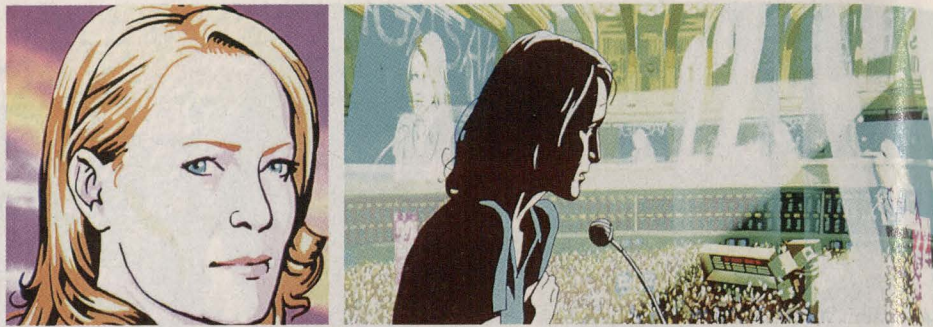
– Edelman nawet się zgodził, ale później okazało się, że terminy zdjęć do „Kongresu” i filmu, który miał kręcić z Romanem Polańskim, się pokrywają i musiał zrezygnować. Pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy, kiedy dowiedziałam się, że ekranizujesz „Kongres futurologiczny”, była taka, że z tego przedsięwzięcia nie da się wyjść cało. Tuż przed naszą rozmową przeczytałam to opowiadanie jeszcze raz i zmieniłam zdanie. Ten tekst sprzed 30 lat stał się dziś jeszcze bardziej...

– ...aktualny. Wiem. Lem to geniusz. Od dawna przymierzałem się do ekranizacji „Kongresu”, ale nie potrafiłem znaleźć sposobu na przeniesienie Lemowskiego świata na ekran. Dopiero mój poprzedni film, „Walc z Basziirem”, pokazał mi możliwości, które daje animacja. Z jaką łatwością można kreować za jej pomocą to, czego nie jesteśmy w stanie odtworzyć przy udziale aktorów i kamer. Zrozumiałem, że to jest sposób na „Kongres”. Że muszę użyć animacji, ale tylko w sekwencjach, które dzieją się w przyszłości. Sekwencje współczesne realizuję z aktorami, między innymi Robin Wright, która gra główną bohaterkę.

W „Kongresie futurologicznym” Lem pokazuje świat przyszłości jako miejsce tak paskudne i zniszczone przez tysiące lat bezmyślnej eksploatacji, że jego mieszkańcy uciekają w utopię, narkotykowe halucynacje. Pomylił się co do jednego – do dziś nikt nie wynalazł narkotyków, które można beztrudno brać latami. Wynaleziono za to Internet i wirtualną rzeczywistość. Czytając „Kongres”, myślałam wciąż o tygodniach naszego życia, które spędzamy w wirtualnym świecie gier, portali społecznościowych...

– I tego będzie dotyczyła pierwsza część filmu. Ten fragment nie bazuje na „Kongresie”, opowiadanie było tylko inspiracją. Wymyśliłem główną bohaterkę, która jest aktorką. Producent filmowi zmuszają ją, żeby zgodziła się zrobić skan samej siebie do wirtualnej bazy danych. Od tej pory sama nie musi już występować. Reżyser filmu może używać jej cyfrowej wersji, która zawsze będzie piękna i młoda.

Dla mnie jednak najciekawszy w tych wszystkich zmianach, których jesteśmy świadkami, nie jest fakt, że przenosimy się do wirtualnej rzeczywistości. Ciekawe jest pytanie, co się w związku z tym dzieje z naszą tożsamością. Kim jesteśmy pod wszystkimi maskami, które możemy dziś każdego dnia zakładać? Mamy swoją oryginalną tożsamość oraz tę, którą tworzymy w społecznościach w sieci, w wirtualnym świecie, w grach, a także tożsamość,



„Kongres” będzie połączeniem klasycznej animacji 2D i filmu aktorskiego

którą uruchamiają w nas narkotyki, jeśli się je bierze. Pytanie, gdzie w tym wszystkim jestem ja? I które ja jest prawdziwe?

W centrum akcji filmu nie umieścisz jednak zwykłego Kowalskiego, tylko właśnie aktorkę, zwracając szczególną uwagę na to, w jakiej sytuacji rozwój technologiczny stawia kino.

Chciałeś, żeby ten film był rodzajem manifestu przeciwko temu, co się dzieje w twojej branży?

– Tak, bo sytuacja, którą pokazuję w „Kongresie”, naprawdę ma dziś miejsce. Sekwencje, w których Robin jest skanowana, kręciliśmy w studiu w Los Angeles, w którym już skanuje się aktorów. W reklamie tego studia „gra” aktorka, którą zeskanowano do ich bazy. Gdybym nie powiedział ci, że ta „gra” jest wygenerowana komputerowo, nie zorientowałabyś się. Zresztą przypomnij sobie sytuację przed ubiegłorocznymi Oscarami. James Cameron awanturował się, że dla jego aktorów przetworzonych komputerowo do ról w „Avatarze” Akademia powinna była stworzyć osobną ka-

tegorię. Tylko kto miałby właściwie odbierać nagrodę? Aktor, który użyczył tylko ciała, czy spece od komputerowego kreowania filmowej rzeczywistości, którzy zrobili całą resztę?

Właściciele tego studia wiedzieli, w jakim celu ci je udostępniają?

– Jasne.

I mimo wszystko wpuścili tam twoją ekipę?

– Dla nich to przecież reklama. Zresztą to świetni goście, fantastyczni fachowcy. Fakty są takie: technologia, która wyeliminuje żywych aktorów z gry, już z nami jest. Nie można więc mieć pretensji do ludzi, że jej używają, że się nią fascynują.

Po „Walcu z Basziirem”, który był bardzo prywatną wyprawą w przeszłość, robisz wyraźny zwrot w przeciwnym kierunku: kręcisz film science fiction rozgrywający się w przyszłości. Chciałeś odciąć się od „Walca”?

– Chciałem odejść od tamtego filmu tak daleko, jak to było możliwe, bo „Walc” był bardzo długą podróżą. I nie chodzi mi tu tylko

o czteroletnią produkcję, ale o wszystko to, co nastąpiło później. Jeżdżenie z filmem przez ponad rok po świecie, projekcje, spotkania, około 800 wywiadów, w których musiałem opowiadać o mojej przeszłości, o wojnie, mojej biografii – to po jakimś czasie robi się nie tylko męczące, ale po prostu cholernie nudne. Mówi to człowiek, który „Walcowi z Basziirem” zawdzięcza Złoty Glob, nominację do Oscara i masę innych nagród. Faktycznie – nuda!

– (śmiech) No tak, nie tak powinna brzmieć moja opowieść. Zatem jeszcze raz: to był cudowny czas, uwielbiałem budzić się i mieć w perspektywie kolejny dzień z „Walcem”. A tak całkiem serio, gdyby ktoś zadał ci 800 razy to samo pytanie dotyczące w dodatku twojego życia, marzyłabyś, żeby wstać i wyjść. Wierz

” Jest ja oryginalne, ja, które tworzymy w sieci, w grach, ja po narkotykach. Kim jesteśmy pod tymi maskami?

ARI FOLMAN

mi. „Walc z Basziirem” był moim trzecim filmem fabularnym, robiłem też wcześniej dokumenty i seriale dla telewizji, ale żadna z tych produkcji nie dotyczyła mnie. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy zdecydowałem się przekroczyć tę granicę. Nie chcę nigdy więcej tego robić.

„Walc z Basziirem” jest filmem antywojennym, kompromitującym operację sił izraelskich w Libanie w 1982 roku. Czy ktokolwiek

w Izraelu wyrzucił ci, że odniosłeś sukces, pokazując narodową porażkę?

– Przecież nie zrobiłem tego filmu z premedytacją, nie miałem podstępnej planu. Gdyby ktoś na początku pracy powiedział mi, dokąd mnie „Walc” zaprowadzi, nigdy bym w to nie uwierzył. Rozpoczynając pracę nad filmem, nie miałem żadnego wsparcia od izraelskich instytucji zajmujących się kinem. Uważano, że animacja nakręcona na podstawie prywatnych przeżyć z wojny nikogo nie będzie obchodzić. Jeśli więc nawet dziś pojawiają się oskarżenia pod moim adresem, to tylko mnie śmieszą.

Miałem piekielne problemy ze sfinansowaniem filmu. Żeby w ogóle wystartować z produkcją, wziąłem kredyt pod zastaw własnego domu. Aż do dnia premiery nawet nie

przeszło mi przez myśl, że „Walc” może wywołać takie reakcje. Pracowaliśmy nad nim w osiem osób, bez przerwy, przez cztery lata, co sprawiło, że straciliśmy dystans, nie wiedzieliśmy już, czy to, co wyszło z tej pracy, jest w stanie kogoś zainteresować. Wszystko zmieniło się po pierwszym pokazie w Cannes, gdzie widownia zgotowała nam owację na stojąco. Gdybyś spotkała mnie tamtej nocy w Cannes, zobaczyłabyś człowieka w stanie ciężkiego szoku. Dopiero wtedy zacząłem rozumieć, jak ten film może oddziaływać na widzów.

Ile osób liczy ekipa animująca „Kongres”?

– To nie Pixar, nie mówimy tu o 200 ludziach, ale myślę, że przy samej części animowanej będzie pracowało około 30 osób w trzech krajach: Izraelu, Luksemburgu i Polsce. Na razie

kręcimy część aktorską. W maju zaczynamy pracować w Polsce nad częścią animowaną.

To ekipa cztery razy większa niż ta, która pracowała przy „Walcu”. Co jeszcze zmieniło się w życiu Ariego Folmana po nominacji do Oscara, poza tym że stać go dziś na więcej?

– Przechlapał sobie u trojga swoich dzieci, których prawie nie widywał, podróżując przez rok z filmem. Poza tym niewiele się zmieniło. „Kongres” jest większą produkcją, ale też bardziej wymagającą, więc wcale nie jest nam lżej. Szczerze mówiąc, myślałem, że będzie znacznie łatwiej, niż jest.

Może to wina kryzysu, który dotyka kino autorskie? Zdecydowałeś się na kręcenie sekwencji animowanych w klasycznym 2D, a dziś producentów interesują tylko widowiska, najlepiej trójwymiarowe.

– To prawda, autorzy kina to wymierający gatunek.

Podobnie jak dziennikarze prasowi.

– Kiedyś nawet pracowałem jako dziennikarz. Pisałem reportaże, trochę w stylu „Walca” – na granicy rzeczywistości i fikcji. Nikt nie wiedział dokładnie, co w nich było inwencją, a co relacją. Ja sam często tego nie wiedziałem.

Za dużo środków wspomagających?

– Nie, niewiele. Tylko wódka. Lubisz wódkę?

Niespecjalnie.

– Co z ciebie za Polka!

Nie najlepsza najwidoczniej.

– Mówiąc szczerze, sam też już za nią przepadam. Gdy robię film, nie piję, bo po alkoholu nie jestem w stanie pracować, nawet gdy już wytrzeźwieję. Zastanawiam się tylko, co będzie, gdy zacznę pracę nad „Kongresem” w Polsce...

REKLAMA

mecenas sponsor

PZU GRUPA PZU

MECENAS MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

PDPW

patroni medialni

TVP KRAKÓW

gazeta

PRZEKROJ

RADIO KRAKÓW

Art&Business

PRZEKROJ

www.krakow.pl

POKA POLA

NA WYSOKIEJ POŁONINIE  
SZTUKA HUCULSZCZYZNY – HUCULSZCZYZNA W SZTUCE

18.03.2011 – 29.05.2011

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE,  
GMACH GŁÓWNY, AL. 3 MAJA 1

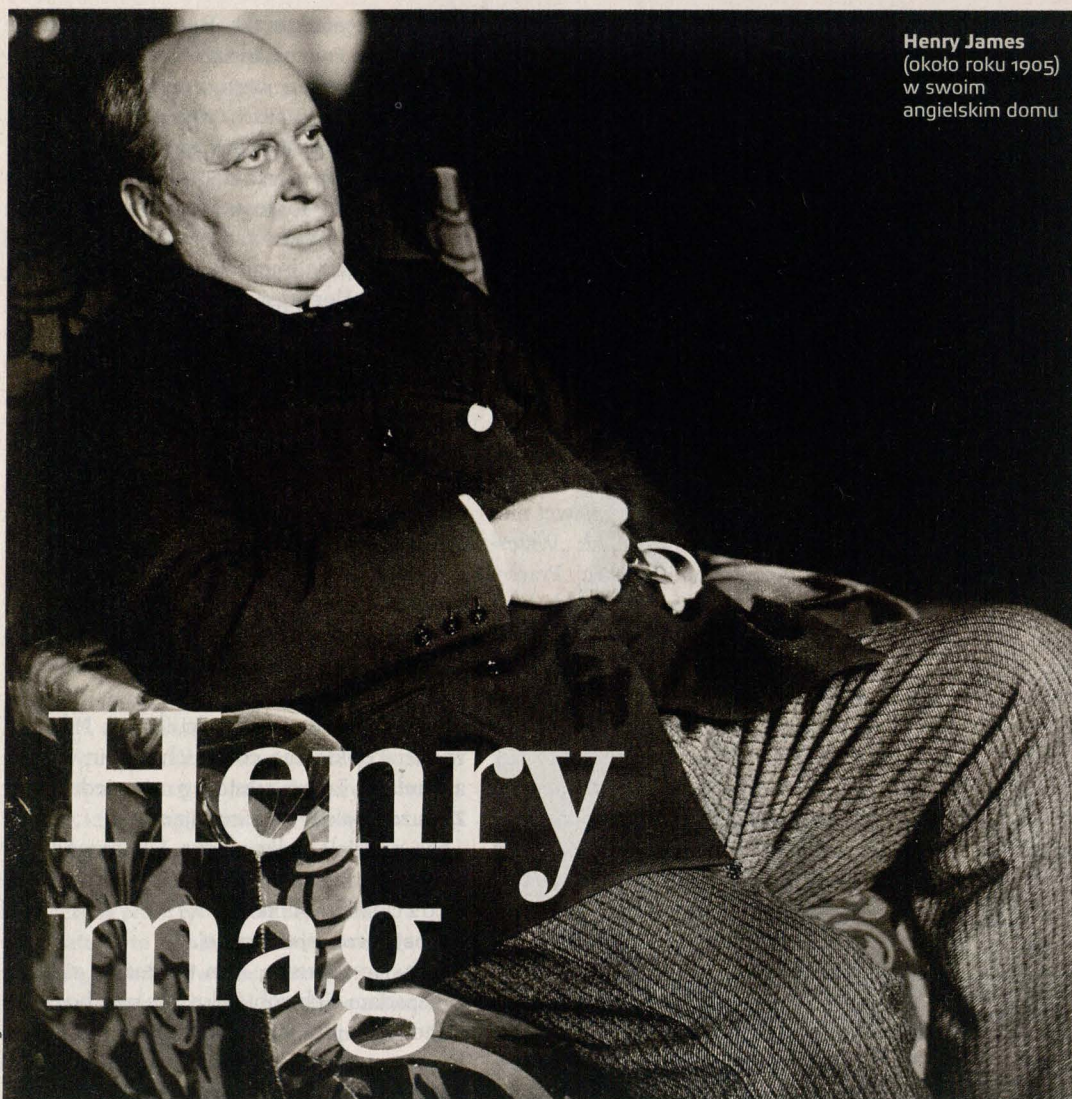
mnk  
MUZEUM  
NARODOWE  
W KRAKOWIE



www.muzeum.krakow.pl

Wystawa towarzyszy  
Festiwalowi Huculskiemu  
Słowiańska Atlantyda.





Henry James  
(około roku 1905)  
w swoim  
angielskim domu

# Henry mag

Jedna z najświetniejszych powieści w dziejach gatunku – „Złota czara” Henry’ego Jamesa – wreszcie ukazała się po polsku

MARCIN SENDECKI

Henry James onieśmiał. Bo co właściwie napisać po przeczytaniu 700 stron „Złotej czary”, jego ostatniej ukończonej powieści wydanej w 1904 roku? Nie da się przecież jej streścić – czy może raczej streszczenie będzie zaskakująco krótkie wobec objętości książki. Kwartet głównych protagonistów (Amerykanie Adam Verver i jego córka Maggie, włoski książę Amerigo i kolejna Amery-

kanka Charlotte Stant) oraz asystująca im para pułkownikostwa Assingham uczestniczy w niezwykle opisanym (bo wcale nie niezwykłym z punktu widzenia rzeczy, które się nam w życiu przydarzają) kameralnym spektaklu namiętności, wiedzy i władzy.

Rzecz jest hipnotyczna, choć dzieje się niewiele. Verver jest milionerem, mieszka z córką w Londynie. Maggie wychodzi za zubożałego arystokratę Ame-

riga. Charlotte Stant jest biedną jak mysz kościelna przyjaciółką Maggie i w jakiś czas później wydaje się za jej ojca. Adam i Maggie nie wiedzą (do czasu), że Amerigo i Charlotte poznali się, zanim książę spotkał Maggie – co ma konsekwencje decydujące o losie całej czwórki. Utkane jest to z Jamesowskich piętrowych analiz i dialogów, w których liczba słów dorównuje niemal liczbie niedomówień. I w ogóle

cały dramat odbywa się bardzo kulturalnie.

W tym sensie raczej ma sławny ostatnio autor Cormac McCarthy, który zarzuca Jamesowi (i Proustowi), że nie zajmują się „życiem i śmiercią”, więc w ogóle go nie obchodzą. Ale raczej ma tylko w tym sensie, że dość trudno trafić u Jamesa na przykład na okaleczone zwłoki – a w rekwizytach tego rodzaju McCarthy się lubuje. U Jamesa tragedia jest nieco subtelniejsza. Kiedy więc czytamy na koniec:

„Czyż Charlotte nie jest wspaniała? – powiedziała, zawierając w tym jednym zdaniu i wyjaśnienie, i ostateczne zamknięcie sprawy.

– Och, wspaniała – przytaknął Amerigo, zbliżając się do żony.

– Widzisz, w tym właśnie powinniśmy doszukiwać się źródła otuchy – dodała Maggie, żeby podkreślić jeszcze moral płynący z ostatnich wydarzeń.

Książę stał przez chwilę bez ruchu, próbując zrozumieć to, co żona w tak cudowny sposób mu ofiarowywała. Aż nazbyt oczywiste było, że próbuje sprawić jej przyjemność, wyjść jej na przeciw w pół drogi, a jednak jedynym rezultatem było to, że z dłońmi wspartymi na jej ramionach, z twarzą tuż przy jej twarzy, powtórzył:

– Widzieć? Ależ ja nie widzę niczego poza tobą.

Prawda kryjąca się w tych słowach rozświetliła jego oczy tak niezwykłym blaskiem, że – jakby z obawy przed tym – Maggie wtuiliła twarz w pierś męża”. To w tej niby blażej scenie jest i rozpacz, i perfidia, i dramat „przebranego życia”, i „życie”, które się kupuje i sprzedaje, a czasem ofiarowuje. I potęga „wiedzy”, która pozwala manipulować ludźmi. Słowem: Henry James w pigułce.

Henry James urodził się w 1843 roku w Nowym Jorku w zamożnej rodzinie. W młodości podróżował z nią wiele po Europie, uczył się w Genewie, Londynie, Paryżu, Bonn, Bolo-

onii. (W Europie spędził zresztą większość życia, a po wybuchu I wojny światowej przyjmie brytyjskie obywatelstwo – także po to, by skrytykować Stany Zjednoczone, że nie spieszą Anglii z pomocą. Przystąpienia USA do wojny James nie doczeka – umiera w 1916 roku).

Po młodzięczych wojażach krótko studiował na Harvardzie, ale szybko zdecydował się poświęcić wyłącznie pisarstwu. (Profesorem Harvardu zostanie za to jego brat William, filozof, współtwórca pragmatyzmu). Zostawił po sobie całą bibliotekę książek. Obok powieści i opowiadań są w niej eseje, pamiętniki, także sztuki teatralne. W Polsce obecny jest tylko częściowo – ukazało się parę powieści i opowiadań, a pewnie najwięcej czytelników zna rzecz w dorobku Jamesa dość wyjątkową, a mianowicie thriller „W kleszczach lęku”. Nie ma natomiast bodaj żadnej polskiej książki o Jamesie, nie licząc akademickich prac pisanych po angielsku.

Wiadomo oczywiście, że był jednym z twórców nowoczesnej prozy i mistrzem „psychologicznego realizmu”, niezrównanym w przedstawieniach stanów psychicznych bohaterów i subtelnościach narracji. No i to, że James opisywał, a nie oceniał, motywacje i postęпки swoich bohaterów. W świecie anglojęzycznego pisarstwa, który z racji tego, że minęło wiele lat od jego śmierci, przez wzgląd na tematykę i styl swoich dzieł mógłby być jednym ze stopniowo zapomnianych klasyków – on tymczasem jest wciąż bardzo atrakcyjny, nie tylko dla specjalistów, lecz także, co charakterystyczne, dla filmowców. Dość przypomnieć niedawne (i różnej klasy) ekranizacje „Placu Waszyngtona”, „Portretu damy” czy właśnie „Złotej czary”. Jest to o tyle niesamowite, że siła Jamesa – powtórzmy – nie polega na mnożeniu perypetii. Niezbyt szeroki jest też zakres tematyczny. Flagowym motywem

jest przeciwstawienie Ameryki i Amerykanów (energicznych, niezadowolonych w historii, żywiołowych, obracających się z fortunami) Europie – prze-refinowanej, tradycyjnej, często zależnej od amerykańskich pieniędzy. Są zresztą u Jamesa różne warianty rozwiązań fabularnych tej opozycji.

Na czym jednak polega sławna wyjątkowość późnego Jamesa, tego z pierwszych lat XX wieku? I wyjątkowość „Złotej czary”? Ładnie pisał o tym poeta i anglista Jacek Gutorow: „Niemożliwie długie i zawile zdania na granicy gramatycznej poprawności (choć nigdy tej granicy nieprzekraczające), wielostronicowe opisy odznaczające się tym, że nie wiadomo czasem, czego dotyczą, równie długie rozmowy o niczym, a w najlepszym wypadku o jakiejś prostej sprawie, ponadto dość sztywny i zawyżony rejestr językowy”. Przerazające, prawda? „Zdumiewające przy tym wszystkim jest to – pisze dalej Gutorow – że owe późne teksty pozostawiają na czytelniku niezatarte, mocne wrażenie, poczucie zeknięcia się z językiem, który niby to nas odstręcza, ale który doskonale rozumiemy na jakimś wyższym, na razie niedostępnym poziomie”. Gutorow pisze o Jamesie czytany w oryginale – po lekturze przekładu nie jestem pewien, czy cała „dziwność” Jamesa została w nim zachowana, ale tym lepiej niech się zajmą specjaliści.

Tak czy inaczej, czytanie „Złotej czary” to doświadczenie trudne, ale wzruszające i piękne.

I bardzo smutne, bo o smutnych sprawach Henry James rozprawia.

Ale czy są jakieś inne?



Henry James  
„Złota czara”,  
przeł. Anna  
Kłosiewicz,  
Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2011,  
s. 712, 55 zł

REKLAMA

Fundacja im. Jerzego Kukuczki  
wspieraj polskie  
wyprawy w góry wysokie  
wpłyn na poprawę bezpieczeństwa  
w naszych skałach  
pomóż tym, którzy w górach  
pozostawili zdrowie  
przekaż 1% swojego podatku  
na konto Fundacji!



www.fundajakukuczki.pl  
KRS 0000084062

FUNDACJA WSPIERANIA  
ALPINIZMU POLSKIEGO  
IM. JERZEGO KUKUCZKI

# Wałbrzych: nic

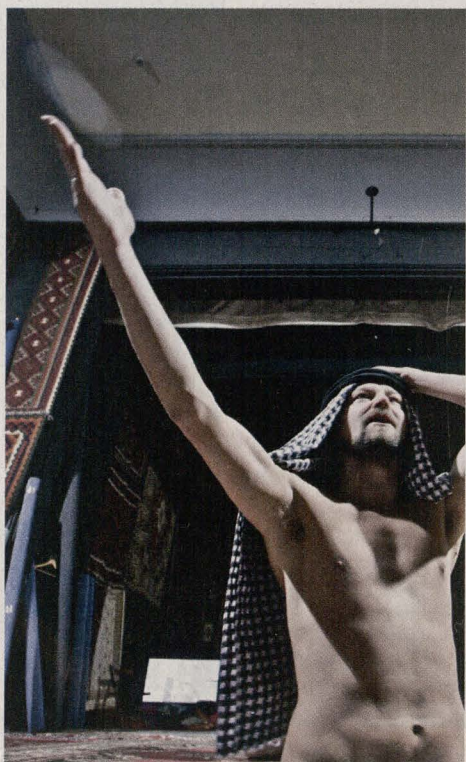
Warszawskie Spotkania Teatralne bezceremonialnie obaliły mit o potęgę wałbrzyskiego teatru

JACEK WAKAR

**A** było co obalać. Takiej *publicity* wałbrzyski teatr nie miał nawet wtedy, gdy jego prowincjonalne oblicze zmieniał dyrektor Piotr Kruszczyński, a przedstawienia: świetne „Lot nad kukułczym gniazdem” i „Czyż nie dobija się koni?”, reżyserowała Maja Kleczewska, Jan Klata zaś przeniósł „Rewizora” Gogola do Polski Gierka. W tamtym czasie mówiono o wałbrzyskiej scenie, że dojmujący smutek miasta – rekordowe bezrobocie, krajobraz z biedaszybami, brak perspektyw dla aspirujących do innego życia – uczyniła niepowtarzalnym źródłem inspiracji. Symptomatyczne pod tym względem było „Czyż nie dobija się koni?”.

Dziś Teatr Dramatyczny jest pieśczochem na ogólnokrajową skalę. Spora część krytyki każde tamtejsze przedstawienie z miejsca chrzci wydarzeniem, jurorzy festiwalu niemal z rozdzielnika przyznają mu co istotniejsze nagrody. Dlatego Wałbrzych Fest. z miejsca okrzyknięty został najważniejszym punktem zakończonych w piątek Warszawskich Spotkań Teatralnych. Pokazano sześć spektakli, pod koniec ostatniego co bardziej zagorzali bywalcy mieli twarze, jakby przez tydzień przybyło im 15 lat. Dla artystów zaś, oderwanych od naturalnego środowiska, w którym powstają ich prace, i pozbawionych zachwyczonego chóru poklepywaczy po plecach, zorganizowana z rozmachem feta okazała się bolesną weryfikacją ich pozycji.

Obejrzałem pięć wałbrzyskich spektakli zawsze z tym samym wrażeniem – dojmującej nudy. Monika Strzępka i Paweł Demirski uznani zostali za najbardziej wyrotowy duet polskiego teatru i najwyraźniej bardzo polubili tę etykietkę. „Niech żyje wojna!” i „Był sobie Andrzej Andrzej Andrzej i Andrzej” są jednak tylko wyważaniem dawno otwartych drzwi. Demirski przepisał „Czterech pancernych i psa”, doprawiając Przymanowskiego szczypką „gorzkich” refleksji na temat polskich powstań i polskiego aktorstwa. Wszystko ogranicza się do rozbierania, wymiotów i plucia jedzeniem. Nie oburza, a tylko nuży, jak każda



Bond po wałbrzysku w wersji Wiktora Rubina – spektakl pustych gestów i paradnych min

bezpieczna, w każdym calu wykoncypowana prowokacja. „Andrzej” z kolei, reklamowany jako bezprecedensowe uderzenie w polskie elity, w istocie staje się jedynie rozwleczonym ponad miarę (całość trwa trzy i pół godziny) kabaretem. Zazwyczaj wtórnym w oskarżeniach, siemiennie wykonanym, może przez pięć minut zabawnym. Nic tutaj nie oburza. Rzuca się w oczy tylko dobre samopoczucie twórców i wrażenie manipulacji, której łatwo poddają się wychwalające oba widowiska opinotwórcze gremia.

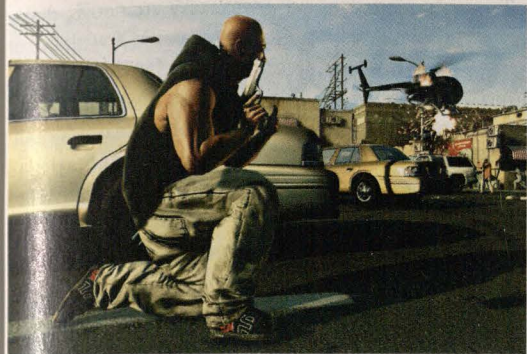
O Strzępkę i Demirskiego przynajmniej można się pokłócić. A co uczynić z pokazywanymi na festiwalu „Dynastią” i „James Bond: Świnie nie widzą gwiazd”? Najłatwiej byłoby wymazać je z pamięci, gdyby nie to, że oba do brzo obrazują obecny styl inscenizacji „made

in Wałbrzych”. Natalia Korczakowska próbowała połączyć wytarty schemat historii Caringtonów z wtrętami z Lyncha i „Filokteta” Sofoklesa. Jaki to miało sens – nie doszedłem. Publiczność wyciekająca żwawymi strumykami ze swych miejsc podczas spektaklu (częsty obrazek podczas Wałbrzych Fest.) zobaczyła jedynie snujących się po scenie i mamroczących coś pod nosem aktorów, a na finał radosną rozbierankę. Jak zawsze, bo można odnieść wrażenie, że gotowość pozbycia się odzienia jest dziś głównym kryterium oceny aktorów przyjmowanych do tego teatru.

Podobnie z Wiktora Rubina przepisaniem Bonda. To, jak się zdaje, miała być polemika z wizerunkiem macho wpisana we współczesny kontekst arabskiej supremacji w świecie, międzynarodowego terroryzmu itp., itd. Został sam bełkot, pozbawieni reżyserskich wskazówek wykonawcy, sceny w założeniu szokujące wywoływały tylko pusty śmiech widzów. Jak wtedy, gdy kobiecego odpowiednika Bonda wykrzykuje nagle: „Potrzebuje wielkiego czarnego ch...”. Strasznie się zgorszyłem...

Aż dziw, bo zarówno Korczakowska, jak i Rubin mają w dorobku rzeczy może dyskusyjne, ale godne uwagi. Ona – choćby zrealizowaną w... Wałbrzychu adaptację „Skrzywdzonych i poniżonych” Dostojewskiego („Nelly”) czy „Solaris” według Lema z TR Warszawa, on – bydgoskie „Przebudzenie wiosny” Wedekinda. Czyżby wałbrzyski styl oznaczał wyzbycie się własnego charakteru pisma na rzecz obrazów rozmytych, pozbawionych znaczenia, na rzecz nie przewartościowywania, lecz powielania zużytych popkulturowych klisz? Świadczą o tym dobitnie oparte na prozie Olgi Tokarczuk spektakl „Gniew” (reżyseria Bartosz Frąckowiak) oraz instalacja Łukasza Chotkowskiego „Prowadź nas przez kości umarłych”. Mówi się w nich dużo, najchętniej w mroku, więc widz niewiele zobaczy. Słowem – wedle obowiązujących wzorców.

Wałbrzych Fest. cieszył się wielkim zainteresowaniem publiczności. Część widzów brała wszystko za dobrą monetę, ochoczo zrywając się do owacji. Tyle samo jednak pozostało obojętnych, a czasem i wściekłych, że nabito ich w butelkę. Wałbrzyski teatr może ogłaszać sukces, ale obawiam się, że organizatorzy WST dali mu pocałunek śmierci. Wielu „normalnych” widzów dowiedziało się bowiem, że wciska się im wydmuszkę. Dlatego sądzę, że po wałbrzyskiej nowej fali zostanie już niewiele gwiazd, nowe trendy, nowi obrazoburcy. *Show must go on.*



## W samo południe

Techland przypina gwiazdę szeryfa i powraca na amerykańsko-meksykańskie pogranicze. Gra wideo „Call of Juarez: The Cartel” zapowiada się na kolejny światowy przebój polskiego studia

OLAF SZEWCZYK

**W** drodze do wrocławskiej kwatery głównej Techlandu mijam pomnik niemożliwości: lokomotywę, która stanęła dęba, mierząc w stronę nieba. Instalacja na placu Strzegomskim przypomina mi się, gdy próbuję podsumować osiągnięcia najskuteczniejszego polskiego producenta gier wideo. Też porwał się na niemożliwe. Tyle że jego parowozniczym rakieta zdołał oderwać się od ziemi.

Proszę sobie wyobrazić, że jakiś polski reżyser kręci klasyczny western. Po czym wiezie drewno do lasu – próbuje sprzedać go Amerykanom. Techland dokonał takiego cudu już dwukrotnie. Utrzymana w parafilmowej konwencji tradycyjnego westernu gra „Call of Juarez” (2006) sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy. Sukces ten zdyskontował jeszcze lepiej oceniany przez media prequel „Call of Juarez: Więzy krwi” (2009), który znalazł ponad półtora miliona nabywców. Dopóki hegemon Rockstar („GTA”) nie wydał „Red Dead Redemption” (2010), „Więzy krwi” cieszyły się opinią najlepszego in-

teraktywnego westernu w historii. Gdy jakiś kowboj z Teksasu chciał się poczuć jak John Wayne – sięgał po „Call of Juarez”.

„Call of Juarez: The Cartel” ma szansę na nawet lepszą sprzedaż. Na rynku gier działa prawo serii – kontynuacje szlagierów znajdują zwykle więcej klientów. Techland zainwestował w produkcję „The Cartel” jeszcze większe pieniądze niż w „Więzy krwi”, które kosztowały około 30 milionów złotych. Grę tworzone przy wykorzystaniu udoskonalonej wersji Chrome’a, autorskiego programu narzędziowego Techlandu. „The Cartel” prezentuje się w związku z tym jeszcze efektowniej.

Jedynie ryzyko wiąże się z odejściem od ikonicznego sztafażu westernu. To już nie Dziki Zachód z czasów potyczek z Indianami, to western współczesny – z trojgiem agentów FBI operujących między Los Angeles a meksykańskim Juarez. Ich przeciwnikiem są kartele narkotykowe. O związku z konwencją westernu zaświadczy nie tylko kowbojski kapeluszy jednego z agentów,

ale także osadzenie sporych fragmentów akcji na teksasko-meksykańskich bezdrożach – w znanych sceneriach z kaktusami, skalnymi formacjami mesa, kanyonami. Typowo westernowe będą także postaci. Bohaterowie nie są bez skazy, mają za sobą tak zwaną przeszłość, ale potrafią zdobyć się na heroizm zgodnie z klarowną wizją dobra i zła.

Umieszczenie gry w teraźniejszości pozwoli na urozmaicenie rozgrywki pościgami samo-

chodowymi i innymi atrakcjami znanymi z filmów sensacyjnych. Techland opuszcza stylową niszę, w której dobrze się odnalazł, biorąc kurs na zderzenie czołowe z niezliczonymi gramami akcji o stróżach prawa i gangsterach. To ryzykowne, ale prezentowane fragmenty „The Cartel” przekonują, że Polacy nie są bez szans.

Techland od 20 lat udowadnia, że wie, o co chodzi w tym biznesie. Był polskim pionierem w tworzeniu gier na konsole X360 i PlayStation 3, jako jedyna firma z Europy Środkowo-Wschodniej trafił do ubiegłorocznego prestiżowego rankingu twórców gier Develop 100. Dziś zatrudnia ponad 200 osób i pracuje równolegle nad dwoma dużymi projektami. Tym drugim jest survival horror „Dead Island”. ●

www iPad  
Zobacz galerie i trailer gry na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

REKLAMA

Mimo Wszystko Fundacja Anny Dymnej 1% KRS 0000 174 486

Zamień 1% podatku na 100% radości

PRZEKAŻ 1% PODATKU FUNDACJI ANNY DYMNEJ „MIMO WSZYSTKO” NA BUDOWĘ OŚRODKA WZASOWO-REHABILITACYJNEGO „SPOTKAJMY SIĘ” W LUBIATOWIE.

foto: bogdankrezel.com

# Chłopak z Grochowa pisze piosenki

O nowej płycie „10 piosenek” i o tym, gdzie w Warszawie dają najlepszą lornetę z meduzą, opowiada **PABLOPAVO**, poeta, który lubi, kiedy tańczą jego wiersze

ROZMAWIA JAREK SZUBRYCHT

Nie widzę cię wśród nominowanych do Fryderyków za najlepsze teksty.

– Tam trzeba się zgłosić. Ja się nie zgłaszam.

Dlaczego?

– Te nagrody bardzo się skompromitowały. Brać w tym udział to obciach. Chociaż teraz podobno jest lepiej... Ale do czego mi taki Fryderyk potrzebny? Nie kręci mnie to.

Myslałem, że od razu celujesz w Nike.

– (śmiech) Mam swoje ambicje literackie, ale zawsze boję się o tym mówić, bo pokutuje stereotyp muzyka, któremu się wydaje, że umie wszystko. Jest wielu takich, którzy wydali książki, choć sensu to nie miało. A ja coś tam sobie dębuję. Zresztą pierwsze opowiadanie wydrukowano mi w „Studium” cztery lata przed ukazaniem się mojej debiutanckiej płyty, więc jakoś to idzie swoim torem. Głównie jednak piszę piosenki, które czasami są drukowane. Nie uważam ich za wiersze.

A ludzie na mieście mówią, że jesteś poeta.

– Może znajdzie się tam garstka poezji, ale to jednak jest działalność użytkowa. Piosenki do słuchania, a nawet do tańczenia. Nie wszystkie z tych tekstów mogłyby funkcjonować bez muzyki. Jeśli ktoś uważa, że są dobre, bardzo mnie to cieszy, ale nie silę się na artystyzm. Mamy w Polsce wielu fantastycznych poetów, z którymi nigdy nie śmiałybym się równać. Trzeba znać hierarchię. Nie jestem Różewiczem ani Świetlickim, jestem chłopakiem z Grochowa, który pisze piosenki.



Pablo Pavo czujnie kręci pokrętkiem. Obok producent płyty Emiliano Jones

Czyli jesteś muzykiem, który w wolnych chwilach pisuje poezję lub prozę?

– Muzyka jest priorytetem również dlatego, że dzięki niej płacę rachunki i utrzymuję dom. To nie tak, że wydasz płytę, a potem przez rok z tego żyjesz. To tak nie działa. Musisz jeździć, koncertować... To był mój wybór, żeby się utrzymywać z muzyki, i nie narzekam, bo unikałem chodzenia do fabryki na 8 rano albo do agencji reklamowej i wymyślania reklam skarpetek. Jestem szczęściarzem, ale pracy mam dużo.

Twój solowy debiut „Telehon” odebrałem jako manifest lokalnego patriotyzmu. Nawet do typów spod ciemnej gwiazdy podchodziłeś ze sporą sympatią. Na nowej płycie już nie jesteś taki wyrozumiały.

– Przy „Telehonie” założyłem sobie, że napiszę piosenki, które mogłyby mieć w repertuarze przedwojenna kapela podwórkowa, gdyby teraz istniała. Utwory nowoczesne w formie, ale trochę złodziejskie, trochę uliczne. W pewnym momencie media zaczęły kreować taki obraz Warszawy, który mnie bardzo irtował – że to jest miasto wieżowców, ludzi ubranych za trzy tysiące złotych... Chodziłem

po mieście i jakoś nie mogłem znaleźć tej ich Warszawy, więc postanowiłem opisać to miasto takim, jakie ono jest naprawdę. A na drugiej płycie ta miłość rzeczywiście jest trudniejsza. Bo w Warszawie wiele rzeczy też mnie wkurwia i tym razem śpiewam również o tym. To jest tak jak z żoną. Też potrafi wkurzyć, pokłócić się, ale kochasz ją cały czas.

Skąd znasz swoją żonę?

– (śmiech) Wiesz, to takie ogólnoludzkie obserwacje... Nie obraziłem się na Warszawę, ale starałem się tym razem napisać piosenki, które bardziej uniwersalne. Choć oczywiście ciągle pojawiają się nazwy ulic i jakoś nie mogę się tego pozbyć. Ale ktoś mądry powiedział, że jeśli chcesz powiedzieć coś uniwersalnego, ważnego dla wszystkich, to musisz się zagłębić w szczegół. Bo kiedy silisz się na syntezę, to wychodzi pseudofilozofia i wodolejstwo.

Jak twój warszawocentryzm jest odbierany poza stolicą?

– Na koncerty Pablo Pavo i Ludzików nie przychodzi chuligani. A nawet kiedy przychodzą, nie ma żadnych animozji. Jeśli miłość do twój miasta jest szczerą i nie jest szowinistyczna, to nikt nie ma z tym problemów. Jeśli śpie-

wasz: „Kocham Warszawę, bo jest piękna”, to ludzie w Krakowie to rozumieją. Ale jeśli śpiewasz: „Kocham Warszawę, bo jest lepsza od Krakowa i Poznania, a na prowincji jest nudno” – to mają do ciebie pretensje. Ale tylko idioty piszą takie piosenki.

Jesteś kibicem Legii. Ponoć kiedyś na koncercie w Stodole do koszulki w barwach swojego ukochanego klubu przypiąłeś rzucony na scenę znaczek Polonii. To tak można?

– Jak widać, można (śmiech). Jestem kibicem od dziecka, ale staram się nie popadać w paranoję. Kiedy Legia gra z Lechem, to oczywiście kibicuję Legii, ale kiedy Lech gra w pucharach, trzymam kciuki za Lecha, bo reprezentuje Polskę. Nie życzę źle Polonii, nie cieszę się z jej porażek. Podoba mi się to, że na stadionie jest coraz mniej bluzgów na inne drużyny, że kibice skupiają się raczej na dopingowaniu swojej ekipy. To jest fajne.

Ale w „Oddajcie kino Moskwa” wydajesz się tęsknić za czarno-białym światem prostych wyborów.

– Przychodzi moment, kiedy łapię się na tym, że wszystko fajnie, ale jednak najfajniej było, kiedy miałeś 17 lat. Chociaż kiedy naprawdę masz te 17 lat, wydaje ci się, że jesteś najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na ziemi (śmiech). Siła przeżyć już nigdy nie będzie taka jak wtedy i o tym właśnie jest ten numer. O tym, że siedzisz z dziewczyną i chcesz ją pogłaskać po pupie, ale nie wiesz, czy można, i to ci zajmuje całe myśli. O tym, że czekasz na imprezę, która jest raz na trzy tygodnie, bo starzy częściej nie puszczaają. Tego już nigdy nie będzie. Choć można też odczytywać ten numer dość cynicznie – kino Moskwa, budynek o pięknej bracie, którą przyjeżdżali oglądać ludzie z całego świata, zostało zburzone. Najfajniejsza architektura z lat 60. w Warszawie jest niszczone, a zamiast niej dostajemy jakieś kupy ze szkła i betonu. Jeśli więc dziennikarz chce, może zawsze mówić, że „Oddajcie kino Moskwa” jest o upadku kultury i takich tam. Ale nie, przede wszystkim chodzi tu o styk dzieciństwa z wczesną młodością. O entuzjazm, którego już nie będzie. O strach, którego już nigdy nie zaznasz... Kiedyś ktoś zadał Czesławowi Miłoszowi idiotyczne pytanie: „Co pan sądzi o przemijaniu?”, a on udzielił najgenialniejszej odpowiedzi na świecie: „Jestem przeciwny”. No więc ja też jestem przeciwny.

Zajmujesz się ludźmi wykluczonymi, takimi, którym w życiu coś nie wyszło. Ci z Wilanowa są mało interesujący?

– To nie był mój świadomy wybór. Wycho- wywałem się na kapelach podwórkowych, a z drugiej strony na piosence literackiej oraz punk rocku i one wszystkie w pewnym sensie takich ludzi dotyczyły. U Młynarskiego bardzo często pojawia się ten facet z Dworca Głównego. Poza tym to wynika z mojego stylu życia. Gdybym zarabiał dużo pieniędzy, jeździł drogim samochodem, mieszkał w apartamentowcu i żarł tylko w drogich knajpach, to może bym o tym pisał? Zresztą mam przyjaciół w Wilanowie, niekoniecznie bardzo bogatych, i oni sami zżymają się na te zamknięte osiedla. Dostajesz pseudobezpieczeństwo, ale nie wypijesz piwka na ławce. Wolę mój Grochów. Z lekką nutką ryzyka – za to pani w kiosku zna mnie z imienia, ja znam wszystkich sąsiadów. Stara szkoła.

” Jestem kibicem Legii, ale staram się nie popadać w paranoję. Nie cieszę się z porażek Polonii. Dopinguję swoją ekipę i to jest fajne

PABLOPAVO

Czy to takie ważne – znać sąsiadów?

– Tak. Problemem całej Europy Zachodniej jest rozpad małych więzi. Przez wiele lat mieszkałem w dwunastopiętrowcu na Stegnach i w mojej klatce wszyscy się znali, a moi rodzice chodzili do sąsiadów na imieniny. Teraz już prawie tego nie ma. Twoja grupa przyjaciół związana jest raczej z pracą, może ze studiami, ale więzi sąsiedzkie zanikają. Co nawet z praktycznego punktu widzenia nie jest dobre, bo nikt ci lepiej nie przypilnuje mieszkania niż sąsiad. No i fajniej się żyje, kiedy z człowiekiem, którego codziennie spotykasz na schodach, możesz zamienić parę słów. Może niektórych to wkurza, ale mnie ciekawi. Podobnie jak ploteczki pani z kiosku: kto poszedł siedzieć i tym podobne. Niestety, zbankrutowała pani fryzjerka. Strzygła, jak strzygła, ale wizyta u niej była spotkaniem z żywą literaturą oralną. Pewnie trochę konfabulowała, ale jakie to było piękne! Do tego miała jeszcze ten akcent warszawski, który również zanika...

W swoim życiorysie na stronie internetowej

napisałeś, że raczej lubisz ludzi. Raczej?

– No tak. Dopóki ktoś nie jest chamski, podchodzę do niego z uśmiechem. Kiedy dwa

lata temu jechaliśmy z Vavamuffin na koncert do Stanów, naśmiewaliśmy się z tego ich szczerzenia zębów. Ale któregoś dnia wstałem z ciężkim kacem, poszedłem do tego ich 7-Eleven po kawę i bułkę, a tam pięknie uśmiechnięta pani doradziła mi, jaki mam wziąć serek, pomogła mi. Jest w tym jakaś siła. Nawet jeśli czasami jest to sztuczne, to chyba lepsze od naszego: Jak leci? Do dupy.

Z Vavamuffin dotarliście też do Afryki. Jak świat wygląda z tamtej perspektywy?

– W Etiopii też się wszyscy uśmiechają (śmiech). To było niesamowite doświadczenie, bo jednego dnia byliśmy w stolicy świata, spacerowaliśmy po Nowym Jorku, a niedługo później wylądowaliśmy w Addis Abebie. Graliśmy tam tylko jeden koncert, ale spędziliśmy w Etiopii dziewięć dni. Daria Żebrowska, która nas tam ściągnęła, mówi po amharsku, co otwiera jej wiele drzwi, i dzięki niej mogliśmy zobaczyć mnóstwo rzeczy niedostępnych dla turystów. Niezapomniane przeżycia, trudne do opisanie. Ale generalnie wyciągnąłem z tej wizyty dwa wnioski. Pierwszy jest taki, że bieda nie musi prowadzić do przestępczości. Tam jest tak ubogo, że spodziewasz się drugiego Johannesburga, z dzielnicami, po których bez lokalnego przewodnika lepiej nie chodzić. W Addis nie ma takich miejsc. Może dlatego, że są bardzo religijni? A druga moja obserwacja jest taka, że bieda nie musi unieszczęśliwiać. Ludzie żyją tam krótko, opieka społeczna ledwie działa, ale widzisz wielu ludzi, którzy żyją ubogo, ale dobrze. Bo żyć dobrze nie znaczy wygodnie. To nie znaczy – jeździć luksusowym samochodem. Możesz nosić chrust i żyć dobrze. Chciałbym tam pojechać na dłużej, poznać lepiej to miejsce.

Może pomógłbyś nam poznać lepiej Warszawę? Ktoś, kto przyjeżdża po raz pierwszy i wydstaje się z Dworca Centralnego, po prawej stronie ma klnących w korku taksówkarzy, po lewej centrum handlowe, a przed sobą Pałac Kultury i Nauki. I jak tu szukać tego miasta, które opiewasz w swoich piosenkach?

– Ono jest bardzo blisko. Wystarczy minąć Złote Tarasy, pójść dalej aleją Jana Pawła II i już jest mur getta. Albo wsiadasz do tramwaju, przejeżdżasz sześć przystanków i już jesteś na Saskiej Kępie. Możesz iść na ulicę Francuską do fajnej knajpy albo na Międzynarodową do Fregaty, klasycznej knajpy z lat 60. z fantastyczną garmazerką. Nie jem mięsa, ale każdy, kto je, wie doskonale, że najlepsza lorneta z meduzą jest właśnie tam.

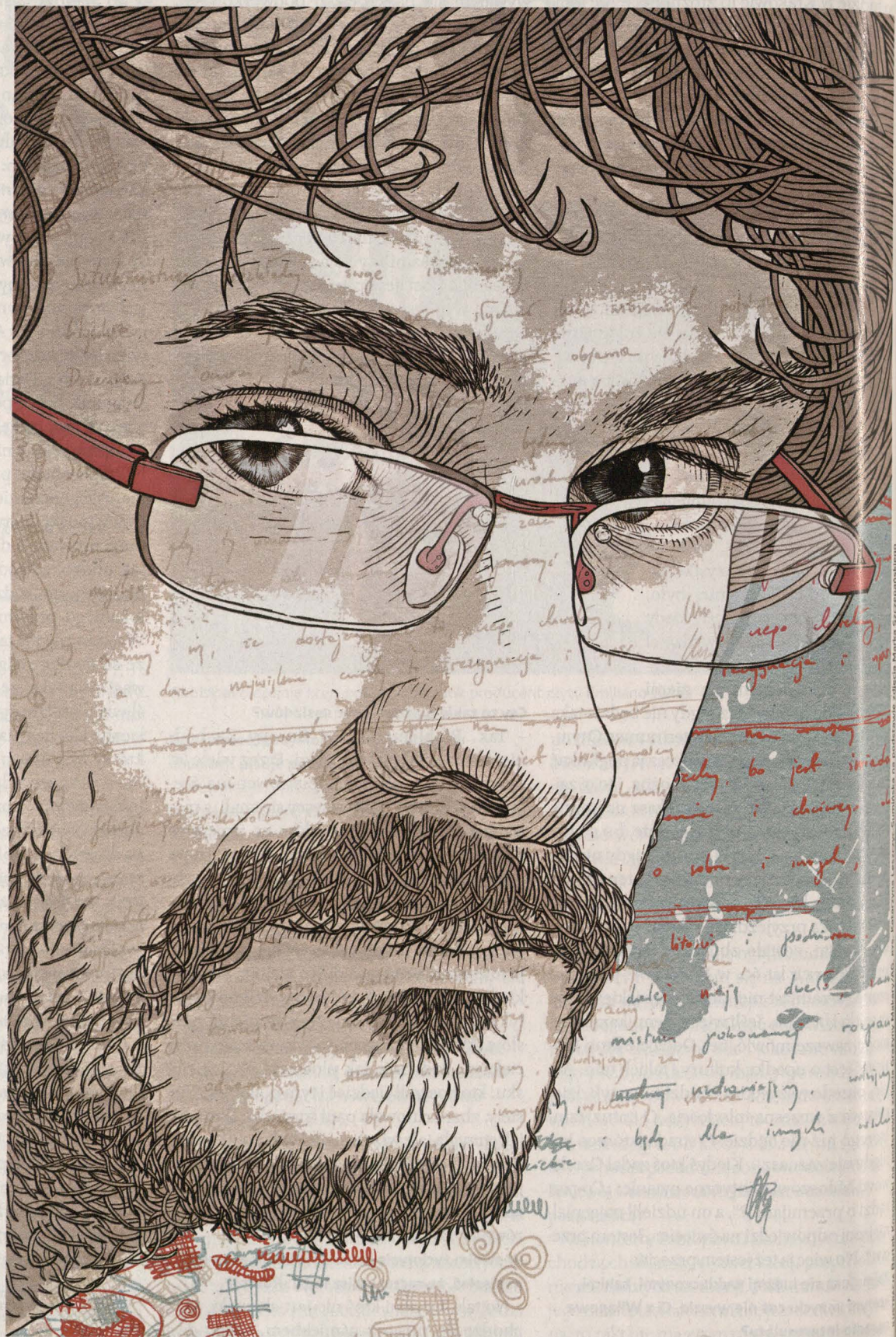


Zobacz teledysk, posłuchaj nagrania na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie





ROZMAWIA  
KATARZYNA  
JANOWSKA



## Andrzej Franaszek

40 lat, krytyk literacki, członek redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Opublikował między innymi „Ciemne źródło. Esej o cierpieniu w twórczości Zbigniewa Herberta” (nominacja do nagrody Nike w 1999 roku) oraz „Przepustkę z piekła. 44 szkice o literaturze i przygodach duszy” (2010). Jego wydana przez Znak 900-stronicowa praca „Miłosz. Biografia” trafi do księgarń 5 maja.

# Mistrz pokonanej rozpacz

O Czesławie Miłoszu i jego sprzecznościach, o długim życiu człowieka namiętnego, cierpiącego i raniącego mówi autor pierwszej biografii poety **ANDRZEJ FRANASZEK**

**Kim dla ciebie był Czesław Miłosz?**

- Zabrzmiało to dość patetycznie, ale w pewnym momencie mojego życia był to najważniejszy człowiek, jakiego spotkałem. Oczywiście nie w porządku najbardziej osobistym, lecz - powiedzmy umownie - publicznym. Mój wykładowca Aleksander Fiut zaproponował mi wspólne przeprowadzenie wywiadu z Miłoszem. Byłem nieopierzonym, początkującym dziennikarzem, krytykiem literackim i bardzo się przejmowałem, że mam pójść do poety i zadać mu jakieś pytania. Skala emocji wokół niego była wówczas nieprawdopodobna, a każde spotkanie było intensywnym przeżyciem. Pamiętam, że po kilku godzinach rozmowy my już ledwo żyliśmy, a on ciągle pełen wigoru dopytywał, czy aby wszystko dobrze rozumiemy. Nie było to tylko zetknięcie się z wybitnym poetą - to było spotkanie z kimś, kogo chciałoby się zapytać, co jest w życiu najważniejsze.

**Krały legendy o jego trudnym charakterze, o gwałtowności. Tymczasem kiedy poznałam go w latach 90., zobaczyłam człowieka ujmującego ciepłem i otwartością. Twoja biografia odsłania jednak także inne jego oblicza.**

- Poznaliśmy go w późnej starości, kiedy już złągodniał. W latach 80., pod koniec życia pierwszej żony Janki, Miłosz był w związku z kobietą, której nazwiska zgodnie z jej życzeniem nie ujawniam. Nazywam ją Ewą. W jednym z wierszy poeta opisuje, że jest na Korsyce, gdzie spotyka się z Jeanne Hersch, filozofką, swoją dawną kochanką i przyjaciółką, oraz z ową Ewą i nagle odkrywa, że jest zdolny przeżywać radość z samego bycia w tym miejscu z tymi kobietami. Myślę, że bar-

dzo późno zyskał dar cieszenia się tym, co istnieje. Przez zdecydowaną większość życia był człowiekiem gwałtownym, pełnym niepokojów, burzliwym, bardzo trudnym w obcowaniu, skłonny do ostrych reakcji, nieraz sprzecznych. Gnały go instynkty, namiętności. Nie był typem apollińsko jasnym, harmonijnym ani tym bardziej typem uciekającego od świata estety. To był ktoś pełen pasji, namiętny na bardzo wielu polach.

**Mówisz, że był namiętny na bardzo wielu polach. Cenzurowałeś się? Arturowi Domosławskiemu zarzucano, że w biografii Ryszarda Kapuścińskiego przekroczył granice przyzwoitości, pisząc o kobietach w życiu reportera. - Piszę szczerze o wszystkim.**

**Ale nie wymieniałeś nazwiska kobiety, z którą Miłosz był związany.**

- Tak, ze względu na jej prośbę, chociaż dla osób wtajemniczonych w biografię Miłosza nie jest ono trudne do rozszyfrowania. Byłem w zdecydowanie wygodniejszej sytuacji niż Artur Domosławski. Wiele osób, które były ważne w życiu Miłosza, już nie żyje. Jego wielka miłość z lat studenckich nie musi się konfrontować z tym, co na jej temat piszę, choć akurat są to same pochlebne rzeczy: była to fascynująca, bardzo inteligentna, silna, ciekawa kobieta, która mnóstwo przeżyła. W młodości jawiła się Miłoszowi jako kobieta o japońskim typie urody; po wielu latach napisał autoironicznie, że podróż do Japonii nie potwierdziła jego wyobrażeń z młodości. Jednak skłamałbym, gdybym powiedział, że napisałem o wszystkim. W latach 60. i 70., kiedy Miłosz mieszkał w Stanach, w jego życiu było dużo kobiet. Zresztą nie tylko wtedy. Doszedłem

jednak do wniosku, że nie pasjonuje mnie katalogowanie kolejnych romansów, bo niczego to nie wnosi. Interesowały mnie związki, które miały znaczenie dla jego twórczości. Jednym z nich był na przykład romans ze wspomnianą Jeanne Hersch, który miał miejsce w latach 50., kiedy Miłosz był sam we Francji, a Janka z dwoma synami mieszkała w Ameryce. I nie chodzi o to, że Czesław Miłosz zdradzał żonę. Ważne było to, że znajdował się w stanie niesłychanego napięcia emocjonalnego, na granicy załamania. Sam mówił, że wielokrotnie był wówczas o krok od samobójstwa. Ludzie bliscy mu, czyli twórcy „Kultury”: Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Zygmunt Hertz, patrzyli na niego z przerażeniem, jako na człowieka, który popada w skrajne emocje - raz w euforie, raz w kompletną depresję. Wtedy fizycznie potrzebował kogoś, kto będzie z nim, kto to wytrzyma. Być może związek z Hersch uratował mu życie.

**W swoim pierwszym tekście opublikowanym w „Kulturze” po ucieczce na Zachód napisał, że popełnia samobójstwo, odcinając się od kraju, skazując się na jałowość i zamykanie. Z perspektywy lat wygląda to inaczej. Znalazł się w centrum emigracyjnego środowiska, które ukształtowało pokolenia Polaków.**

- Ale wtedy to była sytuacja przerażająca, trudna do zrozumienia z naszego punktu widzenia. Dzisiaj mówimy o triumfie literatury emigracyjnej, o tym, że dzięki Miłoszowi i Gombrowiczowi najpełniej się ona zrealizowała. W chwili kiedy Miłosz uciekał, on sam i jego przyjaciele, tacy jak Iwaszkiewicz, byli głęboko przekonani, że na Zachodzie zostali żałośni emigranci, spadkobier- →

→ cy dwudziestolecia, którzy czekają tylko na wybuch wojny atomowej i anegdotyczny powrót do Lwowa. Miłosz nimi gardził, uważał to środowisko za intelektualnie podrzędne. I nagle ocknął się z przerażeniem, że oto dołącza do tych, których potępia. To była desperacka decyzja, podjęta głównie na poziomie obrzydzenia. On fizycznie nie mógł zmieścić stalinowskiego kłamstwa w Polsce, więc uciekł, ale z poczuciem, że brnie w pustkę, rozpacz, klęskę.

**Polscy przyjaciele go odrzucili. Cytujesz list Herberta do Turowicza napisany po ucieczce Miłosza, w którym autor „Pana Cogito” ironizuje, że skończą się problemy Związku Literatów z Miłoszem, bo nie będzie już trzeba szukać dla niego willi. Emigracja też go nie chciała.**

– Był opluwany w Polsce i jednocześnie atakowany przez emigrację. Od pobłażliwego lekceważenia począwszy, bo sławny w Londynie to był Tuwim, a nie jakiś Miłosz, po głosy znacznie gorsze: że jest aparatczykiem, prowokatorem, agentem. Nie szczędzono mu inwektyw. A ponieważ nie był aniołem, jego miłość własna była spora, więc i on pisał gorzkie słowa, o tym na przykład, że na całe szczęście prawie nie kontaktuje się w Paryżu z Polakami, bo to przeklęta nacja.

**Powiedziałeś, że nie zazdrościsz mu życia. Pisziesz o nim: „mistrz pokonanej rozpacz”. Był aż tak nieszczęśliwy?**

– Tych nieszczęść było sporo, zarówno w planie osobistym, jak i publicznym, o czym już napomknęliśmy. Czesław Miłosz miał dwóch synów, starszego Antoniego i młodszego Piotra. Piotr, bardzo uzdolniony, wrażliwy chłopiec, znalazł pracę na Alasce przy budowie rurociągu, w skrajnie trudnych warunkach, których nie wytrzymywali silni mężczyźni – ciemność, pustka, po pracy bolesna nuda, tęsknota. I on w pewnym momencie się załamał. Wrócił z Alaski z czymś w rodzaju schizofrenii, która miała dramatyczny przebieg także dlatego, że kierował całkowicie wyдуманym oskarżeniem wobec własnego ojca. Trwało to z różnym nasileniem przynajmniej dekadę – od połowy lat 70. do połowy 80. W tym czasie chorowała też żona Miłosza. Była częściowo sparaliżowana po operacji nowotworu, rehabilitacja trwała latami, jej stan na zmianę się pogarszał i polepszał. To uruchomiło depresyjne procesy psychiczne, zaczęły ją dręczyć lęki, była przerażona, że Czesław gdzieś zniknie, zostanie porwany, a może ją opuści. W pierwszym okresie jej choroby Miłosza

nie stać było na pielęgniarki, zajmował się nią sam i chyba nie znosił tego najlepiej. Są nawet w „Roku myśliwego” takie passusy o wieloletnim odchodzeniu Janki, kiedy ciało jest bardzo poniżone, a rozum ma, niestety, tego świadomość.

Miłosz dopatrywał się w tym wszystkim kary za własne przewiny, za pychę. Zaczął tłumaczyć Biblię, Psalmi, a potem Księgę Hioba. Chciał odkupić swoje – prawdziwe czy może tylko przez samego siebie wyobrażone – winy, mieć poczucie, że jest użyteczny, nie pracuje jedynie dla siebie, daje czytelnikom nowe tłumaczenie Biblii, tekstu przynoszącego nadzieję. Chyba właśnie w tych latach pojawia się u niego silna potrzeba bycia pożytecznym, którą potem realizował przez inne tłumaczenia czy „Traktat teologiczny”.

„Mistrz pokonanej rozpacz” jest cytatem z jednego z wierszy Miłosza wiele przeżyć ka-

” *W jednym z listów Miłosz pisze o sobie, że być może jest filozofem przez swą antypolskość, czyli instynktowną niechęć do umysłowego lenistwa*

ANDRZEJ FRANASZEK

muflował, nie pisał o nich wprost. Z powodu własnej godności, niechęci do odsłaniania się, ale też poczucia, że nie chce wprawiać czytelników w rozpacz, bo – przeciwnie – chciał im dawać siłę. W późnych wierszach, między innymi w „To”, pojawiają się zdania, że być może pod różnymi pochwałami świata, które wyszły spod jego pióra, kryło się pasmo przerażenia, lęku, poczucie horroru, bezsensu. Jako młodzi studenci polonistyki wyobrażamy sobie, jakie to fantastyczne być pisarzem i że nawet cena, którą trzeba za to zapłacić, jest do zniesienia. Miłosz też – może nie jako student, tylko jako gimnazjalista – chciał oddać wszystko za dar poetycki. Wspominał chwilę modlitwy o ten dar, swoiste podpisywanie cyrografu.

**Zaprzedał duszę daimonionowi!**

– I tutaj przerzucamy się na drugi koniec opowieści, w lata 90., kiedy jako stary człowiek Miłosz bardzo intensywnie przeżywał pytanie, czy warto było poświęcić się sztuce. Miłość z lat studenckich porzucił dla literatury, po latach napisał wiersz, jak mogłoby się potoczyć

jego życie, gdyby tego nie zrobił. Może nie stałby wielkim poetą, ale byłby szczęśliwszy? Kiedy był już przykuty do łóżka, różne osoby przychodziły czytać mu książki, rozmawiać z nim, towarzyszyć mu. Ja też go odwiedzałem od czasu do czasu i nawet mnie, choć przecież nie byłem jego przyjacielem, a tylko coś niecoś wiedziałem o jego życiu, pytał, czy podejmował słuszne decyzje. Czy rzeczywiście ktoś go prowadził przez życie – anioł, diabeł, nie wiadomo – i czy ono miało sens. Czy tym, co napisał, odkupił swój egoizm, miłość własną, koncentrację na sobie, trudne relacje rodzinne.

**Kiedy w jednym z wywiadów zapytałem go, czy sztuka jest dla niego najważniejsza, odpowiedział, że ważniejsza od sztuki jest dobroć.**

– Pamiętam to zdanie, ale myślę, że ta świadomość przyszła późno. Przez niemal całe życie napędzała go sztuka i to ona się liczyła. Sam oczywiście nie chciałbym zapłacić takiej ceny nawet za dzieło tej rangi co twórczość Miłosza: ceny wygnania, samotności, niezrozumienia, ciągłych wyrzutów sumienia. Po też był wobec siebie niezmiernie krytyczny, może przesadnie.

**Pisziesz, że brnął przez życie, często porzucając przyjaciół, raniąc ich.**

– Wyrastał z przyjaciół. Zostawiał za sobą ludzi boleśnie zawiedzionych, zranionych odrzuceniem. Tak było na przykład z Teodorem Bujnickim, bliskim przyjacielem Miłosza z czasów gimnazjum i studiów, który wtajemniczał go w literaturę. Kiedy Bujnicki zdecydował się na założenie rodziny, młody i gniewny Miłosz miał mu za złe, że przyjaciel zmieszczaniał, poszedł więc dalej sam, co Bujnicki boleśnie przeżył. To się działo w latach 30. w Wilnie. Ale w roku 2001 spotkałem w Berkeley kanadyjskiego poetę Petera Dale’a Scotta, który razem z Miłoszem tłumaczył poezję Herberta oraz wiersze samego Miłosza i który pokazywał mi swoje liryki jemu poświęcone. Opowiadał w nich, że kiedyś mieli bliską relację, ale potem Miłosz zdystansował się od niego, kontakty ustały. Po jakichś 20 latach od tamtych wydarzeń ten człowiek ciągle przeżywał poczucie odrzucenia. Można sobie zatem wyobrazić, jaka była siła oddziaływania Miłosza.

**Najslawniejszy spór poetów ostatnich dziesięcioleci to Miłosz kontra Herbert – albo odwrotnie. Ten konflikt, wykorzystany przez ludzi prawicy, zaciążył nad pejzażem polskiej kultury. Wiadomo było, że jeśli jesteś po stronie Herberta, to blisko ci do prawdziwego Polaka. Czytelnik Miłosza to kosmopolita i liberal.**

– Historia jest długa. Znacznie więcej było tam przyjaźni i bliskości niż konfliktu. Poeci po-

znali się w 1956 roku, kiedy Herbert pojechał na stypendium do Paryża, i bardzo się zaprzyjaźnili. Miłosz zachwycił się nim jako młodszym od siebie, nadzwyczaj inteligentnym, ciekawym człowiekiem, a Herbert upatrywał w nim mistrza poetyckiego fachu. Wkrótce po pierwszym spotkaniu napisał „Tren Fortynbrasa” i dedykował go Miłoszowi, wyznawał: „My wszyscy z ciebie jesteśmy”. Miłosz pomagał zaistnieć Herbertowi na Zachodzie, tłumaczył jego poezję na angielski. Konflikt zaczął się pod koniec lat 60., ale nie dotyczy tylko spraw polskich. Zachował się list na temat sytuacji w Ameryce i cokolwiek ironicznego stosunku Herberta do walki o równouprawnienie Murzynów, większej niż u Miłosza pobłażliwości w ocenie stanu intelektualnego Polonii amerykańskiej. Wtedy Miłosz zaczynał patrzeć na Herberta trochę jak na ukrytego prawicowca. W roku 1968, gdy Herbert spędził rok akademicki w Los Angeles, odbyła się kolacja u tłumacza Johna i Bogdana Carpentera, na której obaj się upijają i Herbert atakuje Miłosza za brak patriotyzmu, za dekonowanie się w czasie okupacji. Miłosz siedział osłupiały, Janka w końcu powiedziała: wychodzimy, noga tego człowieka nie postanie już w naszym domu. Potem jednak odnawiają kontakty. W liście z Berlina Herbert pisze: będę cię prześladował moją trudną miłością, i jakoś te więzi dalej trwały, chociaż już nie tak bliskie. Tak naprawdę podzieliły ich lata 90., kiedy Herbert był bardzo chory w sensie fizycznym i w jakiejś mierze psychicznym. Udzielał wywiadów, w których atakował Miłosza, napisał słynny wiersz „Chodasiewicz”, który całkowicie przekreślił ich relacje. Przed śmiercią Herberta doszło co prawda między nimi do rozmowy telefonicznej i jakiegoś rodzaju pojednania. Wiersz Miłosza „O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta” zawiera elementy wybaczenia, ale też, szczerze mówiąc, pamiętliwość...

**Miłosz przez całe życie toczył spór z polskością. Na czym on polegał?**

– Dla niego przeciętny Polak to prawicowy Polak-Lechita, nader płytki umysłowo. Czuli się postawiony poza tą formacją poprzez swoje zainteresowania religijne, intelektualne, filozoficzne, estetyczne. Polska jawiła mu się nieraz jako kraj niezdolny do wydania miłośników, poważnej herezji religijnej, jako kraj zadowolonych z siebie hreczkosiejów, w których nie może objawić się dramatyzm taki jak na przykład w Rosji: głód Boga, głód prawdy. Pod koniec życia zaczął co prawda doceniać, że są w tym ład i bezpieczeństwo, dzięki którym jesteśmy narodem niezdolnym do wiel-

kich okrucieństw. Co prawda zachowania Polaków w czasie wojny, o których stopniowo się dowiadujemy, zaczynają dziś temu przekonaniu przeczyć... W jednym z listów pisze o sobie, że być może jest filozofem poprzez swą antypolskość, czyli instynktowną niechęć do umysłowego lenistwa. Sąd jest niezmiernie generalizujący, ostry, może niesprawiedliwy, ale przecież coś w tym jest. Ksiądz Tischner mówił, że Polak, kiedy myśli, to ma smutną twarz, bo proces myślenia go męczy. Miłosz był inny – ciągle poszukujący, spragniony konfliktów intelektualnych.

**Czy da się napisać krytyczną biografię o kimś, kogo traktuje się jak mistrza? Złośliwi szeptali, że nigdy jej nie skończysz. Pracowałeś 10 lat.**

– Mało kto w to wierzył, głównie mój wydawca Jerzy Illg. Rzeczywiście materiały zbierałem przez dekadę, ale książkę napisałem w ciągu ostatniego roku. Mam poczucie, że pisałem ją z obiektywizującego dystansu – nie jako wyznawca, który z olbrzymim wzruszeniem wspomina spotkania z Miłoszem, choć to też mam w sobie. Nie kryję się z tym, że różne jego zachowania, decyzje osobiste, polityczne nie są dla mnie łatwe do przyjęcia.

**Oceniasz go?**

– Nie mam do tego prawa, nie jestem tak zwanym młodym historykiem z IPN, żebym z dezynwolturą mógł napisać, iż na przykład w 1945 roku ja poszedłbym do podziemia, a nie tak jak Miłosz starałbym się o służbę we wtedy już komunistycznym MSZ.

**To było dwuznaczne, a może jednoznaczne?**

– On sam się z tym zmagał, mówił, że było coś demonicznego, diabelskiego w uwikłaniu w związki z nową władzą. Potem przez lata był z tego powodu wręcz chory, jakby niósł w sobie toksynę, z którymi nie mógł się uporać. Leczył się z ukąszenia heglowskiego długo i boleśnie. Ja oczywiście tego nie mogę oceniać, bo nie jestem w stanie odtworzyć ówczesnych napięć, systemu mitów, usprawiedliwień, które intelektualści sobie budowali. Ale trudna do przyjęcia była dla mnie na przykład scena, którą Miłosz sam opisuje. Zaraz po wojnie wspólnie z Andrzejewskim piszą scenariusz do filmu o Szpilmanie. Okno szkoły filmowej w Krakowie wychodziło na podwórze, po którego drugiej stronie było więzienie UB, w którym siedzieli AK-owcy. Miłosz wspomina, że przez chwilę z Andrzejewskim na nich patrzyli, a potem jakby nigdy nie wrócili do pisanego. Wiem, że nie mogli wówczas nic zrobić, ale równocześnie godzili się na ten świat. Andrzejewski zgadzał się na to, że nowe państwo kupowało mu willę w Szczecinie i wydawało książki w wielkich nakładach. Miłosz też szedł

na kompromisy. Po części to były jego świadome decyzje, bo cieszył się zerwaniem z Polską przedwojenną, której nie lubił i którą źle oceniał. Ale zdawał też sobie sprawę z tego, co się w Polsce zaczyna dziać. To był czas upiorny. Ostatecznie wyrwał się z Warszawy jak obdarty ze skóry, jakby uciekł z piekielnego kotła, obnażony, wrażliwy na każdy bodziec.

**Pisziesz, że najtrudniej uchwycić geniusz człowieka, a ja myślę, że najtrudniej uchwycić człowieka.**

– Chodziło mi o to, że bardzo łatwo wypunktować czyjeś negatywne cechy. Wystarczy zacytować fragment czyichś dzienników na temat Miłosza, wyrwać go z kontekstu i mamy gotową sensacyjkę. Mam nadzieję, że na nic takiego sobie nie pozwoliłem. Bo naprawdę ciekawe jest to, jak pochwycić coś, co przekracza małości, czyli wielkość. Nie tylko wielkość talentu, ale też wielkość postaci. Mam nadzieję, że choć trochę mi się to udało.

**Spytałeś go, co jest w życiu najważniejsze?**

– Nie odważyłem się, chociaż chciałem. Ale mogę zacytować krótki dialog, który jest na podobnym poziomie jak twoje pytanie o poezję i dobroć. Aleksander Fiut w latach 70. zapytał Miłosza: Co jest w życiu najważniejsze? Miłosz odpowiedział: Zbawienie.

**Na razie trafił do literackiego czyścica.**

**Wydawało się, że jest jak świat, a tymczasem kilka lat po śmierci emocje wokół jego poezji wygasły. Nie stworzył szkoły, przeciwnie**

**– młodzi poeci go odrzucili, pod koniec życia czuł się osamotniony. Nikt nie wchodził z nim w fundamentalne spory.**

– To bolało go bodaj bardziej niż ataki ze strony prawicy. Mamy tu przyczynek do opinii o polskim życiu intelektualnym: nie było z nim dyskusji, albo było cmokanie, albo lekceważenie i omijanie. Zaciążył mocno nad latami 90., był nieustannie nagradzany, cytowany, wznawiany, wydawany. Może wręcz było go za dużo, nie wszystkie też książki były tak przejmujące jak wspomniały zbiór „To”.

Młodzi twórcy – słusznie lub nie – z pewnością czuli się nim przytłoczeni. Dla kogoś śmierć Miłosza mogła wręcz wiązać się z pewnym poczuciem ulgi: że teraz wreszcie będzie dla niego miejsce. No i cóż, jest... A dzieło Miłosza czeka na odkrycie przez nowe pokolenia czytelników, którzy zapewne znajdą u niego coś, co dziś nawet nam nie przychodzi do głowy.

 **chilli ZET**  
nastaw się  
na chill out

**Chilli ZET.**  
Radio w pogoni  
za kulturą  
[www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)

# Ryba łąwi ptaka

Potwory budzą się nie tylko we śnie. Te ze świetnej wystawy odmieńców w Krakowie stworzyli artyści całkiem na jawie

TADEUSZ NYCZEK

**C**zasem zdarza nam się usłyszeć, jak Masia powiada do Wiesi, że Krysia jest jak dwie krople wody podobna do Wisi. To znaczy: trudno je odróżnić. Przypuszczalnie są bliźniaczkami. Ale każdy wie, że nawet jednojajowe bliźniaki nie są identyczne, najwyżej bardzo podobne. Nawet dwie krople wody są także tylko podobne, a nie identyczne, jak by się zdawało. Nie ma dwóch identycznych liści na drzewie, choć oko mówi co innego. Język zawsze upraszcza. Nasze oko też.

Podobieństwo czegoś do czegoś jest zawsze rzeczą względną i łatwo o pomyłki, czasem nawet dramaty. Nasza ruda wiewiórka podobna jest do szarej amerykańskiej, ale to inne gatunki, dzieci z tego nie będzie. Jeszcze sto lat temu czarnemu Jerry'emu z Teksasu nie przyszłoby do głowy wyznać miłość białej miss, bo mógłby tę głowę bez sądu stracić – a przecież dzieci mogłyby z tego związku być, jak nic. Gdzie są granice odmienności? W którym momencie kogoś innego od nas zaczynamy uważać za dziwaka, straszdyło, wroga albo potwora? A w najlepszym wypadku →



„Dom wariatów”, Heinrich Merz wg obrazu Wilhelma von Kaulbacha, Augsburg, 1863. Każda z postaci przedstawia inny typ szaleńca: filozofa, spekulanta, króla, dewota, matki, ladacznicy...



„Świat na opak”, czyli wszystko nieprawdopodobne, Nicolo Nelli, Wenecja, XVI wiek

→ „obcego”? Takich granic nie ma. Wszystko zależy od kultury, stanu cywilizacji, indywidualnego poczucia. Choć są odmienności tak jaskrawe, że nikt nie ma co do nich wątpliwości. Cieleń o dwóch głowach i człowiek słoń zawsze zrobią wrażenie. Natura nierzadko bzikuje i produkuje ewolucyjne potworki.

Ale kultura bywa w mnożeniu dewiacji jeszcze lepsza. Zwłaszcza sztuka. Tam, gdzie w grę wchodzi fantazja z wyobraźnią, dziwność i odmienność stają się naturalnym pożywieniem dla malarstwa, rzeźby, rysunku. Także dla literatury, teatru i filmu. Bo sztuka to świetny psychologiczny piorunochron rozładowujący ludzkie lęki przed obcym, nieznanym, niepojętym, upiornym albo tylko wyśnionym w sennym koszmarze. Sami artyści w oczach niejednego „normalnego” są odmieńcami. Aktor grający wampira to dwóch odmieńców w jednym. Z kolei aktorka odziana w ekscentryczny strój zaprojektowany przez Vivienne Westwood potworem może nie jest (chyba że prywatnie), ale estetycznym dziwadłem – jak najbardziej.

#### Od dziwa do bohatera

Wybierzcie się na wystawę odmieńców do Krakowa, do Międzynarodowego Centrum Kultury obchodzącego w tym roku swoje dwudziestolecie. Zobaczycie tam takie rzeczy, że oko wam zbieleje. Ludzka wyobraźnia w zakresie wymyślania i utrwalania za pomocą ołówka, pędzla i ryłca wszelkich makabryczności i cudactw jest niezmiernie. A pomyśleć, że to tylko niewielka część dzieł artystycznej odmienności! Prac jest około stu i wszystkie zostały wydobyte tylko z jednego miejsca – Gabinetu Rycin Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Prawdziwe skarby! I nikt prawie – może poza pracownikami gabinetu – pojęcia nie miał, że coś takiego tam istnieje.

To nie tylko ryciny – niekiedy absolutnie mistrzowskie, bo autorstwa arcy mistrzów w rodzaju Albrechta Dürera, Jacques’a Callota (tego, który 200 lat przed Goyą wrytował cykl „Okropności wojny”), Martina Schongauera, Lucasa van Leydena, Williama Hogartha. Są też ilustracje zamieszczone w księgach przyrodniczych i atlasach medycznych, okładki i plakaty, a także dwa stare filmy z lat 30. – jeden o wampirze Draculi, drugi o zemście w cyrku karłów.

Autorka wystawy Anna Olszewska zmyślnie podzieliła całość na cztery grupy tematyczne.

Dział pierwszy „Dziwo” demonstruje dziwactwa powstałe w naturze wskutek nadmiaru materii (i odpowiednio spotęgowane przez ludzką wyobraźnię). Tu mamy cudnej urody bestiariusz, na które składają się rodzeństwa syjamskie, panowie dwugłowcy, panie nogo albo rękokopytne, właściciele uszu albo pępeków sięgających do ziemi, panie o jednej, środkowej piersi, wszelkiego rodzaju cyklopy, fauni, syreny i inne wynalazki, panowie z łebkami psimi zamiast kolan, a także całkiem zwyczajna świnka z dwoma kopytkami wyrastającymi jej z grzbietu na wzór skrzydełek. Niektórych nie powstydziliby się Hieronim Bosch, ojciec surrealistów.

Grupa druga to „Persona”. Tu znowuż typy wyłącznie ludzkie. Również wynaturzone fizycznie (jak karły czy olbrzymy), ale głównie te, których odmienność zawarła się w dewiacjach duchowych bądź skłonnościach do skrajnych ekscentryzmów. Artyści więc, a jakże, ale też mistycy, nawiedzeni, szaleni uczeni, mnisi, długowieczne królowe i maniacy alchemicy. Tu też wszelkie stadia twarzowych ukształceń i deformacji cierpliwie studiowane i rysowane przez Leonarda da Vinci, gęby najniezwyklej przez naturę wymyślone, wywołujące śmiech, zdumienie albo i grozę.

Kolejna grupa zwie się „Wróg”. To szczególnie ulubiona przez społeczeństwa forma obcości i odmienności. Bo wróg to strach, obrzydzenie, wstręt i przekleństwo, choroba, ból i wszelkie perwersje. Tu spotkamy rzekome i prawdziwe czarownice, diabły w ludzkiej skórze oraz wszelkie wyrzutki społeczne w postaci prostytutek i nędzarzy, wariatów i włóczęgów, Żydów i epileptyków, błaznów i królów idiotów. Wróg to idealny kozioł ofiarny. Wrogiem rozładowuje się zbiorowe frustracje, wroga się wypęcza, zamyka i bije. Tak strach i wstręt rodzą przyjemność, bo przecież nic tak nie cieszy jak cudze nieszczęście. I wreszcie dział ostatni, na tym tle niemal wesoły i miejscami sympatyczny – „Bohater”. To przede wszystkim wytwór zbiorowych marzeń o nadzwyczajności niedanej zwykłym śmiertelnikom. Oto postaci z komiksów – Batmani i Spidermani, także cyrkowcy, siłacze, kobiety z brodami i ludzie lwy. Bohaterowie teatru i literatury, niekoniecznie wszyscy przyjemni, ale zawsze ekscytujący: Spodek z głową osła uwodzony przez Tytanię, nieszczęsny Kaliban, prawowity mieszkaniec czarodziejskiej wyspy, zmieniony przez →



„Niedobrana para” wg J.-B. Isabeaya, Londyn, 1819. Karykatura, ale tylko trochę

→ Prospera w niewolnika – obaj wymyśleni przez Szekspira. Tu też mieści się melancholijny, choć straszny w swoich upodobaniach hrabia Dracula *vel* Nosferatu.

Świat na opak

Czasem miałem wrażenie, że pewne przykłady z jednej grupy lepiej pasują do innej, ale w końcu co za różnica. Obcość i odmienność, choć rozmaicie się przedstawiają, są z jednej wielkiej rodziny, której na imię Nie Ja. Bo wszystko, co jest Nie Mną, może być obce. Obcość, zwłaszcza niezrozumiała albo diaboliczna, zazwyczaj bywa nie do przyjęcia. W miarę postępu cywilizacji staramy się jakoś te obcości oswoić – przede wszystkim ze sobą. Choćby po to, żebyśmy nie złapali się na gorącym uczynku rozbieżności deklaracji z praktyką, jak ów grany przez Spencera Tracy'ego bohater starego filmu amerykańskiego „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad”. Jako dobry ojciec wpała córce zasady równości międzyludzkiej, a kiedy dorosła, wyzwolone dziecko przyprowadziło na rodzinny obiad narzeczonego Murzyna, wpadł w popłoch. Tak wymyślono poprawność polityczną. I przesadzono. Niektóre z pomysłów poprawności zasługują wszak na szybką szczepionkę w postaci silnej dawki nietolerancji.

Na koniec moja ulubiona dewiacyjka artystyczna. Otóż kiedy już będziecie na wystawie, koniecznie przyjrzyjcie się planszy umieszczonej w dziale „Wróg”. Leniwym polecam reprodukcję na poprzedniej stro-



„Dwóch błaznów tańczących przed gospodą”, H. Hondius wg Pietera Breughla Starszego, Leyda, 1640

nie. Ów XVI-wieczny miedzioryt wenecki zatytułowany jest „Świat na opak” i zawiera wiele zmyślnych obrazków przedstawiających różne scenki z życia ludzi i zwierząt. Tu groźne zające gonią za przerażonymi psami, tam spora ryba łowi sobie na wędkę ptaka. Jeszcze na innym wół orze parą rolników. Osioł jedzie sobie na wędrowcu, antylopa ściga lwa, ludzie usługują przy stole



„Niezwykli ludzie”, tablica z atlasu „Mieszkańcy różnych części świata”, Niemcy, ok. 1795



„Garbus grający na ruszcie”, J. Callot, Francja, ok. 1621-1625



„Bliźnięta syjamskie”, S. Furck, karta z „Theatrum Europaeum”, Frankfurt, ok. 1643

„Świnia z Lanser”, A. Dürer, Niemcy, ok. 1496

REKLAMA

# Deutsche Bank Invites CESARIA EVORA

„Niezwykli ludzie”, tablica z atlasu „Mieszkańcy różnych części świata”, Niemcy, ok. 1795

**19 czerwca 2011**  
Warszawa, Sala Kongresowa  
godz. 19:00

informacje: [www.koncerty.com](http://www.koncerty.com)

Mecenas koncertu: Deutsche Bank

Artystę gości: Marriott WARSAW

Media: gazeta, Classic, InStyle, PRZEKRÓJ, STRÖER, metro, empik.com, Reader's Digest, Life, POLSKA WITA, STOLICA, EMMAO, wawcity.pl, kulturaonline.pl, WP.PL

Bilety: EMPIK [www.eventim.pl](http://www.eventim.pl) [www.ticketpro.pl](http://www.ticketpro.pl)

MUZYKA



The Kills łączą pokolenia

**D**o niedawna byli zespołem, którego rodzice zabraniali słuchać swoim dzieciom. Czwartą płytę duetu The Kills możesz spokojnie podarować mamie. Już jej nie zgorszą opowieści o toksycznych romanśach i nielegalnych przyjemnościach rozpisane na jazgot gitar, suchy bit automatu perkusyjnego i seksowny damsko-męski dwugłos. Tylko upewnij się najpierw, że mama jest odpowiednio rockandrollowa i lubi The Velvet Underground. Bo nie o to chodzi, że The Kills są dziś grzeczni, nie palą, nie piją i nie przeklinają. Chodzi o to, że The Kills – zaciskam zęby, tak bardzo nie chcę tego przyznać – dojrżeli. Jeśli na „Blood Pressures” gitara trzeszczy, to po coś. Nie ma hałasu dla hałasu ani nieskoordynowanej demolki – są tylko przemyślane szarpnięcia strun i serc. Niewiele tu też klasycznie killsowych, dekadentkich przebojów, a więcej nastroju, dramatu, tajemnicy. Wyjątkowe stężenie tych dwóch ostatnich składników słychać zwłaszcza w największej niespodziance płyty, czyli „The Last Goodbye”: bardzo retro i trochę teatralnej balladzie odpiewanej głosem rasowej femme fatale. I zdecydowanie więcej w dorosłych The Kills bluesa niż punku – nie tylko w sensie muzycznym, ale też emocjonalnym.

ANGELIKA KUCIŃSKA

\*\*\*\*

The Kills „Blood Pressures”, Domino

Czy jest tu jakiś Koleś?

Foo Fighters to największy amerykański zespół rockowy XXI wieku. A „Wasting Light” to triumf jego lidera nad zmorami przeszłości

ŁUKASZ DUNAJ



**D**ave Grohl stojący na czele Foo Fighters jest jak Koleś z „Big Lebowski”, kultowego filmu braci Coenów. Tak samo jak bohatera granego przez Jeffa Bridgesa nie da się go nie lubić. Jest jednak między nimi zasadnicza różnica – Jeff „Koleś” Lebowski oddałby życie za kolejną partycję kregli, zaś Dave Grohl całkowicie poświęcił się rock and rollowi. O 42-letnim dziś muzyku świat usłyszał pierwszy raz (a właściwie zobaczył go) za sprawą klipu Nirvany do „Smells Like Teen Spirit”, w którym Grohl demolował swój zestaw perkusyjny. To, co nastąpiło w konsekwencji oszałamiającego sukcesu tego numeru i płyty „Nevermind”, z której singel pochodził, jest już historią. Z tragicznym finałem. Kie-

dy w 1994 roku Dave zakładał grupę Foo Fighters, nikt się nie spodziewał, że teraz da się poznać jako człowiek, któremu spod małego palca wypadają przeboje. Nikt nie przypuszczał również, że okaże się znakomitym frontmanem i niezłym wokalistą. Miliony sprzedanych płyt oraz trzy nagrody Grammy później wszystko jest już jasne. Foo Fighters stali się zespołem stadionowym, gościnnie występują z nimi muzycy Queen czy Led Zeppelin. Wyższe rockowe sfery. „Wasting Light” to płyta bardziej witalna od poprzednich. Zaczyna się eksplozją, jak u Hitchcocka, „Burning Bridges”, a potem napięcie tylko rośnie. Kulminacją jest co najmniej kilka – wspaniałe „Dear Rosemary” z udziałem Boba Moulda

(Hüsker Dü), wściekłe „White Limo”, chyba tylko z przekory wybrane na pierwszy singel, czy chwytające za serce „I Should Have Known”, w którym na basie i akordeonie gra Krist Novoselic. Tak, to ten dryblas z Nirvany. A producentem płyty mianowany został Butch Vig – facet, który zrealizował pomnikowe „Nevermind”. Kompletując z pełną świadomością taki personel, Dave Grohl na dobre uwolnił się od ducha Kurta Cobaina. Egzorcyzmy uważam za odpawione.



\*\*\*\*

Foo Fighters „Wasting Light”, Sony Music

Romans pod szczytem

Po skoku w przód TV on the Radio robią krok wstecz

**C**o się robi po płycie takiej jak „Dear Science”? Albo dokonuje się skoku z jednej doskonałości w doskonałość inną – i nagrywa „Kid A”, „100th Window” czy „Third” – albo z pochyloną głową wraca się do szeregu. I do końca kariery nagrywa tak zwane solidne albumy. Przedwcześnie może spisują TV on the Radio na dożywnię poprawność, jednak ich czwarty album wypełnia wyjątknie troska o to, aby nie runąć w przepaść. Tunde Adebimpe okiełznał swoje struny głosowe. David Si-

tek wyrósł z producenckiej zachłanności. Byli wściekli (na polityków), są zdenerwowani (na korporacje). A najczęściej zakochani, bo „Nine Types of Light” to ponoć płyta o miłości we wszelkich jej odmianach. Balladowego piękna tu także obfitość, ale z 10 zachowawczych, bardziej soulowych niż rockowych piosenek tylko dwie – rzucone wbrew tytułowi na sam początek „Second Song” oraz sąsiednie „Keep your Heart” – nie nudzą się po kilku przesłuchaniach. No i zarzut najcięższy: TV

on the Radio da się słuchać nie uważając, przy lekturze.

Kryzys wieku średniego? Cicha stabilizacja? Rozmięciły ich na drobne projekty równoległe i towarzyszące tej premierze półgodzinny film? A może zbierają po prostu siły przed kolejnym podejściem? MARIUSZ HERMA



\*\*\*

TV on the Radio „Nine Types of Light”, Interscope/EMI

Barbara i Zuzanna Wrońskie – melancholijne i przebojowe, ale tylko na pokaz



Życie do niczego

Ballady i Romanse wciąż wyśpiewują piosenki o życiu codziennym młodych inteligentów. Przebojowo i z humorem

JACEK TOMCZUK

**Z**apomnij” to propozycja dla wszystkich, dla których Pustki są zbyt rockowe, Maria Peszek zbyt wydepilowana, a projekty Macia Morrettiego to kupa hałasu. To bezpretensjonalny pop z kapitalnymi tekstami.

Siostry Wrońskie mają parę zasad. Po pierwsze: żadnego śpiewania o cyckach i wyznawania miłości. W tekstach unikają łatwych tematów, nie dla nich piosenki o wiosnie. W cenie są śmierć, rodzinny kryzys, zmęczenie partnerem, starość, kończą się pieniądze, relacje z rodzicami, którzy wciąż dopytują się, w którym kościele odbędzie się najpierw ślub, a potem chrzest... („To, co łączy nas, to ozimina i las/To, co łączy nas, to rachunki za gaz/To, co łączy nas, to Dostojewski i Grass”).

Po drugie: zero patosu, bicowania się, moralizatorstwa, rzewnych klimatów. „10 wujków” to piosenka na potancówkę, chociaż pożywiły się nią psycholog rodzinny. Mówi o tym, jak dziecko przeżywa najazd znajomych rodziców chcących zorganizować niezapowiedzianą imprezę („10 wujków siedem cioc wdarło się w dzieciństwo o północy. (...) Po długim balu wujkowie i ciocie ockną się w butach z sierścią w nosie”). Po trzecie: w muzyce nie przejmują się kwestią oryginalności. Inspiracje? Zapożyczenia? Czemu nie, byle w dobrym guście:

CocoRosie, The Flaming Lips, Tune-Yards, Fever Ray... Artystów, u których Ballady i Romanse uruchomiły linię kredytową, można wymieniać długo, ale nie ma sensu. Ich celem jest dobra piosenka i zabawa, a nie walka o miejsca na listach przebojów.

No i po czwarte: luz. Coś nie wyszło? Falszywie zaśpiewana nuta? Mamroczące dziecko? Bierzem. W 2001 roku Wilhelm Sasnal wydał „Życie codzienne w Polsce w latach 1999–2001”, komiksową opowieść o inteligentach wchodzących w dorosłość. Hymn na cześć życia, które potrafi być trudne, ale też fajne. Dziś, po dekadzie, głosem pokolenia 20-, 30-latków mają szansę zostać siostry Wrońskie. Ale ich przekaz jest całkiem inny: „Ile razy spróbujesz czegoś/Ile razy przeprosisz jego/Życie i tak będzie do niczego”. Śpiewają smutne teksty do wesołych melodii, a wtedy życie, choćby było męczące i głupie, od razu nabiera uroku.



\*\*\*\*\*

Ballady i Romanse „Zapomnij”, Chaos Management



Posłuchaj utworu „Oddechy” z nowej płyty na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

Rzeczy ważniejsze niż strój

Ten Zdrój bije bliżej Warholowskiej Factory niż „X-Factora”

**P**łyta, której premiera powinna być dla fanów polskiego rocka wydarzeniem na miarę odkrycia Biskupina. Oto mamy niezbity dowód na to, że Niemen nie działał w próżni, że Nalepa nie był najbardziej do przodu, że jeszcze w latach 60. istniał w Polsce zespół, który mógłby nawiązać dialog z The Stooges, gdyby nie to, że wołał na puszczy czy raczej do nielicznych uszu przedstawicieli krakowskiej bohemy. Oficjalnie wydanych nagrań nie było, więc musieliśmy starszym kolegom pielęgnującym tę legendę wierzyć na słowo – że Zdrój Jana wielkim zespołem był.

I rzeczywiście, z oczekiwaną od ponad 40 lat płytą wynika, że sprawa była nader poważna. Pierwotny rockandrollowy pęd, hardrockowy pazur, psychodeliczna swoboda i punkowe bałaganiarstwo – dzisiaj zespoły już nie wiedzą,

że tak można. Owszem – tu nierówno, tam się komuś palec omsknął, a od niektórych szarzy wokalnych Jacka Uklei skóra mi cierpnie na plecach i gdybym miał kury, pewnie przestałyby się nieść. Na szczęście drobiu nie hoduje, za to dawno przy rockowej płytce tak dobrze się nie bawiłem – podoba mi się właśnie ta zuchwałość, nieskrępowana energia. Szkoda, że nie wydali tego albumu lub podobnego 40 lat temu. Być może zapłodniona tymi harcami polska scena rockowa rozwijałaby się nieco odważniej. A tak, choć pierwszy, obawiam się, że Zdrój to nasz ostatni.

JAREK SZUBRYCHT



\*\*\*\*\*  
Zdrój Jana „CD”, Obuh

REKLAMA

DOC ALLIANCE FILMS

Filmy

Marcela Łozińskiego

na [www.docalliancefilms.com](http://www.docalliancefilms.com)

od 18 kwietnia do 2 maja bez opłat

partnerzy:

Mistrzowska Szkoła Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy

patroni medialni:

TVP KULTURA

FILM

PRZEKROJ

arkana STUDIO

STOPKLATKA.PL DOBRA STRONA FILMU

Gazeta.pl Kinopix

## KSIĄŻKI

# Buszujący w książkach

Czytanie Gondowicza to więcej niż przyjemność. To czysta zazdrość

TADEUSZ NYCZEK

W całej książce Jana Gondowicza nie pada nazwisko Stanisława Barańczaka, ale żadna tajemnica, że to on był autorem jej tytułu. Zajrzyjcie do tomu „Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu” z pamiętnego roku 1980, a znajdziecie ów słynny wiersz „Pan tu nie stał” – o kimś, kto „nigdy nie stał za nami murem”, „na stanowisku naszym też nie stał”, „już nie mówiąc, że na naszym czele nie stał nigdy”. A zatem „nie stawiaj się pan, stawaj/pan w pąsach na szarym końcu, w końcu/znajdzie się jakieś miejsce i dla pana”.

I Barańczak, i Gondowicz mówią oczywiście o sobie. Ironicznie, bo ironicznie, ale też trochę wyzywająco. Nie stoję na waszym stanowisku ani na waszym czele nie tylko dlatego, że mnie odrzucacie. Nie stoję, bo lepiej mi stać samemu niż z wami. No dobrze, spyta przytomny czytelnik, to gdzie taki, powiedzmy, Gondowicz stoi, kiedy nie stoi gdzie wszyscy? Gondowicz odpowiada: o tu, na uboczu, pod tamtym krzakiem sobie stoję, co mnie od hałasu głównego traktu odgradza. A właściwie nie stoję, tylko przykucam. Albo przysiadam, bo wygodniej. Co robię? Przeważnie czytam. Czasem coś skrobię. Jakies felietony, eseje i eseiki, tłumacząc też rozmaitych dziwaków i odszczepieńców. Bywa, że

żona albo inny dobry człowiek podzuci miskę stawy. Albo wpadnie który wydawca, to mu coś z tekstów dam, a on wyda albo nie. Teraz jedna pani wydała mi garść tych felietonów i eseików, nazwałem to sobie „Pan tu nie stał”. No bo, jak pan widzi, nie tu stoję, tylko obok.

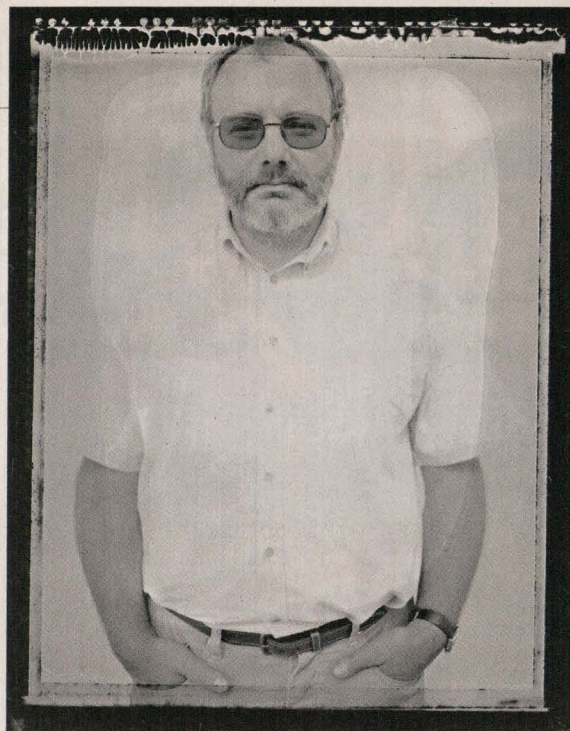
A co pan czyta? Nie widzę żadnych książek oprócz tej, którą pan właśnie trzyma, i to do góry nogami.

Czytam do góry nogami, bo jest to dzieło stojące na głowie, a jakże inaczej czytać dzieło stojące na głowie, jeśli nie do góry nogami? Poza tym jestem narkomanem zagadek. Czytać książkę po bożemu żadna sztuka. To nawet redaktorzy „Przekroju” potrafią, nie mówiąc o ich graficznych komputerowych. A co do pozostałych książek, to mam je w głowie po prostu.

Jakich pozostałych? To ile ich pan ma?

Ze 13 tysięcy by się uzbierało. Ale moja biblioteka to drobiazg. Nośszą jeszcze kilka innych, szczególnie ulubionych, przeważnie warszawskich. Uniwersytecką znam najlepiej, ale ta na Koszykowej też w porządku. Bufet co prawda pod psem, ale za to bardzo przyjemne niewiasty obsługują.

Do czego panu one, że tak nieinteligentnie pytam?

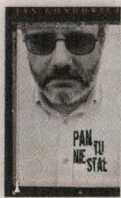


Podobno Jan Gondowicz przeczytał wszystko. Sprawdzicie!

Niewiasty z Koszykowej?

Niech pan nie żartuje, żonaty pan, było nie było. Te książki i te biblioteki.

Widzę, że pan nietutejszy, więc niech pan słucha. Owszem, książki mieszkają we mnie. Ale i ja w nich mieszkam. To znaczy chodzę w nich i pośród nich, jadam z nimi i piję, i nie tyle je czytam, ile nawzajem siebie czytamy. Bo biblioteka, proszę pana, to nie jest żaden zbiór poukładanych obok siebie woluminów. To jest labirynt, w którym wątki, motywy, fabuły i postacie, a nawet style i języki poszukują się wzajemnie. W pisanej historii świata nic nie jest osobne i niezależne. Owszem, bywa zapomniane. Nawet częściej bywa zapomniane niż zapamiętane. Ale to nie znaczy, że nie jest włączone w Wielkie Poszukiwanie. My tu sobie śpimy albo zjadamy jajko na miękko, przyszywamy guziki albo uwodzimy nieletnich, a te wątki, fabuły i postacie cały czas tam się szukają. I tylko patrzą, żeby się dopaść, skłębic i skierdasić.



\*\*\*\*\*

Jan Gondowicz  
„Pan tu nie stał”,  
Nisza, Warszawa 2011,  
s. 292, 37 zł

jest jego życie. Aż do momentu, gdy żona informuje go, że nos przekrzywia mu się w prawo. Od tej pory nic już nie będzie takie samo. Moscarda odkryje, że dla każdego, kto go widzi, jest kim innym. Wszystko to – podlane właściwym włoskiemu pisarzowi absurdalnym humorem – prowadzi do konkluzji gorzkiej, jakby pisał to Franz Kafka. Żadna ludzka egzystencja nie prowadzi do niczego sensownego, zapętała się, kołuje, drepce w miejscu.

Zatem nic nie jest takie, jakie się wydaje. Tytuł Sendekich, Nyczków, Wakarów, ilu tych, którzy na nich patrzą. „Jeden, nikt, sto tysięcy” uważane było za sumę twórczości Pi-



\*\*\*\*\*

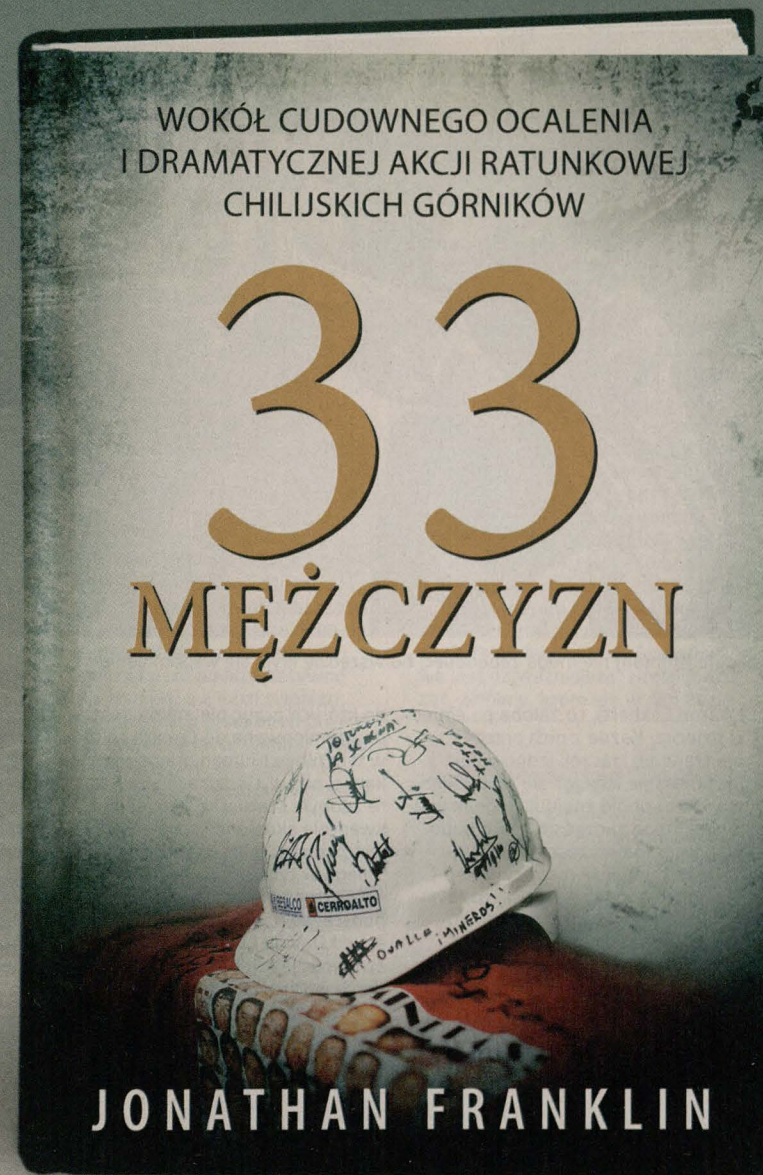
Luigi Pirandello  
„Jeden, nikt, sto tysięcy”,  
przetł. Joanna Ugniewska, PIW,  
Warszawa 2011,  
s. 231, 30 zł

5 sierpnia, 2010 roku w kopalni w San Josè, w Chile, nad głowami pracujących górników zawały się skały o łącznej masie 700 tys. ton, zamykając w potrzasku 33 mężczyzn. Kiedy po 17 dniach od katastrofy odkryto, że mężczyźni wciąż żyją, cały świat wstrzymał oddech na kolejne siedem tygodni, podczas których zaczęto planować jedną z największych i najbardziej spektakularnych akcji ratowniczych w historii.

Sam Dante nie wymyśliłby gorszego kręgu Piekła niż ten, który opisuje Franklin w swojej niezwykłej relacji”.

Publishers Weekly

33 mężczyzn omawia wiele szczegółów z tamtych dni, dzięki notatkom skrupulatnie sporządzanym na bieżąco przez Franklina, i to właśnie one sprawiają, że książkę czyta się bardziej jak opowieść o ludzkich losach niż reportaż CNN”.



WOKÓŁ CUDOWNEGO OCALENIA  
I DRAMATYCZNEJ AKCJI RATUNKOWEJ  
CHILIJSKICH GÓRNIKÓW

# 33 MĘŻCZYŹN

JONATHAN FRANKLIN

69 dni pod ziemią.

69 dni walki, wypełnionych chwilami wątplenia i nadziei.

69 dni dramatu, który całymi miesiącami pozostawał czołowym newsem dzienników telewizyjnych całego świata.

Szczegółowa relacja z najbardziej spektakularnej akcji ratunkowej ostatnich lat w relacji jedyne go dziennikarza, któremu z bliska pozwolono obserwować chilijski dramat!

www.soniadraga.pl

Sonia Draga Sp. z o.o., Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice,  
tel. (032) 782 64 77, e-mail: info@soniadraga.pl

„Relacja, którą pokazały nam w zeszłym roku stacje telewizyjne wystarczyła, by wprawić nas w osłupienie. Jednak, by zrozumieć prawdziwą wagę tego, co udało się dokonać uwięzionym pod ziemią mężczyznom, trzeba przeczytać tę wymśnioną lekturę”.

The Sunday Times

„Siła szczegółów i precyzyjnie uchwycony dramatyzm uczyniły z tej powieści fascynującą lekturę”.

The Telegraph



# Burza lodowa

„Między światami”, czyli śmiertelnie nudna poprawność

KAROLINA PASTERNAK



Zrozpaczeni rodzice (Aaron Eckhart i Nicole Kidman) nie mogą zapomnieć, bo wszędzie kryją się wspomnienia

Patrząc na polskie tłumaczenia tytułów premier z ostatnich miesięcy, zaczynam myśleć, że dystrybutorzy posiadli tajemną wiedzę na temat słów kluczy docierających do umysłu widza. Na czele tego zestawienia znajduje się „między”. Po „Somewhere. Między miejscami” przyszła kolej na „Między światami” (w oryginale „Rabbit Hole”). Szkoda, że jakiś czas temu wykorzystano już (swoją drogą też wypaczając intencje twórców) „Drogę do szczęścia”, bo właśnie ten tytuł trafnie określiłby film Johna Camerona Mitchella. Droga, którą przechodzą Becca i Howie Corbettowie (Nicole Kidman

i Aaron Eckhart), to żałoba po śmierci dziecka. Każde z nich przeżywa tragedię inaczej: jedno wypierając ją, drugie izolując się od bliskich. Na końcu oboje znajdują jednak ukojenie i mogą zacząć na nowo budować wspólne szczęście. Ale ta opowieść o stracie i cierpieniu nie angażuje emocji, to raczej podręcznikowa ilustracja kolejnych etapów żałoby, spektakl, który rozgrywa się gdzieś poza widzem. Natarczywie powraca skojarzenie z zabawkową kulą śnieżną. W jej wnętrzu Mitchell zamknął idealny dom z amerykańskiego przedmieścia, a w nim marionetki Corbettów,

do których uczuć nie mamy dostępu. Nominowana do Oscara za rolę w tym filmie Kidman gra nawet ciekawiej niż w „Godzinach”, za które zdobyła statuetkę. Ale jej konsekwentnie skupiona i spięta Becca jest przeciwieństwem idealnej Królowej Śniegu w tym lodowatym świecie.

„Między światami” powstało na podstawie nagrodzonej Pulitzerm sztuki Davida Lindsaya-Abaire’a i teatralność jest jedną z jego największych wad. Sceny są odgrywane, wykonywane, a nie wzięte z życia, jak choćby relacja Becki z chłopcem odpowiedzialnym za śmierć jej syna. Wiem, że tego rodzaju kino

robi się „w słusznej sprawie”, że widzom, którzy przeżyli stratę dziecka, „Między światami” może przynieść ukojenie. Tak działał choćby serial „Sześć stóp pod ziemią” Alana Balla czy przejmujące „Źródło” Darrena Aronofsky’ego. Jednak oglądając je, miało się wrażenie obcowania ze skończonym dziełem. A film Mitchella umieszcza nas „między” próbą nakręcenia poruszającego dramatu a pustym efektem.

ccc

„Między światami”, reż. John Cameron Mitchell, USA 2010, 94', Kino Świat, premiera 29 kwietnia

# Rzut młotem

„Thor” to imponujące widowisko fantasy i sprawny technothriller w jednym

Thor zawsze był nieco w cieniu flagowych bohaterów komiksów Marvela, toteż na swój pełnometrażowy filmowy debiut musiał poczekać w długaśnej kolejce. Warto było, bo trafił na Kennetha Branagha, który bohatera szekspirowskiego zeń co prawda nie zrobił, ale i tak wykrzesał tyle, ile trzeba. Oto nordycki bóg siły i piorunów wygnany zostaje z siedziby bogów Asgardu

na ziemię. Pozbawiony swoich mocy jako doktor Donald Blake ma się nauczyć pokory i posłuszeństwa. O tym, kim jest naprawdę, przypomina sobie dopiero wtedy, gdy przez przypadek znajduje swój oręż – ogromny młot zwany Mjöllnirem. Brzmi absurdalnie? No i co z tego? Lubię Thora za to samo, za co lubię Hellboya – za mitologiczny rodowód i za to, że jest facetem

z zupełnie innej bajki niż jego superbohaterscy koledzy z teamu Avengers. Ani szalony naukowiec, ani przerośnięty pajęczak, ani ofiara choroby popromiennej. Po prostu bóg z wdziękiem Natalie Portman, a Stellan Skarsgård i Anthony Hopkins okazuują się doskonałymi przewodnikami wycieczek między światem mitu a codziennością. Całość to bardzo przypomina plastik zamiast zimną stal i piekielny ogień, lecz i tak jest lepiej, niż można się było spodziewać.

Wojtek Kałużński

„Thor”, reż. Kenneth Branagh, USA 2011, 94', UIP, premiera 29 kwietnia

cccc

„Thor”, reż. Kenneth Branagh, USA 2011, 94', UIP, premiera 29 kwietnia



# Głośni inaczej

Komedia „Nieścisalni” dowodzi, że poważnie można grać nawet bez fraków

Jeśli ktoś reaguje alergicznie na muzykę poważną w wykonaniu akademickim, z pewnością popubi policjanta Warnebringa, głównego bohatera świetnej komedii Oli Simonssona i Johannesesa Stjärne Nilssona. Komisarz pochodzi z muzykalnej rodziny, ale nie ma za grosz słuchu i pała nienawiścią do partytury. Pupilkiem matki i przyjaciół jest jego brat, słynny dyrygent, który ćwiczy właśnie w filharmonii koncertu Haydna.

Innego rodzaju muzyczny występ odbędzie się w czterech częściach miasta – otoczenie i instrumentarium będą wybitnie nieklasyczne, a wykonawcy raczej nie włożą fraków. Grupa siedmiu perkusistów dowodzona przez byłą studentkę akademii muzycznej Sanne wdziera się do różnych instytucji i koncertuje na znalezionych tam przedmiotach. Medyczny sprzęt, pieczętiki, a nawet ludzkie ciało stają się instrumentami, tworząc nie-

typową orkiestrę. Sceny występów to kompozycyjne perełki, dowód w sprawie przeciwko muzycznym purystom – grać można na wszystkim, jeśli tylko nie brakuje wyobraźni i talentu.

Utwory Sanne i spółki są precyzyjne, mają rytm i strukturę, są dziełami sztuki. Warnebring z początku tego nie rozumie i ściga grupę. Szybko jednak zmienia front, ale jego trzymająca fabułę w ryzach przemiana nie jest tu najważniejsza. Film Simonssona i Nilssona otwiera bowiem oczy i uszy na alternatywne rodzaje muzyki, a z ludzi twórczo wykorzystujących przestrzeń publiczną zdejmując łatkę wandalii. Jest przy tym zabawny. Nie ściszejmy.

BŁAŻEJ HRAPKOWICZ

ccccc

„Nieścisalni”, reż. Ola Simonsson, Johannes Stjärne Nilsson, Szwecja/Francja 2010, 102', Kino Świat, premiera 15 kwietnia

FESTIWAL OFF

# Nadrabianie zaległości

Festiwal Off Plus Camera nabiera charakteru, choć wciąż romansuje z mainstreamem

Festiwal Off Plus Camera zawsze uchodził w branży za ten, który ma pieniądze i medialne wsparcie (TVN). W tym roku Kraków też przykryły setki reklam imprezy, na które nie może sobie pozwolić większość festiwali o tak krótkim stażu (za nami czwarta edycja), a na gali otwarcia można było wypatrzeć choćby Monikę Olejnik czy Marcina Mellera, których nie spotkalibyście na festiwalach we Wrocławiu czy nawet w Gdyni.

Krakowski festiwal wciąż walczy – przede wszystkim o spójny wizerunek imprezy kina niezależnego. Niekiedy wygrywa (imponująca liczba ważnych i świeżych filmów offowych w programie), niekiedy ponosi klęskę. Choćby wtedy, gdy jednym z głównych gości czyni Amitabha Bachhana, gwiazdora Bollywood, który ma z offem tyle wspólnego, ile Ilona Łepkowska.

Selekcjonerom Off Plus Camera udało się za to wreszcie coś, co na festiwalu z sekcją konkursową jest najważniejsze: zdołali pokazać, że filmy, które się w nim znalaz-

ły, mają wspólny mianownik, a sam konkurs nie jest pozbawiony charakteru. Największym problemem offu jest dziś to, że chcąc uciec od klisz kina mainstreamowego, pada ofiarą klisz, które już wytworzyły się w jego obrębie. Kilka filmów z konkursu głównego wyszło jednak poza schematy. Choćby „Gun Hill Road”, który nie tylko na nowo eksploruje światnie znane filmy otoczenie (Bronx jest sceną rodzinnego dramatu, a nie, jak zazwyczaj, kina gangsterskiego), ale także opowiada o transwestytyzmie jako problemie zarówno osoby zmieniającej płeć, jak i jej bliskich.

Co jednak najważniejsze, któryś z reżyserów pokazujących w konkursie głównym film, wyjedzie z Krakowa z kwotą stu tysięcy dolarów [relacja powstała przed ogłoszeniem werdyktu – przyp. red.]. Jeśli ceną za tę jedyną na polskich festiwalach poważną nagrodę jest to, że Off Plus Camera niekiedy zdradza off z mainstreamem, to może warto przyznać oko na te romanse?

KAROLINA PASTERNAK



## Przegląd filmów Marcela Łozińskiego

Od 18 kwietnia do 2 maja na stronie [www.docalliancefilms.com](http://www.docalliancefilms.com) bezpłatnie można obejrzeć pięć dokumentów: „89 mm od Europy” (1993), „Wszystko może się przytrafić” (1995), „Żeby nie bolało” (1998), „Jak to się robi” (2006), „Poste restante” (2008). Więcej informacji o przeglądzie znajdziesz na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)

REKLAMA

www.off-festival.mbank.pl

**OFF FESTIVAL KATOWICE**  
18-20.08.2011

Bilety dostępne w sieciach: Ticketpro.pl • Eventim.pl • Ticketportal.pl

Primal Scream  
„Screamadelica” live  
Gang Of Four  
Mogwai • Low  
Ariel Pink's Haunted Graffiti  
The Jon Spencer Blues Explosion  
Meshuggah

Kury grają „P.O.L.O.V.I.R.U.S.”  
Czesław Śpiewa Tesco Value

mbank zaprasza

mbank mecenasz

INDEKS

KATOWICE

Ars Camerallis Silesia Superioris

Ministerstwo Kultury

MARSHOFF

Gazeta

metro

AI!

PRZEKROJ

onet.pl

Grolsch



# Obezwładnieni

W „Sierotach” Grażyny Kani ofiary przemocy same stają się własnymi ofiarami

JACEK SIERADZKI

Gdy nad elegancką kolacją we dwoje, z kieliszkami wina i płatkami róż rozsypanymi na stole, staje chłopak w zakrwawionej koszuli i nerwowo zagaduje, że nic się nie stało, wolno podejrzewać, że teatr za chwilę włoży nas w jakąś tarantynowską groteskę, przesadną i sztuczną. Potem okazuje się, że opowieść mieści się w ramach realizmu psychologicznego. Aliści ustawienie spektaklu na samej granicy, za którą zaczyna się emocjonalne wariactwo, działa doskonale: wprawia widza w stały niepokój i nie pozwala go uśmierzyć.

Mamy oto młodą kobietę, jej męża i brata. Małżonkowie celebrują kolację – swoje święto. Brat jest łajza. Właśnie złomotał, związał i zamknął w szopie spotkanego w parku Araba. Zaatakował go irracjonalnie – z lęku i niepewności. Samotność, pustka życiowa i nastroj taniej dzielnicy Londynu, gdzie to biali są mniejszością, kazały mu myśleć, że jeśli nie unieszkodliwi mężczyzny w burce idącego naprzeciw, sam padnie jego ofiarą. Szwagrostwo chcą dzwonić na policję. W końcu jednak po długiej nerwówce sami włączają się w tuszo-

wanie incydentu, rozwijając twórczo absurdalną przemoc.

W dramacie Dennisa Kelly'ego, 40-letniego Anglika chętnie penetrującego multikulturowe pogranicza Zachodu, przejmująca jest nawet nie kwestia obcości etnicznej, nietolerancji czy ksenofobii. Obezwładniająca jest sama ta rodzina, niepatologiczna przecież. W przypadku małżonków wręcz życiowo poukładana, a jednocześnie jakby pozbawiona psychicznego rusztowania, które pozwoliłoby neutralizować terror atawizmów i histrii. Tytułowe sierotwo to nie tylko biografia rodzeństwa dorastającego bez rodziców. Wszyscy tu sprawiają wrażenie, jakby kształtowali się gdzieś poza elementarnym porządkiem społecznym, jeśli przez takowy rozumieć coś więcej niż rytualne świeczki do kolacji. Przeko dają się miotać niekontrolowanym, destrukcyjnym emocjom – dobrze wiedząc, że niosą zło, którym są przerażeni, a potem coraz bardziej w tym przerażeniu bezwolni. I bronią się bezradnie: brat (Piotr Ligienza) narastającą histerią przechodzącą w skowyt, siostra (Anna Moskał) – twarzeniem



Porządnis (Grzegorz Falkowski) i dogmatyczka (Anna Moskał)

w dogmacie „rodzina ma sobie pomagać”. Mąż siostry (Grzegorz Falkowski) długo pozostaje nic nierozumującym porządnisem. Ale gdy pójdzie do szopy przyprawiać niewinnego muzułmanina o kolejną porcję śmiertelnego strachu, od jego zdruzgotanej twarzy niepodobna będzie później oderwać oczu.

Tak wiele o rozsypaniu się człowieka w tak prostej, skondensowanej opowieści! Najlepsze (jak dotąd) przedstawienie rachitycznego sezonu w Warszawie wyreżyserowała Grażyna Kania, pracująca głównie na scenach niemieckich i importująca stamtąd nie pisuary w scenografii i nie Polleschowskie „Scheisse”,

ale celną jak cięcie skalpelem analizę psychologiczną i precyzyjną w środkach wyrazu. Stephan Testi zalał scenę na stałe jaskrawym, laboratoryjnym światłem, jedynie w przerywnikach zmieniając na chwilę białe ściany w mroczno brudne, pomazane agresywnym graffiti zaułki, w które żaden człowiek nie chciałby się zapuszczać, ale które wielu po prostu ma w sobie.

\*\*\*\*\*

„Sieroty” Dennisa Kelly'ego, przekład Ewa Partyka, opracowanie tekstu i reżyseria Grażyna Kania, scenografia Stephan Testi, muzyka Jan Duszyński, Teatr Powszechny w Warszawie



„Panny z Wilka” mają smak konfitur z domowej spiżarni

# Między słowami

Tajemnica „Pani z Wilka” w warszawskiej Akademii Teatralnej rodzi się w ciszy

Tak się uartało, że przedstawienia Mai Komorowskiej rozsadzają ramy tradycyjnych szkolnych dyplomów. Przed laty „Teraz ja”, oparty na jednoaktówkach Czechowa, stawał się żarliwym wyznaniem wiary w iluzję sceny. „Opowieści Hollywoodu” Hamptona były może najważniejszym przedstawieniem ówczesnego sezonu; dowodem, że w szkolnej pracy możliwe są olśnienia na miarę, bo ja wiem, Lupy czy Grzegorzewskiego. Inscenizując „Panny z Wilka”, Komorowska celowo utrudniła zadanie sobie i studentom. W „Opowieściach...” miała do dyspozycji potoczny akcję, najwyższe emocje bohaterów, drama-

tyczny splot historii. A u Iwaskiewicza z pozoru dzieje się niewiele. Codzienne chwile spędzane przy stole i w kuchni, w spiżarni albo na spacerze. Pojedyncze gesty i słowa, spojrzenia.

Maja Komorowska ze swoimi uczniami tka to piękne przedstawienie z najbardziej delikatnej materii – samego trwania. Najbardziej przemijające sekwencje obywatelskie bez słów. Jak choćby śniadanie siostr: rzodkiewka, masło, kromka chleba; wspólne jedzenie staje się ceremonią, jak w świetnym filmie Axela „Uczta Babette”. Tyle że każdej z tych milczących scen reżyserka i aktorzy nadają nieprawdopodobną gę-

stość. Studenci mają tym razem wyjątkowo trudny egzamin. Grać mniej, a nie za dużo. Grać, jakby się nie grało. Marta Sroka, Diana Zamojska, Marta Kurzak, Marta Chyczewska, Kamil Dominiak, Kamil Przystał, Igor Obłoz – nie wartościują, zapamiętamy wszystkich.

Spektakl ujmuje delikatnością, ba, jest samą delikatnością. I opowieścią o utracie. O tym, że piękne dzieciństwo mija, rodzinny stół zostaje we wspomnieniach, uczucia odchodzą, stając się tylko tym, co było. Można próbować do tego wszystkiego wracać, ale to zawsze będzie miało gorzki smak. Niby proste, ale bardzo rzadko wychodzimy z teatru z podobnym poczuciem spełnienia.

JACEK WAKAR

\*\*\*\*\*

„Panny z Wilka” według Jarosława Iwaskiewicza, adaptacja Maja Komorowska i Julia Kijowska, reżyseria Maja Komorowska, Akademia Teatralna w Warszawie

# Karanie Polski

Marcin Liber zrobił w Legnicy przejmujący spektakl o polskich paranojach

Dziesiąty kwietnia spędziłem z premedytacją w Legnicy. Spektakl Marcina Libera okazał się genialnym antidotum na rocznicowy przypływ uczuć patriotycznych i bohaterkich. Przerobiona z osiedlowego supermarketu Scena na Piekarach była pełna takich jak ja dezertów od państwowej kosicielnej celebry. Ale Liber pokazał, że ucieczka od polskiego tematu nie jest możliwa, ulgę daje samo wprowadzenie nowego tonu. Trzeba zszyc rany absurdem, odwrócić hierarchię wartości, wydrwić kłamstwo i pozę. Stworzone z pomocą trzech autorek przedstawienie jest zamierzonym sequelem głośnego „(A)Polonii”. Liber nie żeruje na estetyce Warlikowskiego, ale ją pastiszuje, polemizując z tamtym ujęciem sensu ofiary, także winy i kary. Dawno nie widziałem spektaklu, który by w tak oczywisty sposób „przeżywał” i przetrwał świat swojego gienowozoru, żeby fundamentalnie inaczej rozpoznać temat polskiego losu, przy okazji stwarzając absolutnie nową jakość stylistyczną.

Na żywo gra zespół Moja Adrenalina. Całym widowiskiem steruje pięć z ról i image'u Andrzeja Chyry Rafał Cieluch. Na reliefowo rozogniętej scenie dokonuje się świadomie przerysowany dramat dwóch kobiet: niejakej Danuty Mutter (Jolanna Gonschorek), okropnego polskiego babona rodzającego „dzidzie” – dziecko kadłubek, symbol parszywego polskiego nieudacznictwa i cierpiętnictwa, oraz Alkmeny Marlewicz (Ewa Galusińska), ducha pani profesorowej wydanej podczas okupacji gestapowcom przez matkę Mutterowej. Duch zabitej Alkmeny stuka do bram nieba i nie może wejść, bo nie wie, czy jest winna temu, że jej syn Herakles-Stefan stał

się bezwzględny akowskim cynikiem wykonującym wyroki Państwa Podziemnego zarówno na zdrających, jak i przeciwnikach politycznych. Z kolei Mutter łazi po Warszawie i skamle, że nie pozwolono jej sprzedać „dzidzi” Niemcom na grill i zamiast tego powieszono kalekę w kosiele jako symbol cierpienia narodu.

Obie kobiety połączy zielona jesionka, z której powodu matka Mutter doniosła na ukrywającą się u niej w oborze profesorową. Dziwne to pojednanie: babon przykrywający dygoczącego ducha wyjętym z rodzinnego skarbcza płaszczem. Liber czuje, że nie ma tu żadnego wybaczenia, pokazuje tę scenę bez ulgi, że zrodzi się z tego jakieś dobro. Aktorzy cytują na scenie cały zestaw narodowych póż: oddają głos kibolom i kosynierom, polskim wężym gejskim hydraulikom i dworcowym kurwom. Winne i niewinne ofiary wojny i komunizmu przynoszą wieńce z napisem „Polacy, nic się nie stało”. Może ich ofiarność była na darmo, bycie katem jest naturalne jak oddychanie, a Polska okazuje się przechowalnią nieświadomych swych grzechów winowajców, którzy nie rozumieją, dlaczego spotkała ich kara.

Liber proponuje inny rodzaj rozmowy z Polską i o Polsce niż Strzępka czy Klata. Jest mniej agresywny, mniej anarchiczny, ale trafia w samo sedno. Wielki, przerażający seans.

ŁUKASZ DREWNIAN

\*\*\*\*\*

„III Furie – Polacy, nic się nie stało!” Sylwii Chutnik, Magdy Fertacz i Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk, reżyseria Marcin Liber, kostiumy Grupa Mixer, muzyka Moja Adrenalina, Teatr imienia Modrzejewskiej w Legnicy



„Polacy, nic się nie stało”. Czy aby na pewno?

REKLAMA

135 lat

Teatr Polski w Poznaniu

Termin nadsyłania prac  
31 maja 2011

METAFORY 2011  
RZECZYWISTOŚCI

IV Konkurs  
poświęcony  
polskiej  
dramaturgii  
współczesnej  
10-11 września  
2011

www.metaforyrzeczywistosci.pl  
e-mail: konkurs@teatr-polski.pl, www.teatr-polski.pl

Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

www.poznan.pl

POZnań\*

\*Miasto know-how

Dofinansowano ze środków  
Ministra Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

# Zapatrzony w Sfara

Alfonso Zapico zabiera nas do Jerozolimy na rok przed powstaniem Izraela, w samo serce żydowsko-arabskiego konfliktu

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

**A**lfonso Zapico to hiszpański Joann Sfar. To i dobrze, i źle. Dobrze, bo porównanie świadczy o klasie twórcy – Sfar, autor „Kota rabina”, a ostatnio także reżyser filmowy (nakręcił rozpowszechnianego w Polsce na DVD „Gainsbourga”), należy do najlepszych z najlepszych. A źle, ponieważ podobieństwo do francuskiego mistrza jest tu nazbyt uderzające. „Café Budapeszt” dotyka tematyki żydowskiej, a do tego rysowany jest kreską rozedrganą, swobodną, celowo bałaganiarską. Mamy więc połączenie dwóch najbardziej rozpoznawalnych cech Sfara w iberyjskim wydaniu. Zapico jest więc jego epigonem, ale nie zasługuje na potępienie. To twórca utalentowany, mający coś do powiedzenia i potrafiący skonstruować ciekawą historię.

Bohaterem uczynił młodego skrzypka Chaskela, który mieszka ze swoją matką w Budapeszcie. Kobiecie udało się przeżyć Holocaust, ale poważna choroba uniemożliwia jej normalną egzystencję. Wraz z synem żyją na granicy nędzy. Pewnego dnia otrzymują zaproszenie do Palestyny od wuja Josefa, który prowadzi w Jerozolimie kawiarnię, tytułową Café Budapeszt. Węgierscy Żydzi ruszają do ziemi obiecanej,

która szybko okaże się istnym polem minowym. Akcja dzieje się bowiem w 1947 roku, za chwilę wojna żydowsko-arabska wybuchnie na dobre. Ale zanim to nastąpi, Zapico pokazuje nam Palestynę. W prowadzonej przez Josefa knajpcie Żydzi, Arabowie i Brytyjczycy swobodnie ze sobą rozmawiają, handlują; młody Chaskel często odwiedza doktora Hasana, z którym uwielbia muzykować. Zapico próbuje nas przekonać, że arabsko-żydowski sąsiedzi doskonale potrafiliby się dogadać, gdyby nie brutalna polityka sterowana przez brytyjskich kolonistów.

Alfonso Zapico doskonale wie, jak chwycić czytelnika za serce. Ale lubi także naiwne figury. Motyw ponadnarodowej kafejki jako enklawy tolerancji czy romans Chaskela z arabską dziewczyną to uderzenia o jeden ton za wysoko. Na szczęście twórca z takim samym zapałem konstruuje, jak i obnaża stworzoną w swoim komiksie utopię. Gdy w 1948 roku Brytyjczycy opuszczają Jerozolimę, dawni sąsiedzi w kilka chwil stają się zaciekłymi wrogami. A rysownik w brutalnych scenach pokazuje wojnę domową. I właśnie ten dramatyczny finał, który pozbawia złudzeń, ratuje go przed artystyczną klęską. Choć na począt-



ku komiks może wydawać się trochę wydumany, kończąc lekturę „Café Budapeszt”, uznamy, że Hiszpan się zrehabilitował. I nawet jego zapatrzenie w Sfara nie będzie nam przeszkadzać.



\*\*\*\*

**Alfonso Zapico**  
„Café Budapeszt”,  
Timof i cisi współnicy,  
Warszawa 2011,  
s. 160, 49 zł

# Bo miała złe spojrzenie

„Wojna Sambre’ów” jest przykładem tego, jak zabawa w mistykę może zepsuć niezłą historię

**G**dy przejrzymy kilka pierwszych stron albumu, jego plastyka nas oczaruje. „Wojna Sambre’ów” bowiem dzieje się w XIX-wiecznej Francji, a autorzy postanowili przedstawić romantyczną historię za pomocą istic romantycznych środków. Rysownicy częstują nas rozproszonym światłem i nastrojowymi krajobrazami niczym z dzieł Caspara Davida Friedricha czy Williama Turnera. Szaty bohaterów są odpowiednio udrapowane, a ich gesty i pozy – stosownie teatralne. W strategii rysowników Jana Bastide’a i Vincenta Mezila jest

sporo zmyślnej zabawy. Szkoda tylko, że tego samego nie możemy powiedzieć o scenariuszu Bernarda Ysulaire’a.

„Wojna Sambre’ów” byłaby całkiem niezłą XIX-wieczną historią obyczajową o brudnym Paryżu, zdeklasowanej szlachcie, femme fatale i naiwnym młodzieńcu. Ale twórcy uznali, że to za mało. Zbyt zwyczajnie. I osnuli fabułę wokół przekombinowanej intrygi o tajemniczej wojnie plemion, która toczy się od starożytności do współczesności. Plemiona te rozpoznajemy po kolorze oczu

– najgorsze są czerwonoookie kobiety. Cóż, album cieszy oko, ale zbyt często z politowaniem pośmiejemy się ze scenarzysty.

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ



\*\*\*

**Bernard Ysulaire**  
(scenariusz), **Jean Bastide, Vincent Mezil**  
„Wojna Sambre’ów: Hugo i Iris”,  
wydawnictwo Egmont,  
Warszawa 2011,  
s. 168, 99,99 zł

# KAMIENICE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska



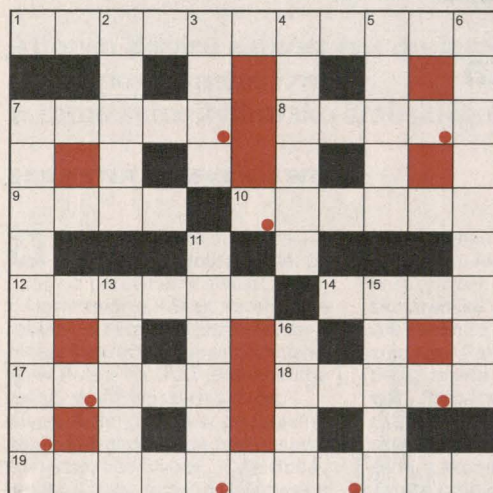
www.mieszkaniowy.as

biuro sprzedaży:  
ul. Wrocławska 55, Kraków  
tel. 12 633 86 40



## KRZYŻÓWKA NR 16

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



### POZIOMO:

- BICIE PIANY
- ATAKUJE PRZECHODNIÓW KRÓTKIMI SERIAMI
- METODA USTA-USTA
- ŁATWO JĄ NABRAĆ
- DZIELI ŁONO MIĘDZY CZŁONKÓW
- DZIELENIE PRZEZ JEDEN
- MIĘDZY PIONOWO A POZIOMO
- TAKTOWNY CZŁOWIEK
- DOBRA ZŁA PAMIĘĆ
- NAPRAWA USTĘPU

### PIONOWO:

- PRZEDNIA HISTORIA
- WOJSKOWY GARNUSZEK
- ODGŁOS ROZRYWANYCH DRESÓW
- NA GRZBIECIE NASZEJ SZKAPY
- PEWIEN PAN SUKCESU
- KUPIE „PRZEKRÓJ”
- MA PSA UROK
- JAK GO ZNASZ, JESTEŚ NASZ
- ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZ SIĘ MIARKA
- GRUB

Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 16”.

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 24 kwietnia 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

### SKLEP INTERNETOWY

## amazonka.pl

książki, muzyka, filmy, gry

Ponad milion tytułów.  
Najniższe ceny w Internecie.  
Dostawa w 24 godziny

Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest **10 bonów** – o wartości **50 zł** każdy – na zakupy w sklepie internetowym [www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

## ROZWIĄZANIA Z NR. 14 LAUREACI Z NR. 10

### Krzyżówka: KONTRAKT

- Poziomo:** 1. PRZYJAZNE MEDALE – FOTOKOMÓRKA 7. POZEGNANIE Z AFRYKĄ W CASABLANCE – SCENA 8. KRATKA NA MIĘSO – RUSZT 9. MOŻE KOJARZYĆ SIĘ Z SUKCESEM – MODA 10. WYCHODZI Z UBIAKACJI – ODPLYW 12. ZARTY – POKARM 14. POSZEDŁ NA STRONĘ – WPIŚ 17. SŁOWNY CZŁOWIEK – MÓWCA 18. TONĄ W PODUSZKACH – USZKA 19. OSCAROWIE DZIEŁO WAJDY – CALOKSZTALT

### Pionowo:

- MĘSKA MODA – TREND
- UKOCHANY GALCZYŃSKIEGO – KRAJ 4. JEŚLI CZARNE MA CZARNĄ, TO CZERWONE... – MARUDA
- ROZBIERA OKIEM – ROSÓŁ
- WIDOCZNY CZŁONEK – AKTYWISTA
- ROBIŁA CHŁOPOM DOBRZE – SAMOPOMOC
- KOŃCZY TANIEC Z GWIAZDAMI – BIRZASK 13. O BABIE Z BRODA – KAWAL 15. POTRAWA Z BUTA – PIZZA
- KRZAKI CIERNISTYCH KRZEWIÓW – BUSZ

### Krzyżówka:

- Daria Brzezińska**, Warszawa;  
**Irena Czaja-Hłiniak**, Kraków;  
**Agnieszka Gąsiorowska**, Komorów;  
**Wiesław Istelski**, Kraków;  
**Czesław Jaremczyk**, Wałbrzych;  
**Bogusław Kupiecki**, Warszawa;  
**Jadwiga Marińska**, Wrocław;  
**Łucja Nowak**, Warszawa;  
**Irena Żak**, Sosnowiec;  
**Ewa Żuk**, Wrocław

## JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

# Zupa chrzanowa w prezencie na Wielkanoc



**P**owiedziano mi, że wydajemy teraz podwójny numer „Przekrój”. Ma być przedświąteczny i świąteczny. W wielu sprawach to proste, ale nie w Jednym Daniu. Coś zupełnie innego je się w czasie postu, a zupełnie inne dania stawia się na wielkanocnym stole. Długo zastanawiałem się, co zrobić, i nic nie przychodziło mi do głowy. Jak co roku przed każdymi świętami, czy to Bożego Narodzenia, czy Wielkiej Nocy, jeżdżę w góry i zawsze zatrzymuję się w mojej ukochanej restauracji Nowina w Głogoczowie pod Krakowem. Spotykają mnie tam cudowne rzeczy. Znakomite, proste polskie jedzenie, nadzwyczajna wręcz gościnność. Tak było i tym razem. Zamówiłem żur i mój ukochany paprykarz cielęcy Nowiny. Pani Wanda Konopczyzna, synowa pana Krzysztofa, spytała, czy nie zechciałbym zamiast żuru spróbować zupy chrzanowej. Naraz – eureka! Chrzan i na czas postu, i na Wielką Noc. Poprosiłem o tę zupę. Genialna, genialna, genialna! Poprosiłem pana Krzysztofa Nowinę-Konopkę o przepis. Powiedziałem, że to i dla gości moich restauracji, i dla wszystkich, którzy czytają „Przekrój”. Taki

prezent na Wielkanoc. Dostałem. Oto on:  
Do półtora litra mocnego wołowego rosółu (prawie bulionu) dodajemy pokrojone w kostkę cztery ziemniaki, drobno pokrojoną cebulę, czubatą łyżkę łagodnego, świeżo tartego chrzanzu, a także szczyptę majeranku, sól i pieprz. Zaczynamy gotować. Kiedy zupa jest gorąca, wrzucamy do niej sto gramów podsmażonego wędzonego boczkku. Oddzielnie napełniamy do połowy szklankę śmietaną 18-procentową, dosypujemy pół łyżki mąki pszennej, sól i uzupełniamy zupą z naszego waru. Mieszamy w szklance i całą jej zawartość wlewamy do garnka z zupą. Kiedy się zagotuje, podajemy do stołu.  
W imieniu państwa Konopków z Nowiny i swoim własnym – najlepszych świąt Wielkiej Nocy. I czasu przed świętami.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

**BRACIA M** BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ  
[WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER](http://WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER)



UDERZ W STÓŁ, A NOŻYCE SIĘ ODEZWAJĄ.

## KAWKA I PAPIEROSKI



Nowy serial „Kawka i Papieroski” z aktorskimi kreacjami Iwoną Sitkowskiej i Jakubą Bochosiewiczą co tydzień na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w aplikacji „Przekroju” na iPadzie dostępnej w App Store



# KRAKOWSKI KREDENS

TRADYCJA GALICYJSKA



KRAKOWSKI KREDENS  
TRADYCJA GALICYJSKA



KRAKOWSKI KREDENS  
TRADYCJA GALICYJSKA



[www.krakowskikredens.pl](http://www.krakowskikredens.pl)



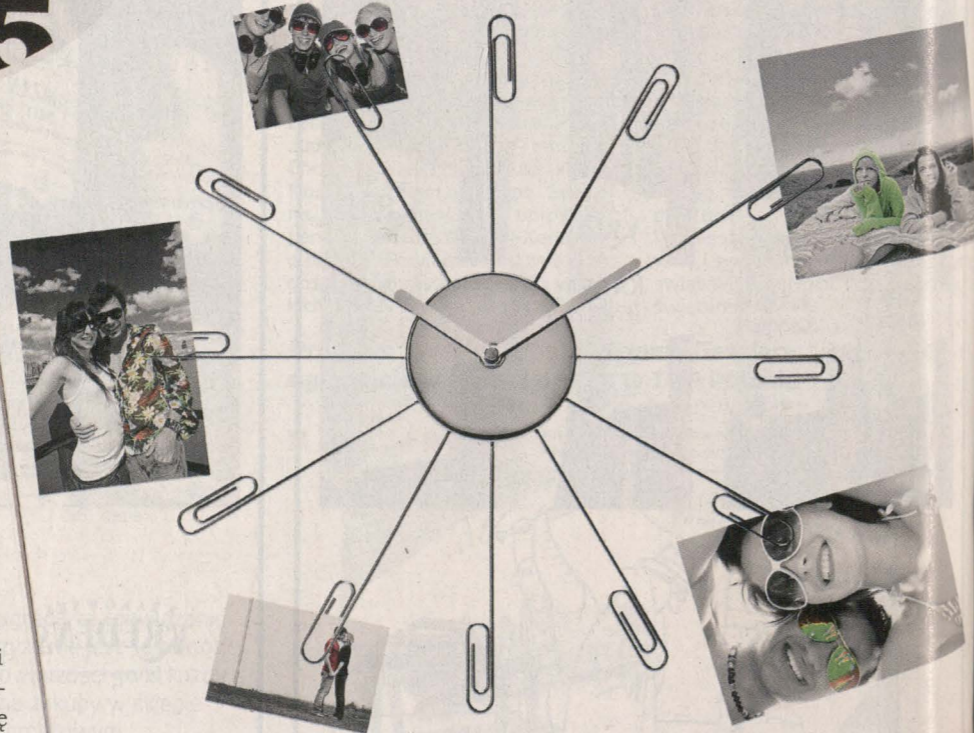
Zegar Pendulum. Ptak się waha

## LADNE RZECZY O czasie

Gdyby czas miał postać fizyczną, z pewnością byłby paskudnym, złośliwym gnomem **OLA SALWA**

**P**rzykładów jego podłości jest wiele, zaczniemy od samego rana. Budzik zawsze dzwoni za wcześnie. Oczywiście jakkolwiek protest jest bezcelowy, a za wszelkie próby przedłużenia snu (na przykład przez włączenie opcji „drzemka”) i tak przyjdzie nam zapłacić spóźnieniami na kolejne spotkania. Nawet jeśli zrezygnujemy z kawy, przebrania się po raz czwarty czy obejrzenia porannych newsów, czas znajdzie sposób, żeby odebrać co jego. Jeśli wybieramy się do pracy samochodem, trafimy na czerwoną falę. Jeśli taksówką – ta się spóźni. Jeśli samolotem – w kolejce do odprawy stanie przed nami rodzina z pięciorgiem dzieci. Jeśli komunikacją miejską – tory na każdym skrzyżowaniu będzie blokował spieszący się kierowca.

Jeżeli jednak z rana specjalnie się czasowi nie narazimy, to wtedy może nas gnębić przez cały dzień. W biurze, gdy będziemy mieć dużo pracy, godziny zmieniają się w minuty, a gdy mało, będzie dokładnie odwrotnie – zaczną się wyjątkowo dłużyć. Zwłaszcza jeśli nasz szef, dbając, rzecz jasna, o naszą efektywność i skupienie, odciął nam dostęp do Facebooka, YouTube i prywatnej poczty.



Chcesz pamiętać o kimś lub o czymś na okrągło? Przypnij zdjęcie lub notkę do wskazówki zegara Ścienny Spinać



Jeden zegar i dziesięć stref (między innymi moskiewska, nowojorska i tokijska), czyli **czasomierz Nextime Skyline**



Nie marnuj czasu przed telewizorem, śledź tarczę zegara Nextime

Złośliwość czasu dotyczy też strefy rozrywki. Fajna piosenka zawsze trwa za krótko, podobnie jak ekscytująca randka, a niedobry film (na przykład taki z dokładną godziną w tytule) lub przerwa między posiłkami, gdy się odchudzasz – zawsze za długo. Dziewięć lat na jednym stanowisku mija szybciej niż roczny cykl wykładów ze statystyki. Niestety, tych drobnych podłości nie udało się nam opanować od starożytnych, a jakże, czasów. Mimo coraz precyzyjniejszych podziałów, stref, sformalizowanych określeń typu czerwiec i poniedziałek, zegarków: szwajcarskich, ściennych i z kukułką. Kontrola jest szczególnie trudna, bo gdy skupiamy się na wskazówkach lub migających diodach, wszystko wygląda prawidłowo. Dopiero gdy odwrócimy wzrok, czas zaczyna swoje sztuczki. Co nam w takim razie zostaje? Chyba tylko kupienie ładnego zegara ściennego – może czas jest esteta i da się w ten sposób obłaskawić?

NO ŁADNIE!

## Zniszcz dziś

To był naprawdę zły dzień? Spokojnie, możesz odreagować i nie musisz w tym celu uprawiać sportu ani pić kojących herbatek ziołowych. Zainstaluj sobie kalendarz Chrono Shredder projektantki Susanny Hertrich. Mechanizm podrze kartkę z datą feralnego dnia, a ty dasz sobie pozwolenie na zniszczenie go w swojej pamięci.

FOT. Glamstore (2), Galeria Limonka (2), Susanna Hertrich

## Wracamy do Dallas!

Bo Kennedy niejedno ma imię



**ŁUKASZ ORBITOWSKI**

**Z**nowu zabili nam Kennedy'ego. Serial „The Kennedys” z Katie Holmes i Gregiem Kinnareem w roli JFK zdjęto po emisji pierwszego, podwójnego odcinka. Za masakrę w ramówce History Channel odpowiada w dużej mierze żona Arnolda Schwarzeneggera, wściekła, że z jej słynnego krewniaka robią seksualnego dewianta. Co się stanie z nakręconym materiałem? Trudno stwierdzić. Wiadomo, że swoją wersję historii klanu szykuje Darren Aronofsky, a sam prezydent dawno odegrał się od rzeczywistości. Żyje w najróżniejszych światach i wcieleniach.

Wątek Kennedy'ego powraca w zapowiedanej powieści Stephena Kinga, w której pewien małomiasteczkowy belfer zyskuje możliwość przenoszenia się w późne lata 50. – baluje z Elvisem, znajduje miłość życia i staje na głowie, by Lee Harvey Oswald nigdy nie sięgnął po karabin. Data zamachu, będąca jednocześnie tytułem powieści, odgradza dwa światy – współczesność naszą przasną i prywatne eldorado autora, gdzie kina samochodowe wyświetlały filmy o potworach, kobiety były najpiękniejsze, a oranżada zmysłowo nagazowana.

Elvis pojawia się też w najdziwniejszym dziele filmowym poświęconym osobie Kennedy'ego. Jest nim „Bubba Ho-tep”. Tam król rocka zamienia się rolami ze swym sobowtórem, w nadziei, że wreszcie zyska spokój. Niestety po latach ląduje w domu starców, gdzie doświadcza szykan ze strony pielęgniarek, zmaga się z seksualną niemocą i musi stawić czoła ty-

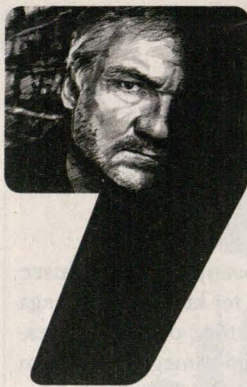
tułowej mumii palaszującej leciwie dusze pensjonariuszy. W tej krucjacie pomaga mu sam Kennedy, który, ocalawszy z zamachu, trafił do tego samego hospicjum zesłany przez ludzi Lyndona Johnsona. Kennedy'ego gra czarnoskóry aktor Ossie Davies, wprowadzając w ten sposób interesujący dysonans poznawczy. Na pytanie: jak to możliwe? odpowiada wzruszeniem ramion: przecież ONI mogą wszystko.

Zapewne właśnie ONI odpowiadają za „JFK Reloaded”, jedną z najbardziej kontrowersyjnych gier od czasów wynalezienia procesora. Gracz wciela się w samego Lee Oswalda i szuka okazji do odnawiania strzału. Twórcy zastrzegali, że zabawa ma na celu zweryfikowanie oficjalnej wersji zamachu, czyli chodzi o edukację, nie o mordowanie, ale i tak podniósł się raban. Protestowali politycy, rodzina prezydenta, organizacje chroniące dzieci, a przewodnicząca jednej z nich zauważyła przytomnie, że gra uczy, owszem, ale tego, jak zostać zabójcą. Gracze nie garnęli się ku tej wiedzy, gra poniosła klępkę i tuła się dzisiaj w piekielku darmowego oprogramowania.

Amerycanie nie byliby sobą, gdyby nie poszukiwali rozwiązań magicznych. Strzały w Dallas, zdaniem niektórych, są wynikiem klątwy Abrahama Lincolna, również zamordowanego. Zestaw skojarzeń przytłacza niczym wyrok dożywotniego więzienia. A więc tak: Kennedy został wybrany na prezydenta równo sto lat po Lincolnie. Obaj zginęli od strzałów w głowę, a sekretarka Lincolna nosiła nazwisko Kennedy. Zgaduj-zgadula: jak zwała się sekretarka Kennedy'ego? A teraz moje ulubione: tydzień przed śmiercią Lincolna był w miejscowości Monroe (stan Maryland).

Tydzień przed śmiercią Kennedy był w Marilyn Monroe.

Ot, chichot historii. Ale w tym śmiechu brzęczy ważna prawda – morderstwo w Dallas pozostaje tematem ważnym i aktualnym, znaleźli się też strażnicy pamięci o prezydencie. Ale w dużej mierze właśnie rozliczne wcielenia – straszne, śmieszne, magiczne – sprawiają, że jest czego pilnować.



**7** „Tygodnika” – choć przerywał jego istnienie – nie zniszczył ani stalinizm, ani realny socjalizm, ani stan wojenny – prestiżu jego i mitu nie zniszczy i nie obali ani Graczyk, ani nawet Pięciak. Redakcje nieraz krwawo się zmieniają – legendy starych redakcji, jeśli były prawdziwie legendarne, pozostają

**2 KWIETNIA**

W związku ze zdemaskowaniem – nie chce mi się stawiać wymownych cudzysłowów – przez Romana Graczyka (w książce „Cena przetrwania”) licznych i ważnych agentów działających na przestrzeni lat w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, ukazały się w prasie chyba setki artykułów. W zasadzie sukces – niby tematyka lustracyjna zgrana i wyczerpana, a tu proszę: jaka lawina! Ilość tajemnicza, choć może nie aż tak tajemnicza. Za ilością – jakkolwiek jednak nie idzie.

Na ogół walczy się to, co zwykle, to znaczy czy zdemaskowanie jest wiarygodne czy niewiarygodne, czy ewentualne źródła są, czy ich nie ma, a jak są, to czy są wrogo, czy neutralnie interpretowane, czy realia życia w PRL – w tym wypadku realia wydawania w tej rzeczywistości katolickiej gazety – zostały ze zrozumieniem uwzględnione, czy bez zrozumienia pominięte, czy chodzi o prawdę historyczną, czy o frustrację jątrzącą, et cetera, et cetera. Stałe – można powiedzieć – elementy gry.

W dzisiejszej „Wyborczej” przeczytałem tycający tej sprawy tekst mojego kolegi jeszcze z czasów uniwersyteckich (zawsze odrobinę za obszerne garnitury, a ten czarny, w którym bronił, świetnego zresztą, doktoratu, luz nad luzami) Andrzeja Romanowskiego. Czytuję go zresztą regularnie, ma dwie cechy w zasadzie nie do pogodzenia: bezkompromisowość mianowicie i poczciwość, on jakoś – w tych w dodatku jadowitych czasach – pierwiastki te łączy.

Dziś w zakończeniu artykułu „Wielkość i upadek »Tygodnika Powszechnego«” Romanowski powiada, że stary (częściowo niepomyślnie przez Graczyka zlustrowany) „Tygodnik” – pismo Turowicza, Pszona, Kozłowskiego – żadnej obrony nie potrzebuje, choć – i tu jest pewien pocziwy paradoks – Graczyk i podzielaający jego poglądy niektórzy członkowie nowej redakcji – między nimi Pięciak – „zniszczyli prestiż »Tygodnika«”.

Albo, Andrzeju, albo, że sięgnę do dziedziny filozofii. Jak nie potrzeba bronić, to nie

zniszczyli, a jak zniszczyli, to obrona konieczna. Zniszczyli? W czyich oczach? Naszych? Tych, jak piszesz, „za późno urodzonych” nie-szczęśników? Przecież fatalność dat swych n-rodzin mają wynagrodzoną sowicie – wiedzą mianowicie wszystko. W jakiej jeszcze war-tej uwagi grupie runął teraz honor naszego pisma? Nie ma takiej zbiorowości. Ci, których reprezentanci często gęsto wpadali w Wiślna albo przysyłali listy z rytualnym zapew-nieniem, że „czytają od pierwszego numeru”, wymierają albo już pomarli; wrogom „żydow-nika” kolejny dowód jego nędzy mało daje – a jeśli idzie o historyczne świadectwa tego, czym był „Tygodnik”, „Cena przetrwania” ani takim świadectwem nie będzie, ani – na dobrą sprawę – być nim nie chce.

„Tygodnika” – choć przerywał jego istnienie – nie zniszczył ani stalinizm, ani realny socja-lizm, ani stan wojenny – prestiżu jego i mitu nie zniszczy i nie obali ani Graczyk, ani nawet Pięciak. Redakcje nieraz krwawo się zmieniają – legendy starych redakcji, jeśli były prawdziwie legendarne, pozostają.

Nie przymierzając: legenda krakowskiego dwutygodnika „Student” i zwłaszcza jego no-wofalowego dodatku „Młoda kultura” – choć w połowie lat 70. wszystko zostało przez wła-dzę na siedem spustów zamknięte, choć cała piękna plejada: Barańczak, Krynicki, Zaga-jewski, Kornhauser, Nyczek, na bruk zosta-ła wywalona – w pamięci tych, co pamiętają, żyje. Nawet nowi i nie za bardzo wiedzący co jest grane redaktorzy – ja, Stala, Maj, Sło-bodzianek – jej prestiżu nie zepsuli, choć nie-wykluczone, że byliśmy o krok – agresję mie-liśmy znaczną. Na szczęście równie znaczną, co niesprecyzowaną.

**3 KWIETNIA**

W PRL była silna dbałość o brak ciągłości; „okres historycznie zamknięty” to była fraza klucz, co anihilowanie pamięci miała uzasad-niać; w wydawaniu pism „społeczno-kultu-raalnych” pilnowano tej zasady pieczołowicie, w miejsce zamykanych redakcji powstawały

nowe, odcinające się od poprzednich – w naj-lepszym razie – zupełnym milczeniem. Oczy-wistym i klasycznym przykładzie „Po prostu” nie wspominam, ale przecież pamięć nawet tak egzotycznego tytułu jak „Współczesność” w tym i owym ledwo tykającym mózgu koła-cze się jeszcze. O tym, że w tamtych – jak się z perspektywy zdaje – operetkowych męczeń-stwach dogrzebać jakichś niejasności było-by banalnie łatwo, wspominać nie warto, tym bardziej że chyba wcale grzebać by nie trzeba-na ogół kto jest kim, wiedzieli wszyscy. Broń-Boże nie czynię żadnych porównań z „Tygo-dnikiem”, co najwyżej daję oczywistą uwagę, że owszem, „Tygodnik” był niezłomny, ale i w innych wydawanych wtedy pismach prac-owali przyzwoici, nękanani przez władzę i w naj-lepszym razie przemilczani przez „kontynu-a-torów” ludzie. Inne czasy – szkoda gadać.

Może w dzisiejszych czasach i bez zmiany tytułu o ciągłość trudniej? Może? Ależ z całą pewnością! Nadzieje, które (w końcu nie tylko ja) łączę z nowym redaktorem naczel-nym, z optymistycznej swej natury w nic nie ingerują.

**5 KWIETNIA**

W tekście Romanowskiego zupełną i bezbłę-dnie przez autora wyłowioną perłą jest krótki cytat z Pięciaka. Autor pisze, że jest to klu-czowy „kontekst książki Graczyka” – ale to jest, Andrzeju, znacznie więcej, to jest istota rzeczy, sedno całości i sam smak przy oka-zji. Pestka bytu i owoc istnienia. Przepisuję: „W »Tygodniku« z 20 lutego pisze Pięciak: Ludzie żyjący [spośród oskarżonych przez Graczyka o podejrzone kontakty z SB] to dżia-osoby starsze. Zapewne spotykając się z nimi, Graczyk musiał zadawać sobie pytanie: jak oni to przeżyją? Mogę to sobie wyobrazić, gdyż doświadczyłem tego przy okazji sprawy księdza Malińskiego; będąc przekonany, że trzeba ją wiarygodnie wyjaśnić, zadawa-łem sobie właśnie pytanie: czy go to, mówiąc otwarcie, nie zabije? I modliłem się, aby tak się nie stało”.

Dawno, a może nigdy, się tak nie wzruszy-łem. Pięciak modlący się o to, by sędziwi do-nosiciele otrzymujący zaskakującą dla nich wiadomość, że byli donosicielami, nie pomar-neli z wrażenia – poruszający i w swej straszli-wości jakże piękny obraz. I pełen nadziei. Bóg wysłuchał modlitw Pięciaka: oni wciąż żyją.

# Usta do ust

Alfreda Eisenstaedta fotograficzna ikona, czyli o tym, że marynarze i pielęgniarce całują się najlepiej

**KUBA DĄBROWSKI**

**P**o wyczerpującej wojnie na Pacyfiku Japonia w końcu się poddaje, co oznacza koniec II wojny światowej. Prezydent Harry Truman podaje tę wiadomość przez radio. Jest 14 sierpnia 1945 roku. Ludzie w całej Ameryce przerywają pracę, wychodzą z biur, a nawet z kin w środku seansu. Chcą być razem i razem się cieszyć. W Nowym Jorku wszyscy biegną w kierunku Times Square. Wśród wiwatujących nie mogło zabraknąć fotografów, jednym z nich jest Alfred Eisenstaedt, urodzony w Tczewie Żyd, który w 1935 roku uciekł z Berlina do Ameryki. Szedłem z moją leicą i szukałem odpowiedniego kadru – opowiadał po latach. – W tłumie zobaczyłem tego szalonego marynarza, który łapał i całował każdą napotkaną kobietę: chudą, grubą, starszkę... Wszystkie bez wyjątku. Sytuacje były malownicze, ale kadr jakoś mi nie leżał. Wtem zobaczyłem, jak marynarz łapie coś białego. Zrobiłem pięć zdjęć. Kontrast dodaje tej fotografii mocy.

Zdarzenie trwa kilka sekund, reporterowi nie udaje się ustalić nazwisk całujących się. „Life” początkowo nie dostrzega potencjału kadru, fotografia tworzy po prostu część reportażu „Od wybrzeża do wybrzeża ludzie wojny się całują”. Cały materiał składa się z podobnych zdjęć, inne zostają szybko zapomniane, natomiast to staje się ikoną.

Do redakcji magazynu zgłaszają się lu-dzie twierdzący, że to oni zostali uwiecz-nieni w kadrze. O ile postać pielęgniarki nie budzi większych kontrowersji, prawdopo-dobnie była nią Edith Shain z Doctor's Ho-spital, o tyle z marynarzem jest więcej proble-



mów. Podano się za niego około 20 mężczyzn. Przeprowadzona przez Naval War College naukowa analiza widocznych w powiększeniu blizn i tatuaży na ciele marynarza wskazuje na George'a Mendoncę z niszczyciela USS The Sullivans, który przebywał wtedy na przepustce w Nowym Jorku. Emerytowany wojskowy pozwał nawet na tej podstawie magazyn za bezprawne wykorzystanie jego wizerunku. Bezskutecznie. Identyfikacją marynarza

zajmowali się również kryminolodzy. Mierzo-no między innymi kości policzkowe i obwód nadgarstków najbardziej prawdopodobnych kandydatów. Śledczy orzekli, że całującym się marynarzem był Glenn McDuffie. On poszedł dalej i pomyślnie przeszedł pięć testów na wariografie. W 2007 roku, w dniu jego 81. urodzin, w przerwie meczu baseballu pomiędzy Houston Astros i NY Mets oficjalnie przyzna-no mu tytuł całującego marynarza.



6 x więcej

PRZE KROJ

# NAJLEPSZE STRONY SUKCESU w nowej, niższej cenie

Majowy magazyn „Sukces” możesz kupić w kioskach, salonach prasowych, na Przekroj.pl oraz w App Store (aplikacja „Przekroj”) od 21 kwietnia

Zobacz więcej: Przekroj.pl i App Store



nowa atrakcyjna cena 6.90

**OBCO-KRAJOWCY W POLSCE**  
Odnieśli sukces. Realizują marzenia

**MARIETA ŻUKOWSKA**  
Opętane zakonnice z klasztoru Betanek

**ŻYCIE PO ŻYCIU**  
Czyli jak zejść ze sceny z klasą



RACZKOWSKI NA KONIEC

**DLACZEGO TAK MECHLUTNIE SKŁE- JASZ TEN HODE- LIK, SYNU? WSZYSTKO UPAC- KANĘ KLEJEM...**



**MYŚLNIK KRZYSZTOFA BILICY**  
Starzeją się nowości, staroście – nie.

RETROSPEKCJA

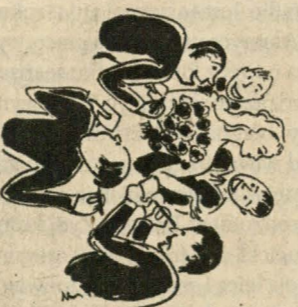
Archeolodzy przetruli oczy ze zdumienia. W smoczej jamie nad Wisłą odkryli cenne roczniki „Przekroju”. A że skąpi nie byli, to się podzieliłi!

**PROSINY NIE POWTARZĄC**  
Nowoczesny centaur dolną pokłkę powinien mieć w postaci traktora.



**POWÓD DO PISANIA**  
Przedmiot wywiadu z bohaterem w numerze 154 „Sukcesu” – Grotowski – to Grotowski. „Powodem tego miał się być wywiad z Grotowskim, który odbył się w październiku 1981 r. w Warszawie. Grotowski nie był wtedy do bliskiej już biwoty pod Grzywnikiem. (Prezesa: A. Grotowski)”

**PO KONKURSIU PIĘKNOŚCI**  
„Ależ panowie! Nie pansom więcej nie mogę powiadać nad to, że tytuł królowej piękności zdobyłam dzięki wytrwałemu stosowaniu kosmetyków „Florina”.”



**OSTRZEŻENIE**

Archwalne numery „Przekroju” (można przeczytać na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)) oraz w aplikacji „Przekroj” na iPadzie dostępne w App Store

**NIE TAK: JANEK KOZA**



**KINOTEATRZYKA PRZEMKA JURKA**

Trzy minuty. 21.37

**MINUTA PIĘKUSZA [21.37]:**  
Bohater wchodzi do kuchni, wstawił wodę na herbatę, robi sobie kanapkę z tuniżkimi, dżemem i mgonczem, siada za stołem.  
**MINUTA DRUGA [21.38]:**  
Bohater zjada kanapkę, zalewa herbatę, wstaje, wyjmie z lodówki jogurt naturalny, siada, zjada jogurt, uśmiecha się.  
**MINUTA TRZECIA [21.39]:**  
Bohater wypija herbatę, przestaje się uśmiechać, wstaje, chwiniącym krokiem idzie w stronę łazienki, w przedpokoju chwilię wodzi się z Bogiem, Losem, Wiarą oraz Odkupieniem, otwiera drzwi łazienki, znika w środku. Wymiotuje.  
**KURTNA**

## ROMAN KURKIEWICZ Polski kolonializm fantomowy



LEWO MYŚLNIEM

**M**inister Jerzy Miller od spraw wewnętrznych polską rację stanu w kwestii uchodźców z rozrewoltowanej Afryki, konkretnie z Libii i Tunezji. Dokonał wyrazistego jak budowa cepa podziału na dobrych i złych uchodźców. Dobry są ci z Libii, którzy podążają do Europy z racji jej demokratycznych cnót i wartości. I widział Miller, że to jest dobre. Tacy uchodźcy są cacy, są „ok”, są do przytulenia i przygarnięcia. I Polska deklaruje taką gotowość. Natychmiast! W imię dziedzictwa Solidarności, przemian demokratycznych 1989 roku, w zgodzie z chrześcijańskim dziedzictwem miłości w przededniu beatyfikacji Karola Wołtyły! I minister Miller nie przestraszył się podać szczegółów, konkretów. Polska jest gotowa przyjąć kilku (!!), a nawet kilkunastu (!!!) uchodźców, dobrych. Jestem dumny. Mój kraj naprawdę umie się zachować w trudnej chwili. Nawet kilkunastu – obłądną wspaniałonością. Okraszona jedynie mądrym zastrzeżeniem, że mają się tylko sprawnie asymilować.

A uchodźcy zli? To Tunezyjczycy, którzy biedopontonami przeprowadzają się przez Morze Śródziemne do Włoch... Oni jednak nie chcą do demokracji, równości, wolności słowa, solidarności, oni chcą do pracy, tam, gdzie ona jest, oni chcą zarobić tu, a nie tam „tworzyć” miejsca pracy i takim tunezyjskim gasterbeterom mówi Miller nasze mocne polskie NIE! To nie Wielka Brytania po wstąpieniu Polski do Unii, to nie Niemcy, które uwalniają rynek pracy dla Polaków, a przede wszystkim Tunezyjczycy to nie Polacy. Jasne? Tak jasne jak Czarny Łód czarny.

Wysłanie jako dobrej monety Lecha Wałęsy do ogarniętej rebelią Afryki jest nieporozumieniem. Lech Wałęsa jest symbolem, uczestnikiem, bohaterem walki o wartości, z którym Jerzy Miller nie ma najmniejszego związku. Wałęsa jest więc listkiem figowym skrajnej, kolonialnej hipokryzji Polski, która jest na szczęście tak monstrualnie nabrzmiała, że nawet noblowski wymiar listka jej nie zakryje. Niedobry minister, niedobry. Wstyd, wstyd! Nie, nie – odeślajcie nam Millera do Tunezji.

Fot. bogdankrezel.com

# OBNIŻ RACHUNKI

## NAWET O 30%

Według badań „Rynek telekomunikacyjny w Polsce w 2010 roku” klienci instytucjonalni Ery płacą średnio najniższe rachunki za każdy numer.

Ty też przenieś swój biznes do Ery, a dodatkowo otrzymasz:

- dostęp do internetu w ramach abonamentu
- największy wybór nowoczesnych telefonów już od 1 zł



- najnowsza wersja systemu Android™ 2.3 (Gingerbread)
- dotykowy wyświetlacz 4,2 cala z technologią Sony BRAVIA
- superpłaska obudowa, zaledwie 8,7 mm

**1 zł**

**Sony Ericsson**  
Xperia™ arc



- system operacyjny Android™
- aplikacje Google – Gmail, Mapy, Google Talk, YouTube
- innowacyjny, szybko działający interfejs użytkownika

**1 zł**

**Sony Ericsson**  
Xperia™ X8



BIZNES  
MOŻESZ WIĘCEJ

Sprawdź także inne oferty dla Twojej firmy w punktach sprzedaży sieci Era.